WSZYSTKIE SŁABOŚCI MOSKWY

Dlaczego Rosja tak marnie radzi sobie w wojnie z Ukrainą?

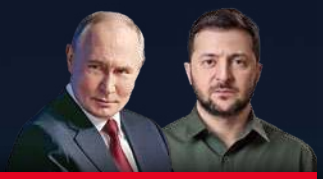

Nie tylko USA, lecz także Chiny! – Ziemkiewicz doradza zmianę polityki zagranicznej

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 15/675 7–12 KWIETNIA 2026

CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

JAPOŃSKI MNICH, KTÓRY POKOCHAŁ POLSKĘ

Semka o powrocie Stana Tymińskiego

CO SIĘ STAŁO

Z DONALDEM TRUMPEM

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 15 >

REPUBLIKA

Dwie pierwsze poranne debaty polityczne w Telewizji Republika.
Istotne dla Polski tematy. Najważniejsi politycy i eksperci.
Na żywo w rozmowie z **Adrianem Klarenbachem**.

www.radiotvrepublika.pl Telewizja Republika @RepublikaTV RepublikaTV @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl cf50c2f600

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

USA w irańskiej pułapce

W jednym z ostatnich odcinków podcastu „Judging Freedom" („Osądzając wolność") sędzia Andrew Napolitano gościł słynnego prof. Johna Mearsheimera, być może największego znawcę polityki międzynarodowej. Zadał mu proste pytanie: Jak należy rozumieć obecną postawę prezydenta Donalda Trumpa, który zdaje się nieustannie sobie zaprzeczać? Profesor Mearsheimer odpowiedział, że widzi dwa wytłumaczenia ciągłych zwrotów i niespójności. Pierwsze – Donald Trump najzwyczajniej w świecie zwariował. I drugie – prezydent USA wpadł w pułapkę i miota się jak oszalały, nie wiedząc, jak się z niej wydostać. „Nie wiem, która z tych hipotez jest prawdziwa" – zakończył profesor. Cóż, nic dodać, nic ująć.

Na pierwszą hipotezę mogłoby wskazywać wiele innych zachowań amerykańskiego polityka: ciągłe podkreślanie własnych zasług, nieograniczona wręcz chełpliwość, zuchwałość, samochwalstwo podniesione do niebotycznej potęgi, besserwisserstwo i samouwielbienie. Może jednak być i tak, że w ten sposób Donald Trump usiłuje przykryć bezradność. Przekierowuje zatem uwagę opinii publicznej na swoje cechy osobowe, unikając w ten sposób konfrontacji z wiszącym nad nim niczym chmura gradowa pytaniem o to, co dalej. W jaki sposób zamierza wydostać siebie, a także USA i w pewnym sensie cały Zachód z sideł, w które wpadł wskutek namowy Izraela?

Jeśli tak odczytywać dziwne i sprzeczne wypowiedzi Donalda Trumpa, to można by uznać, że jest to jego metoda kupowania sobie czasu. Już wie, że jest w potrzasku, ale wciąż liczy na to, że przyszłe zdarzenie (może cud?) uwolni go z niego. Frustrację i niepewność przykrywa opowieściami o tym, że wojnę z Iranem już wygrał, że lada moment wojnę zakończy, że już wszystko osiągnął. Podobne trele-morele mają na pewno walor terapeutyczny, tyle że w żaden sposób nie są realną odpowiedzią. Bo prawdziwy problem polega na tym, że Donald Trump doprowadził do tego, że obecnie karty są w ręku Iranu. To nie on będzie decydował o końcu tej wojny i o warunkach jej zakończenia, ale Irańczycy.

Donald Trump może sobie ogłaszać, co chce, nawet to, że jest najwyższym ajatollahem Iranu, szachinszachem Persji, następcą Cyrusa Wielkiego i sułtanem Wschodu, ale brutalna prawda polega na tym, że to Iran kontroluje obecnie cieśninę Ormuz i systematycznie ruguje obecność amerykańską znad Zatoki Perskiej. Jeśli Trump nagle ogłosi wycofanie się z wojny, to nie zmieni to polityki Iranu. Dalej będzie bombardował amerykańskie bazy, instalacje państw sojuszników USA, amerykańskie ośrodki finansowe i oczywiście największego sojusznika USA, Izrael. Takie wycofanie oznaczałoby, że USA wykreowały na Bliskim Wschodzie nowego hegemona w postaci Iranu, oddając mu kontrolę nad państwami arabskimi i suwerenność nad cieśniną Ormuz. Iranowi, to jest w tym przypadku także Chinom. Dlatego, najzwyczajniej w świecie, USA nie mogą ot tak po prostu się wycofać – przeprowadzając nielegalny atak na Iran, zabijając jego dotychczasowych przywódców w trakcie negocjacji, straciły wiarygodność i odcięły sobie drogę do dyplomatycznego rozwiązania konfliktu na swoich warunkach. Dziś Iran jest zdeterminowany i ma przywództwo bardziej fanatyczne niż to, które w swej mądrości wymordowali (piękne słowo – dekapitacja) Amerykanie i Izraelczycy.

Drugą opcją jest próba rozstrzygnięcia militarnego. Nazywa się to wchodzeniem na kolejne stopnie drabiny eskalacyjnej. Tylko że jest to rozwiązanie jeszcze gorsze. Owszem, można sobie wyobrazić, że kosztem znacznych strat ludzkich – Irańczycy są przygotowani tak na desant, jak i na atak morski – Amerykanom uda się zająć np. wyspę Chark lub wybrzeże irańskie nad cieśniną Ormuz. Tylko co dalej? Amerykanie mogą zdobywać ograniczone części terytorium, ale nie są w stanie ich utrzymywać. Staną się one bowiem natychmiastowym celem rakiet i dronów irańskich.

W takiej sytuacji Amerykanie będą musieli zdobywać kolejne terytoria – tyle że żeby podbić Iran, państwo ponad pięć razy większe od Polski i niemal trzy razy bardziej zaludnione, armia amerykańska musiałaby liczyć setki tysięcy, może miliony żołnierzy. Byłaby to operacja wojskowa nieporównywalnie bardziej skomplikowana niż wojna w Iraku. Wszystko wskazuje na to, że byłby to, jak to ujął jeden z amerykańskich analityków, „Wietnam na sterydach". Byłaby to pod każdym względem katastrofa ludzka, militarna i gospodarcza. Jedyne, co Trump mógłby osiągnąć, wchodząc na tę drogę, to odroczenie klęski – niewielkie zdobycze mógłby wykorzystywać propagandowo.

Tak więc prezydent USA ma wybór zły i bardzo zły. Nic dziwnego, że się miota. Nic dziwnego, że próbuje też nakłonić do współudziału w wywołanej przez siebie awanturze inne państwa Zachodu. Jaką opcję wybierze, trudno powiedzieć. Amerykański prezydent znalazł się bowiem w sytuacji, jakby to ująć, bezalternatywnej. Światowa hegemonia USA jest zagrożona jak nigdy. ©℗

eprasa.pl cf50c2f600

TEMAT TYGODNIA

16 MICHAŁ KRUPA
CO SIĘ STAŁO Z DONALDEM TRUMPEM
Kto popchnął prezydenta USA do wojny z Iranem

20 ROZMOWA Z DR. JAREMĄ SŁOWIAKIEM
WIETNAMSKA LEKCJA DLA TRUMPA

KRAJ

24 PIOTR SEMKA
NOWA MISJA „CZŁOWIEKA Z TECZKĄ"
Powrót Stanisława Tymińskiego

26 RADOSŁAW WOJTAS
ELEKTRYKI NIE DOWIOZĄ

28 ŁUKASZ ZBORALSKI
POKOLENIE ZERO PROCENT

30 ROZMOWA Z KS. KRZYSZTOFEM KOWALEM
OCHRZCIĆ ŚNIEG

KULTURA

34 PIOTR SEMKA
DYSKRETNY UROK ART DÉCO
Sto lat po wielkiej paryskiej wystawie

37 KRZYSZTOF MASŁOŃ
ODEJŚCIE OLIMPIJCZYKA. POŻEGNANIE WIESŁAWA MYŚLIWSKIEGO

38 PIOTR GOCIEK
PIĄTKA NA PIĄTKĘ

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

44 LECH MAŻEWSKI
DLACZEGO ROSJA TAK MARNIE RADZI SOBIE W WOJNIE Z UKRAINĄ?
Wszystkie słabości Moskwy

47 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NIE TYLKO USA, LECZ TAKŻE CHINY! POLSKA W NOWYM ŚWIECIE

50 ŁUKASZ WARZECHA
PRAGMATYZM NAD DUNAJEM

54 WOJCIECH GOLONKA
WĘGIERSKIE WAHADŁO GRUPY WYSZEHRADZKIEJ

56 FILIP MEMCHES
OSWAJANIE Z DZIWACTWAMI

58 KAZIMIERZ NOWOSIELSKI
CZY KASZUBI SĄ ODRĘBNYM NARODEM?

HISTORIA

62 ŁUKASZ CZARNECKI
JAPOŃSKI MNICH, KTÓRY POKOCHAŁ POLSKĘ
Z buddyjskiego klasztoru do międzywojennej Warszawy

ŚWIAT

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
WOJSKOWA JUNTA NAD DNIEPREM?
Polityczna przyszłość Ukrainy

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
LUDZKOŚĆ WRACA NA KSIĘŻYC
Kosmiczny wyścig po surowce i wpływy

74 ANDRZEJ SOLECKI
FREUDOWSKA POMYŁKA BIAŁEGO DOMU

FELIETONY:

SEMKA (5), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (61), PRZYBYLSKI (69), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl cf50c2f600

NA PIERWSZY OGIEŃ

Przechwałki kanclerza Merza

PIOTR SEMKA

Kanclerz Niemiec Friedrich Merz zaszokował wszystkich swoim zdecydowaniem. Po spotkaniu z tymczasowym prezydentem Syrii Ahmadem asz-Szara zapowiedział, że aż 80 proc. z przebywających w Niemczech jako uchodźcy wojenni Syryjczyków ma wrócić do kraju. Skoro wojna się w Syrii skończyła – to nie ma już podstaw do szukania azylu w RFN. W Niemczech przebywa dziś z różnym statusem pobytu od 900 tys. do miliona Syryjczyków. Pytany o horyzont czasowy tej akcji Merz odpowiedział: „Mówimy o okresie w dłuższej perspektywie, najbliższych trzech lat". Jak zaznaczył niemiecki szef rządu: „Również prezydent Szara życzy sobie, aby ok. 80. proc. Syryjczyków powróciło z RFN do ojczyzny".

Nigdy wcześniej żaden z szefów rządu nie sformułował takiego jasnego związku przyczynowo-skutkowego: wojna skończona – wszyscy ci, którzy powoływali się na wojnę, muszą wrócić do siebie.

Merz uspokaja, że przede wszystkim stosowane będą metody zachęcające do dobrowolnego powrotu. Ale niemieccy krytycy takiego „upiększania" obrazu sytuacji już kpią z takiego „chciejstwa". Według danych Federalnego Urzędu do spraw Migracji i Uchodźców do końca grudnia 2025 r. zaledwie 3678 Syryjczyków skorzystało z programu „powrotów do ojczyzny". I tu właśnie jest najsłabszy punkt gromkich zapewnień Merza.

Skoro na dobrowolne wyjazdy trudno liczyć, to rząd stanie wobec wyboru: albo zwiększy represyjność akcji, albo będzie ona tylko czczą deklaracją. Tym bardziej że już zacierają ręce prawnicy, którzy chętnie zaoferują swoje propozycje pomocy wszystkim tym, którzy będą opierać się przymusowemu wyjazdowi.

Co więcej, jest już nowa grupa kandydatów do azylu, którzy ogłaszają, że nowa Syria pod władzą prezydenta asz-Szara to kraj niedający gwarancji bezpieczeństwa. W zeszłym roku w RFN złożono już 2 tys. wniosków wstępnych o azyl, a w tym roku spodziewanych jest ich jeszcze ok. 23 tys.

Lewica już ogłosiła, że deklaracja Merza to polityczny ekstremizm, a w obronie imigrantów z Syrii już występuje delegat Episkopatu RFN do spraw uchodźców, abp Stefan Hesse. „Syryjczycy są pilnie potrzebni w Niemczech" – głosi abp Hesse.

Ci z Niemców, którzy uważają, że Syryjczycy bezczelnie nadużywają prawa do azylu, wskazują, że bez ostrych kryteriów, jaki kraj jest bezpieczny, a jaki nie – niemiecki system azylowy będzie przypominać beczkę bez dna.

Przede wszystkim jednak najwięcej przypadków odrzucania nakazów deportacji przynoszą niemieckie sądy. I nic dziwnego, skoro większość Syryjczyków zmuszanych do opuszczenia kraju odwołuje się od tych decyzji. A sędziowie okazują się nadzwyczaj liberalni i uznają argumenty syryjskich podsądnych, że chcą zostać w RFN, bo tu żyje im się lepiej niż w ojczyźnie. Tak więc jak w Polsce koniec końców wszystkie najważniejsze problemy społeczne rozbijają się o poczucie istnienia obok demokracji znacznie ważniejszej siły – sędziokracji. ©℗

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

HISTORYCZNY REKORD POLSKIEGO DŁUGU

Dług publiczny sektora instytucji rządowych i samorządowych wyniósł na koniec 2025 r. 2335,2 mld zł i sięgnął 59,97 proc. PKB – poinformowało w ubiegłym tygodniu Ministerstwo Finansów. To oznacza, że dług finansów publicznych ponad trzy miesiące temu niemal zrównał się z wynoszącym 60 proc. PKB konstytucyjnym limitem. Dla porównania: w marcu 2020 r. zadłużenie naszego kraju wynosiło 1 bln zł. ©℗

NAGRODY SDP 2026 – NASI AUTORZY WYRÓŻNIENI

Publicyści „Do Rzeczy" Jacek Przybylski i Radosław Wojtas znaleźli się w gronie laureatów tegorocznego Konkursu Dziennikarskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Jacek Przybylski otrzymał wyróżnienie za trzy publikacje: „Wojna światów", „Kontrrewolucja w armii USA" i „Musimy powstrzymać samobójstwo Europy". Radosław Wojtas został wyróżniony za artykuł „KPO na łapu-capu". ©℗

eprasa.pl cf50c2f600

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Celowa prowokacja czy prężenie muskułów", „DRz" nr 12/2026

FOT. JAN

Myli się Grzegorz Majchrzak („Celowa prowokacja czy prężenie muskułów", „Do Rzeczy" nr 12/2026), twierdząc, że w tzw. porozumieniu warszawskim z 30 marca 1981 r. „władze zgodziły się na zarejestrowanie rolniczego związku". Kompromis zawarty przez Wałęsę i delegatów KKP NSZZ „Solidarność" działacze rolniczej Solidarności uznali wręcz za zdradę. Następnego dnia na posiedzeniu KKP Jan Kułaj skomentował negocjacje z władzami bez udziału przedstawicieli NSZZ RI „Solidarność" (do rozmów nie dopuszczono nawet prof. Andrzeja Stelmachowskiego, doradcy związku): „Rolnicy przygotowali żywność dla tych, którzy ich sprawę mieli załatwić, sprawa nie została załatwiona, lecz rolnicy zostali załatwieni".

We wspólnym oświadczeniu KKP NSZZ „Solidarność" i Komitetu Rady Ministrów do spraw Związków Zawodowych z 30 marca 1981 r. zapisano jedynie, że „obie strony uczynią wszystko, aby w sprawie zrzeszania się rolników indywidualnych nie narastały sytuacje konfliktowe". „Obie strony przyjmują do wiadomości inicjatywę posła Jana Szczepańskiego, przewodniczącego sejmowej Komisji Nadzwyczajnej do spraw Przestrzegania Porozumień Społecznych, który w trybie pilnym przedłoży tej komisji do rozpatrzenia sprawy zrzeszania się rolników indywidualnych". Ponadto rząd oświadczył, że w stosunku do osób uczestniczących w akcji protestacyjnej w Bydgoszczy (gdzie od 16 marca rolnicy z Solidarności okupowali siedzibę ZSL, domagając się rejestracji swojego związku), „jak też komitetów założycielskich NSZZ RI – do czasu uregulowania sprawy legalność działań nie będzie kwestionowana".

Wprawdzie I sekretarz KC PZPR Stanisław Kania uznał, że w oświadczeniu jest „faktyczna zgoda na legalizację", a główny negocjator rządowy, wicepremier Mieczysław F. Rakowski, „nie otrzymał pełnomocnictw do podpisania takich treści", jednak strajk okupacyjny rolników w Bydgoszczy nie zakończył się, ponieważ wciąż brak było zgody władz na rejestrację NSZZ RI „Solidarność". Dla wsparcia strajkujących w Bydgoszczy 16 kwietnia 1981 r. rozpoczął się strajk okupacyjny rolników w Inowrocławiu, a 17 kwietnia głodówka

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Piotr Litka, Andrzej Krzystyniak, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**

Okładka: **Roberto Schmidt/Getty Images**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00
Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — POLSKI WYDAWCA — spółka notowana na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 508 040 890

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o.
(instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond: tel.: +48 (12) 422 14 85,
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl,
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

eprasa.pl cf50c2f600

solidarnościowa chłopów na Jasnej Górze i dopiero groźba eskalacji konfliktu na cały kraj doprowadziły do podpisania 17 kwietnia 1981 r. tzw. porozumienia bydgoskiego, w którym rząd zobowiązał się zwrócić do Sejmu PRL o stworzenie podstaw prawnych do zarejestrowania NSZZ RI „Solidarność" do 10 maja 1981 r.

Decyzję w tej sprawie ponownie podjął wicepremier Rakowski wbrew stanowisku Biura Politycznego KC PZPR. Aczkolwiek uważał, że związek zawodowy rolników to kuriozum, był pragmatykiem i realistą, uznając fakt społeczny, którym była Solidarność na wsi, i oceniając dalszy opór władz jako przeciwskuteczny. Rejestracja NSZZ RI „Solidarność" nastąpiła 12 maja 1981 r.

Autor artykułu błędnie kwalifikuje dwóch pobitych po sesji WRN w Bydgoszczy 19 marca 1981 r. jako czołowych działaczy rolniczej Solidarności. Mariusz Łabentowicz w ogóle nie był rolnikiem, lecz przedstawicielem bydgoskiego MKZ oddelegowanym do pomocy „Solidarności Chłopskiej" w regionie i w tym charakterze znalazł się wśród strajkujących w gmachu ZSL. Z kolei Michał Bartoszcze, ojciec Romana, przewodniczącego Ogólnopolskiego Komitetu Strajkowego NSZZ RI „Solidarność", był działaczem szczebla regionalnego i dopiero rozgłos, który towarzyszył pobiciu, sprawił, że stał się postacią szerzej znaną w kraju.

Szkoda, że w interesujących rozważaniach dotyczących gotowości do wprowadzenia stanu wojennego G. Majchrzak tylko ogólnikowo powołuje się na notatkę planistów MON i MSW z 16 marca 1981 r. (opublikowaną zresztą przez IPN w 2013 r. w tomie dokumentów na temat kryzysu bydgoskiego 1981 r.). Wynika z niej, że na kilka dni przed wybuchem konfliktu bydgoskiego „w zasadzie" oba resorty były już „zdolne" do podjęcia działań na wypadek wprowadzenia stanu wojennego, jednak „w przypadku nagłego podjęcia decyzji" niemożliwe było natychmiastowe wydrukowanie „przygotowanych na ten czas dokumentów prawnych oraz propagandowych". „Niezbędne minimum czasowe na prawidłowe rozwinięcie operacji przez MON i MSW wynosi ok. 7–10 dni (od chwili podjęcia decyzji politycznej o wprowadzeniu stanu wojennego)".

Co więcej, warunkiem jej przeprowadzenia „z pozytywnym (dla władz) rozwojem sytuacji" miało być „uprzednie przygotowanie propagandowe". Tymczasem w całokształcie przygotowań na wypadek konieczności wprowadzenia stanu wojennego propaganda była – jak oceniano – „dziedziną pozostającą nadal w tyle", istniała więc „pilna potrzeba przyspieszenia prac w tym zakresie". Rzecz jasna, kryzys bydgoski, który stanowił apogeum wpływów Solidarności w kraju, był dla władz propagandową katastrofą.

Andrzej W. Kaczorowski

Od autora

Jak przyznaje sam Andrzej Kaczorowski, władze PRL w porozumieniu de facto zgodziły się na rejestrację rolniczego związku, choć rzeczywiście nie uczyniły tego wprost. Wspomniane przez niego problemy z jej rejestracją nie były niczym nowym, dużo większe były (tzw. kryzys rejestracyjny) te z rejestracją NSZZ „Solidarność" pod koniec 1980 r.

W przypadku Mariusza Łabentowicza biję się w piersi – mój błąd.

Wątek stanu wojennego to oddzielna kwestia, która wymagałyby szerszego omówienia. I gdyby go wprowadzono w marcu 1981 r., a był on przez władze PRL poważnie wówczas po raz kolejny (jak m.in. w trakcie wspomnianego wcześniej kryzysu rejestracyjnego) rozważany, miałby prawdopodobnie zupełnie inny niż znany nam jego kształt. Oczywiście wiele dokumentów nie było wówczas jeszcze gotowych, a dokładniej nie miały znanego dziś kształtu np. obwieszczenie o stanie wojennym wydrukowano – zresztą w Moskwie – w sierpniu tego roku. „Kulało" również propagandowe przygotowanie stanu wojennego. Nie zmienia to faktu, że sięgnięcie po rozwiązanie siłowe w marcu 1981 r. poważnie nie tylko rozważano, lecz także podjęto bardzo konkretne działania na wypadek konieczności jego wprowadzenia. I nie ulega wątpliwości, że odwołanie przez Solidarność strajku generalnego sprawiło, że do tego nie doszło.

Grzegorz Majchrzak

NEKROLOG

30 marca 2026 r. zmarł, przeżywszy 91 lat,

ŚP.

dr Antoni Lenkiewicz,

niezłomny patriota, całym sercem oddany walce o wyzwolenie Polski spod sowieckiego panowania, działacz Solidarności, członek antykomunistycznej opozycji, wieloletni więzień sumienia, pisarz, historyk, prawnik, Kawaler Orderu Orła Białego.

Ceremonia pogrzebowa odbędzie się 10 kwietnia 2026 r. o godz. 11 na Cmentarzu Grabiszyńskim we Wrocławiu,

o czym zawiadamia pogrążona w smutku i bólu rodzina.

eprasa.pl cf50c2f600

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Władza się wyleczy

Po porodówkach przyszedł czas na zamykanie szpitalnych oddziałów onkologicznych. Wydawałoby się, że rząd, który w praktyce nie zajmuje się niczym innym niż propagandą, zawczasu przewidzi, że ich znikanie z powiatowych szpitali nie spodoba się wyborcom i przygotuje sobie jakąś propagandową narrację. Od razu dodajmy, że nie jest to łatwe, bo o ile zamykanie porodówek motywować można spadającą dzietnością, o tyle zachorowalność na nowotwory bynajmniej nie maleje. Ale mając tefałeny i szpringery…

Najwyraźniej jednak władza liczyła, że może nikt nie zauważy albo że da się to przykryć judzeniem na prezydenta i PiS. Nie dało się. Media poinformowały o planowanym zamknięciu oddziału onkologicznego w Krotoszynie, gdzie już zakazano przyjmowania nowych pacjentów. Tę informację podbił w mediach społecznościowych Jakub Kosikowski, aktywny w nich lekarz, swego czasu, jeśli dobrze kojarzę, jeden z animatorów protestów. Odpowiedział mu europoseł Bartosz Arłukowicz, też z zawodu lekarz i były minister zdrowia (a wcześniej, zanim go Tusk kupił ministerialnym stołkiem, zawzięty krytyk zdrowotnej polityki PO): „Panie doktorze, rozumiem, że gdyby ktoś z pańskich bliskich zachorował na czerniaka, glejaka czy raka żołądka, z czystym sumieniem wysłałby pan chorego na diagnostykę i leczenie do szpitala powiatowego w Krotoszynie?”.

Jakże to arłukowiczowskie i peowskie! Pobrzmiewa w tej wypowiedzi i sławne „ch.. z Polską Wschodnią” z kelnerskich taśm PO, i sławne „rząd się wyżywi” Jerzego Urbana. Wpisuje się też ona pięknie w niedawny skandalik wokół wiceministra zdrowia, Wiesława Szczepańskiego, który jako nadzorujący szpitale załatwiał w nich miejsca poza kolejnością kolegom parlamentarzystom.

Rzeczywiście, mając takie wejścia do najlepszych klinik, jakie ma Arłukowicz, kto by pomyślał, że jego krewny lub znajomy mógłby być leczony w jakimś Krotoszynie. No więc skoro tak, po co utrzymywać te powiatowe onkologie? Dla jakiegoś pospólstwa? ©℗

#WARTO

Szkoła „jak my ją rozumiemy”

JAN POSPIESZALSKI

W grudniu 2025 r. prezydent Karol Nawrocki zawetował nowelizację ustawy oświatowej – tzw. reformę „Kompas jutra”. Teraz szefowa MEN, Barbara Nowacka, obchodząc weto prezydenta, wydała rozporządzenie, które wprowadza od 1 września 2026 r. nowe podstawy programowe i zmienia ramowe plany nauczania przedszkoli i szkół podstawowych. Po likwidacji kanonu lektur (do VI klasy ma nie być ani jednej wspólnej lektury), po de facto usunięciu „Pana Tadeusza” (zostaje tylko „Inwokacja”) rozporządzenie wprowadza obowiązek realizacji tzw. doświadczeń edukacyjnych (np. z komputerem) i tygodni projektowych.

Zmiana ta, jak podkreślają pedagodzy i eksperci, zabiera godziny przeznaczone na przekaz wiedzy i wprowadza działania, które do tej pory były dobrowolnym narzędziem metodycznym nauczyciela. Tydzień projektowy, w zamyśle autorów reformy, to „rozwijanie kompetencji przyszłości”, a de facto, pod pozorem ćwiczenia sprawczości, pragmatyzmu i integracji, odbiera czas na dostarczenie i sprawdzenie przyswajania treści. Zamiast przedmiotów geografia, biologia i chemia do VI klasy wprowadza się wspólny przedmiot – przyroda. Na matematyce rachunki pamięciowe zostają zastąpione obsługą kalkulatora. W ocenie ekspertów to infantylizacja i cofnięcie do metod przedszkolnych. Tak zwana reforma Nowackiej degraduje szkołę z miejsca, gdzie zdobywało się wiedzę, do placówki quasiterapeutycznej, opiekuńczej.

Tyle w podstawówkach. Dla szkół średnich prace nad podstawą programową jeszcze trwają, ale już wiadomo, że wszystko zmierza w kierunku radykalnego obniżenia poziomu i wymagań. Realizując tuskową doktrynę prawa „jak my je rozumiemy”, w sposób całkowicie pozaustawowy, przekraczając ramy zwykłego rozporządzenia, Nowacka „na rympał” forsuje projekt radykalnej, ideologicznej społecznej zmiany, formatowania pracownika bez pogłębionej wiedzy i tożsamości. ©℗

eprasa.pl cf50c2f600

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

ĆWIERKOT

Wiadomo, kogo wywalić

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Proszę państwa, próba wykorzystywania afery pedofilsko-zoofilskiej w Kłodzku do polityki, próba informowania opinii publicznej o nadreprezentacji pedofilów wśród członków Koalicji Obywatelskiej, sugerowanie, że Monika Wielichowska, wicemarszałek Sejmu, cokolwiek o tej aferze wiedziała, zanim ona wybuchła, i próba łączenia jej z tą aferą to jest – powiedzmy dobitnie – to jest świństwo, proszę państwa. Świństwo. Stop. I to babranie się w sprawie, to wyciąganie newsów, że np. Wielichowska w roku 2020, a więc wtedy, kiedy jej asystentka w Kłodzku od kilku lat wykorzystywała seksualnie dzieci i zwierzęta, weszła na mównicę sejmową i była przeciw projektowi ustawy „Stop pedofilii", co to ma wspólnego z pedofilią? Stop. Po prostu była przeciw ustawie „Stop pedofilii", kiedy jej osobista asystentka z mężem nie byli przeciwko pedofilii, ale to nie znaczy, że Wielichowska, która cieszy się zaufaniem Donalda Tuska, była przeciw pedofilii! Stop. To nie znaczy, że pedofilów chroniła, tylko ustawa akurat o pedofilii jej się nie podobała. Stop. Dość już tego szczucia, Epsteinem się zajmijcie!

Co też ludziom przychodzi do głowy! Stop. Reprezentacja Polski w piłce kopanej nie dostała się na mistrzostwa świata, przegrywając ze Szwecją 3:2, specjalnie zdziwiony nie byłem. Stop. Ktoś jednak zrobił wyliczankę nieco chyba kuriozalną, a może i nie. Stop. Otóż sprawdzono, za jakich premierów polska reprezentacja dostała się na MŚ, a za jakich nie. Zadziwiające. Stop. Otóż za Leszka Millera awansowaliśmy na MŚ 2002 r. w Korei Płd. i Japonii. Za Marka Belki awansowaliśmy na MŚ 2006 r. w Niemczech. Za Beaty Szydło awansowaliśmy na MŚ 2018 r. w Rosji. Za Mateusza Morawieckiego awansowaliśmy na MŚ 2022 r. w Katarze. Za Donalda Tuska nie awansowaliśmy ani razu, na MŚ 2010 r. w RPA, na MŚ 2014 r. w Brazylii i na MŚ 2026 r. w USA, Kanadzie, Meksyku. Stop. Rozwiązanie zagadki wydaje się proste. Zamiast kombinować, jakiego trenera zatrudnić, powinni w PZPN zacząć myśleć razem z resztą Polaków, kogo wywalić na zbitą i z jakiego stanowiska. Stop.

Uprzedzam, proszę się nie garbić, nie mieć chrypki i przekrwionych oczu. Stop. Według Sadury, który jest doktorem habilitowanym na Uniwersytecie Warszawskim, w ten sposób można bowiem poznać wyborcę Prawa i Sprawiedliwości, a wszystko to Sadura wie z badań. Stop. Skąd oni ich biorą? ©℗

eprasa.pl cf50c2f600

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

UROJENIA WYŻSZOŚCIOWE

Kolejna osoba nie wykorzystała szansy, aby milczeć. Pisarka Katarzyna Grochola przyszła do show Kuby Wojewódzkiego i wspólnie postanowili pokazać swoje wyższościowe urojenia. Cel? Ostatnio wciąż ten sam, czyli prezydent Karol Nawrocki. Wśród śmichów-chichów padło pytanie prezentera: „Jaką książkę byś poleciła do przeczytania naszemu prezydentowi Karolowi Nawrockiemu?". Grochola zapytała: „A on umie czytać?", co wywołało aplauz publiczności. – Ja nie biłem, panie prezydencie, ja nie biłem brawa, ja nie biłem brawa – kpił Wojewódzki. – No nie wiem, od początku jakoś zacząć z „Małym Księciem". No i wiesz, potem już się człowiek rozwija w prawidłowy sposób. Nie musi nikogo walić po ryju, nie musi dziwek sprowadzać – komentowała z samozadowoleniem Grochola. Nie żeby coś, ale opis wykształcenia pisarki w Wikipedii kończy się na zdaniu: „Ukończyła klasę humanistyczną w VII Liceum Ogólnokształcącym im. Juliusza Słowackiego w Warszawie". Z kolei w biogramie prezydenta RP czytamy: „Na Politechnice Gdańskiej w 2023 ukończył studia podyplomowe International MBA in Strategy, Programme and Project Management". Wcześniej zrobił doktorat. Wnioski każdy może wyciągnąć sam.

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/DOTYN/EAST NEWS

STALKING Z WYSOKIEJ PÓŁKI

Wojewódzki nie ma ostatnio najlepszej passy, choć on sam twierdzi, że wszystko idzie świetnie. Podczas niedawnej wizyty Krzysztofa Stanowskiego w podcaście „Wojewódzki & Kędzierski" pojawił się temat Tomasza Kammela. Showmana z TVN i byłego prezentera TVP (obecnie Kanał Zero) łączyła niegdyś bliska przyjaźń. Dziś pozostała wzajemna niechęć. – Uważam Tomka Kammela za zwierzę telewizyjne. Człowieka do tej pory niewykorzystanego telewizyjnie właściwie, bo człowieka, który do tej pory nie przedstawiał nigdzie tego, co sam ma w głowie, tylko przedstawiał to, co ktoś mu napisał na prompterze – mówił Stanowski. – Bardzo dobra definicja twojego pracownika. Gratuluję. Król oportunizmu [...]. Powiedziałeś, że wcześniej mówił cudzymi myślami, zdefiniowałeś go – wbijał szpilki Wojewódzki. – Nie uważasz, że on tak bardzo stara się być potrzebny każdemu nowemu pracodawcy, że zapomniał, jaki jest naprawdę? – nie odpuszczał „najstarszy nastolatek w Polsce". W odpowiedzi Tomasz Kammel przygotował dla Kanału Zero omówienie wspomnianego wywiadu. Przyznał, że nie rozumie, dlaczego stał się tematem rozmowy. – Kto oglądał cały ten wywiad, ten wie, że stałem się też jednym z jego bohaterów. Oczywiście, co niejednokrotnie mówiłem, nie mam pojęcia, dlaczego, ale to nie jest istotne. Po tym, gdy wywiad się ukazał, dostałem sporo pytań na temat tego, czy zamierzam jakoś odnieść się do zarzutów, które były tam czynione pod moim adresem. No więc nie zamierzam, a przynajmniej jeszcze nie zamierzam – mówi w nagraniu. – A gdybym miał szczerze powiedzieć dlaczego? To najszczersza prawda jest taka, że gdyby odparowanie na te zarzuty wyszło mi tak dobrze, że Kuba by przestał, to chyba by mi czegoś brakowało, bo ja w sumie nie mam nic przeciwko temu, że on takie rzeczy opowiada. Zobaczcie, ile osób w Polsce może powiedzieć, że ma stalkera z tak wysokiej półki? Szacuneczek manualny – podsumował Tomasz Kammel.

STRASZNA NUDA

Chirurg plastyczny gwiazd Krzysztof Gojdź od lat mieszka w USA. Tam rozwija swoją karierę, a także bierze udział w życiu towarzyskim śmietanki. Ostatnio Gojdź gościł w podcaście Małgorzaty Ohme. Narzekał m.in. na Polaków mieszkających w USA, którzy – jego zdaniem – nie potrafią cieszyć się cudzymi osiągnięciami. Jak stwierdził, zazdrość i hejt to ich codzienność. W pewnym momencie pojawił się temat podróży. I tutaj chirurg wypalił tak, jak tylko zblazowany celebryta potrafi. – Zwiedziłem cały świat praktycznie. Nudzą mnie już podróże. Mam dosyć samolotów, bo ostatnie kilka lat to tylko w samolotach na lotniskach siedzę – narzekał. Prowadząca zauważyła, że być może dobrym pomysłem byłoby zaszycie się na wyspie i poświęcenie przyjemnościom takim jak np. nurkowanie. W odpowiedzi 53-latek podzielił się zaskakującą refleksją na temat niedawnego, luksusowego pobytu na prywatnej wyspie przyjaciół. – Ostatnio byłem u moich przyjaciół na prywatnej wyspie, kupili za 200 mln dol. piękną wyspę na Bahamach. Wysłali po mnie swoje prywatne dżety, więc fajnie. Sobie pobyłem z nimi cztery–pięć dni i co? I co tam robić? No super, piękne życie. Miałem swojego kucharza, kelnerkę, wszystko, to jest w ogóle takie życie, jakiego sobie nawet nie możemy wyobrazić. Cztery–pięć dni wytrzymałem, to nie dla mnie. I co dalej? Tu mam właśnie problem ze sobą, bo nie wiem, co chcę jeszcze w życiu osiągnąć – podsumował. Trochę problemy pierwszego świata, a trochę uzmysłowienie sobie tego, co w życiu najważniejsze. I nie, nie jest to kasa. ©℗

eprasa.pl cf50c2f600

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nareszcie jakieś dobre wiadomości. Otósh reprezentacja tego kraju nie pojedzie na tegoroczne mistrzostwa świata w piłce nożnej. Dlaczego jest to dobra wiadomość? Przynajmniej z kilku powodów.

Po pierwsze – w ten sposób nie będziemy legitymizować turnieju rozgrywanego w trumpowskiej Ameryce. Of kors wiemy, iż mecze będą rozgrywane także w Ameryce nietrumpowskiej – w Kanadzie i Meksyku, ale jednak głównie kojarzy się ten mundial z reżimem Trumpa. A zatem dobrze, iż wizerunek tego kraju nie zostanie jeszcze bardziej nadszarpnięty na arenie międzynarodowej.

Po drugie – każdy wielki turniej piłkarski jest okolicznością, w której budzą się demony polskiego patriotyzmu, a brunatna hydra fashysmu podnosi swój kosmaty i wąsaty łeb. Jesteśmy zadowoleni, iż przez najbliższe miesiące unikniemy tego patriotyczno-kibolskiego wzmożenia i będzie się w tym kraju żyło normalniej.

Po trzecie – sami się przekonacie, ilu wśród waszych znajomych jest prawdziwych fanów piłki nożnej, a ilu fasholi, których obchodzi wyłącznie ich reprezentacja narodowa. Ciekawe, czy taki przeciętny kibic – janusz – będzie wstawał w nocy oglądać mecze Curaçao, Iraku, Jordanii czy Uzbekistanu. Czy taki z niego koneser, że jak Polski nie ma, to on nie ogląda.

Po czwarte – zawsze to miło, kiedy zwycięstwo odnosi reprezentacja takiego sympatycznego kraju jak Szwecja, jest to nagroda za politykę otwartości i uśmiechu.

Po piąte – Karol Nawrocki pewnie będzie niepocieszony xD. Jak wiecie kibol-prezydent czy też prezydent-kibol kocha piłkę nożną, a więc na pewno ma teraz humor popsuty. Co nas nawet cieszy.

Poza tym – zwróćcie uwagę, iż reprezentacja Polski nigdy nie awansowała na mundial, kiedy premierem był Donald Tusk. Czy jest to przypadek? Prawdopodobnie tak xD.

A jak się w ogóle macie po Spring Holidays? Musimy przyznać, iż było trudno. Pojechaliśmy tym razem do małego ośrodka, iżby uzupełnić zapasy słoików od osób płodzących oraz… sami wiecie, początek miesiąca, ale przed dziesiątym trzeba było uzupełnić też zapasy gotówki xD.

W każdym razie przyjęliśmy solidną dawkę churchingu, iż bez uczestnictwa w nabożeństwach nie byłoby prawdopodobnie gratyfikacji finansowo-żywieniowych. A po co ryzykować? Niestety, problemy i tak były, iż nie powstrzymaliśmy się od drobnych, acz błyskotliwych aluzji politycznych – typu: my to byśmy chcieli zobaczyć na stole wielkanocnym Żurek, he, he.

Niestety, o Żurku mogliśmy zapomnieć, a przez całe święta włączone były same prawackie telewizje. Raz próbowaliśmy włączyć TVN i schować pilota od TV w sałatce jarzynowej, ale skończyło się groźbą natychmiastowego odstawienia nas na pociąg.

Próbowaliśmy też wdrożyć trochę świeckich, inkluzywnych i angażujących wszystkich domowników zabaw springholidayowych, typu szukanie ukrytych wcześniej jajeczek, nie spotkało się to jednak z żadnym zainteresowaniem, a wręcz wrogością. Bo kto to widział upychać jajka z czekolady w domu po kątach?

No, ale przynajmniej dopięliśmy swego i przywieźliśmy zapasy sałatki jarzynowej, po której zjedzeniu będziemy musieli zbadać poziom majonezu we krwi. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Świnka morska

Donald, przejrzałem te zdjęcia z wnusiami, które chcesz dać na Insta. Ja bym jednak zrobił nowe. Albo przynajmniej AI użył.

A co jest z nimi nie tak?

Tam pies jest. Na każdym.
No jest. Ustawa łańcuchowa i tak dalej – drażnimy Karola.

Ale to jest pies.
Ja wiem, co to jest. Przecież mam umowę z tą hodowlą, zawsze na zdjęcia przywożą mi jakiegoś psa. Sam nie będę kundla w domu trzymał, jeszcze mi gdzieś narobi.

Ale, Donald, skup się: pies. Kłodzko.
No dobra, złapałem. Ale zwierzątko musi być. Weź może AI, niech zrobi z tego psa świnkę morską. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nacjonalizm zaczyna się od kibicowania, zwieńczeniem kibicowania jest kibolstwo".

MAGDALENA ŚRODA, *filozof, na Facebooku ciesząca się, że Polacy nie pojadą na mundial*

eprasa.pl cf50c2f600

dwaj panowie g

Zabawna historia: jeszcze tak ze dwa tygodnie temu słyszeliśmy od wiewiórek z PiS, że wielu tam narzeka i nadaje na Przemysława Czarnka, czyli nominata do rekomendacji na kandydata do stanowiska premiera z PiS. Dlaczego? No bo miało być lepiej w sondażach, a jest gorzej. Teraz słyszymy od tych samych wiewiórek, że w PiS wielu cieszy się z Czarnka, gdyż miało być lepiej w sondażach – i jest lepiej. Wychodzi na to, że aby kierować PiS, nie trzeba być prezesem partii. Wystarczy mieć jakąś sondażownię.

Apropos Czarnka i wywołanej przez nas chryi, czy Jacek Kurski pisał mu przemówienie inauguracyjne. Otóż zabawna historia: jednej z wiewiórek pomieszały się przemówienia inauguracyjne i z okazji sprawy Czarnek/Kura sprzedała nam mnóstwo insajderskich informacji na temat pisania przemówienia. Ale nie z inauguracji Czarnka, tylko z inauguracji kampanii Karola Nawrockiego. Wiemy więc już, ile osób pisało tamto przemówienie oraz znamy nazwiska. Nie zdradzimy jednak szczegółów, gdyż nie wykorzystujemy ludzkich pomyłek. A wiewiórkę serdecznie pozdrawiamy.

Mamy też interesujące doniesienia merytoryczne. Otóż podobno wśród pomysłów, które mają zachęcić ludność do ponownego gremialnego poparcia PiS, jest koncepcja bonu mieszkaniowego dla młodych. Pomysł, zdaje się, gdzieś z okolic ziobrystów. Nowatorstwo polega na tym, że będzie go można wykorzystać i na spłatę raty za mieszkanie, i za wynajem także, gdy jest się młodym i ubogim studentem. Na razie jednak nie ma co ogłaszać punktów programowych, gdyż i tak zginą w zgiełku. Tak, tym zgiełku, który wywołuje sama Platforma, malowniczo podcinając sobie gardło aferą z Kłodzka.

Apropos afery pedofilsko-zoofilskiej w Kłodzku. Otóż wicemarszałek Wielichowska, która na tym terenie jest baronową Platformy, dała się nagrać, jak się przechwala, że ma wsparcie Tuska w tym kryzysie wizerunkowym. I wiecie co? Otóż Donald się wściekł. Zaskoczeni? Śpieszymy więc z informacją, że nie chodzi o to, jakoby informacja podana przez Wielichowską była nieprawdziwa. Tylko o to, że Kierownik chce się od afer pedofilskich trzymać jak najdalej. Mamy propozycję: to może niech odsunie się jak najdalej od Platformy Obywatelskiej zwanej dziś dla niepoznaki inaczej?

Prawda jest okrutna: żadna afera nie zaszkodziła dotąd rządzącym jak ta z Kłodzka. Zasięgi te wieści mają gigantyczne i sprawa weszła już w stadium memiczne, to znaczy rozpowszechnia się w sposób całkowicie niekontrolowany i szybciej niż pożar na prerii. Spośród licznych żarcików, śmiesznie podpisanych fotek i innych przeróbek, naszą uwagę zwrócił taki oto żarcik: Jakim hasłem promować nowy program PO? „Te, co skaczą i fruwają, na nasz program zapraszają". Zaśpiewajcie to na melodię ze „Zwierzyńca".

Radek ma kłopot. Czterech kierowników placówek dyplomatycznych zjeżdża do kraju. Dwóch na własne życzenie. Z Rygi i z Wilna. Dwoje powracających z Brukseli i Strasburga ściąganych jest natomiast przez centralę. Żaden z tych neoambasadorów nie spędził na placówce dłużej niż półtora roku. Karierę dwojga z nich zakończyła skłonność do trunków. Choć w jednym przypadku mówi się też o mobbingu.

Nie ukrywajmy. Radek nie jest w najlepszym stanie po tej rzezi. I to do tego stopnia, że zwierza się przyjaciołom. Opowiada, że wszystko to może być spisek przeciw jego ważnej osobie. A na czele spisku ma stać sam Kierownik, zazdrosny o to, że Radek prześciga go w rankingach zaufania i popularności.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl cf50c2f600

Złe języki szepczą nawet, że Radek może być posunięty. Na razie z funkcji wicepremiera. Nie wiem zupełnie, czemu przy tej okazji przypomniała nam się nieśmiertelna fraza Olka Kwaśniewskiego o Tusku – „rudy i mściwy”.

Co ciekawe, chargé d’affair (znaczy po ludzku: czardż) z Wilna o nazwisku Poznański miał dobre notowania u prezydenta Karola Tadeusza. Cenił go także prezydencki minister Marcin Przydacz. Duży Pałac był nawet skłonny klepnąć tę kandydaturę, żeby Poznański zamiast wracać, mógł zostać na stałe. Nasze wiewiórki jednak mówią, że sam Poznański nie czuł się dobrze na placówce, bo bez przerwy przypominano mu, że zastąpił Radziwiłła.

Ktoś może zdziwić się, o co chodzi z tym Radziwiłłem. No cóż, odkąd wymarli Jagiellonowie i Pacowie, to „Radziwiłł” zostało najświetniejszym nazwiskiem na Litwie. Co prawda, Poznański mógł utrzymywać, że też wywodzi się ze sławnego rodu: a konkretnie z rodu najsłynniejszego łódzkiego fabrykanta. Ale nie chciał. Raz, że to nieprawda. A dwa, że w takiej sytuacji wypominano by mu, że ów krezus z „Ziemi obiecanej” miał na imię Izrael. W tym sezonie w Unii Europejskiej nie jest to modne słowo.

Tymczasem na Węgrzech. Są sondaże zamawiane przez Orbána, są sondaże zamawiane przez opozycję. Jak się domyślacie, różnią się od siebie. Nasze wiewiórki miały natomiast dostęp do badań robionych, owszem, na zlecenie z Węgier, ale przez międzynarodowy niezależny podmiot. Wynika z nich, że wybory 12 kwietnia wygra opozycja, czyli partia TISZA. Ma to być jednak wygrana niewielka.

Z mediów. Jak ujawniono, szefem nowej prawicowej telewizji nadającej w Polsce, czyli Newsmax, ma być Wojciech Surmacz, niegdyś szef PAP za poprzedniego reżimu. Wiadomość ta mocno zafrasowała różne frakcje w PiS. Surmacz jest bowiem w partii uważany za człowieka Morawieckiego i wielu wyciąga z tego faktu wnioski na temat linii programowej Newsmaxu. My na razie poczekamy. I na linię, i na wnioski.

Z frontu walki o przyszłe mandaty. Jak informowaliśmy w ubiegłym tygodniu, europosłanka Ewa Zajączkowska-Hernik po samowykluczeniu z Konfederacji stała się łakomym kąskiem dla tej drugiej konfederacji od Brauna. I zabiegają o nią właśnie brauniści, by była jedynką na listach krajowych lub zagranicznych. Wiewiórki informują, że rozmowy nie były jednak zbyt konkretne. To znaczy brauniści wyrazili ogólną wolę wystawienia Ewy, ale nie sprecyzowali, gdzie, kiedy i do jakiej walki. Natomiast słyszeliśmy, że jej rodzinny Radom raczej nie może wchodzić w grę, gdyż Grzegorz Jednooki ma na miejscu swojego faworyta, którego bardzo, bardzo chce wystawić. Więc Ewa musiałaby kandydować z innego okręgu. Natomiast na ile znamy jej charakter oraz zalety – będzie kandydować z tego okręgu, z którego będzie chciała. I biada jej przeciwnikom. ©℗

REKLAMA

WYDAWNICTWO m

Biblia Edukacyjna

- nowy, poręczny format, bogato zdobiona twarda oprawa
- obszerny, 32-stronicowy wstęp edukacyjny wprowadzający czytelnika w najważniejsze zagadnienia związane z Biblią
- 121 wspaniałych, całostronicowych ilustracji Gustave’a Doré
- specjalne strony przeznaczone na Kronikę Rodzinną
- osobiste błogosławieństwo św. Jana Pawła II dla rodzin, które wspólnie czytają słowo Boże
- kolorowe mapy historyczne na wyklejkach – przedstawiające średniowieczną mapę świata oraz mapy podróży misyjnych św. Pawła

Zamów teraz – tel. 721 521 521 · wydawnictwom.pl

eprasa.pl cf50c2f600

IZRAEL WYWOŁAŁ W JEROZOLIMIE WIELKI SKANDAL. ŚWIATOWI LIDERZY OBURZENI

W Niedzielę Palmową kard. Pierbattista Pizzaballa, łaciński patriarcha Jerozolimy oraz kustosz Ziemi Świętej o. Francesco Lelpo nie zostali wpuszczeni przez izraelskich policjantów do Bazyliki Grobu Pańskiego.

– To prawda, że policja stwierdziła, iż rozkazy dowództwa zabraniają jakichkolwiek zgromadzeń w miejscach, gdzie nie ma schronienia, ale nie prosiliśmy o nic publicznego, tylko o krótką i kameralną ceremonię, aby zachować ideę celebracji w Grobie Pańskim – powiedział kard. Pierbattista Pizzaballa w wywiadzie dla włoskiej stacji TV2000, nawiązując do środków bezpieczeństwa wprowadzonych po agresji USA i Izraela na Iran 28 lutego 2026 r. – Do trudów czasu wojny dochodzi dziś ból wynikający z niemożności godnego i wspólnego celebrowania Wielkanocy – zauważył duchowny.

Incydent wywołał wielki międzynarodowy skandal. Solidarność z kardynałem i kustoszem wyraziła premier Włoch Giorgia Meloni, a szef włoskiej dyplomacji Antonio Tajani określił zachowanie Izraela jako „niedopuszczalne" i podkreślił, że „Włochy zawsze będą bronić wolności religijnej". Incydent potępili także m.in. szefowa dyplomacji UE Kaja Kallas, prezydent Francji, premier Hiszpanii i prezydent Karol Nawrocki. Ambasador USA w Izraelu Mike Huckabee uznał z kolei, że interwencja izraelskiej policji to „niefortunna przesada, która już wywołuje poważne reperkusje w świecie". Głos w sprawie zabrali także polscy duchowni. „Ubolewamy, że w tak ważnym czasie, jakim jest Wielki Tydzień, chrześcijanie nie mogą modlić się w najważniejszych miejscach historii zbawienia" – oświadczyli członkowie Prezydium Konferencji Episkopatu Polski.

Międzynarodowa presja przyniosła skutek. W sprawie interweniował m.in. prezydent Izraela Jicchak Herzog. W poniedziałek 30 marca we wspólnym oświadczeniu Patriarchatu oraz Kustodii Ziemi Świętej ogłoszono, że na mocy ugody z izraelską policją przedstawiciele Kościołów, zgodnie z antyczną tradycją wielkanocną, będą mogli w tej świątyni odprawiać nabożeństwa. © ℗

Na zdjęciu: kard. Pierbattista Pizzaballa odprawia nabożeństwo z okazji Niedzieli Palmowej, Jerozolima, 29 marca 2026 r.

eprasa.pl cf5

FOT. AMMAR AWAD/REUTERS/FORUM

eprasa.pl cl50c2f600

Zmienny jak Donald Trump

Michał Krupa

Donald Trump raz po raz obiecywał stawiać amerykańskich pracowników, amerykańskie granice i amerykańskie interesy ponad wszystko inne. Obecnie nadzoruje konflikt militarny, który ma potencjał przekształcić się w katastrofę, której Ameryka nie doświadczyła przynajmniej od czasów wojny w Wietnamie. Co się zatem stało z prezydentem USA?

W upalnych dniach końcówki kampanii prezydenckiej 2024 r. Donald Trump konsekwentnie głosił przesłanie, które głęboko rezonowało wśród milionów Amerykanów zmęczonych dziesięcioleciami niekończących się konfliktów zagranicznych. „Nie zamierzam zaczynać wojen" – oświadczył stanowczo polityk w wieczór wyborczy w listopadzie 2024 r. W trakcie całej kampanii Trump wielokrotnie chwalił się, że w pierwszej kadencji nie zaczął „żadnej nowej wojny", i przyrzekał, że druga kadencja pozostanie wierna doktrynie „America First" – skupi się na zabezpieczeniu granic Ameryki, ożywieniu gospodarki krajowej i sprowadzeniu żołnierzy do domu, zamiast wysyłać ich na kolejne niekończące się wojny, a już na pewno nie na Bliski Wschód. Ostro krytykował operacje „zmian reżimów" jako kosztowne katastrofy, które wzbogacały jedynie układ przemysłowo-zbrojeniowy, jednocześnie niszcząc życie i majętność zapomnianych mężczyzn oraz kobiet z amerykańskiego heartlandu.

„Przestaniemy ścigać się w obalaniu obcych reżimów, o których nic nie wiemy" – słowa jeszcze z 2016 r., tuż po pierwszej wygranej w wyborach, miały stać się probierzem drugiej kadencji. Dla wyborców z klasy robotniczej, weteranów, rodzin Gold Star (określenie rodzin, które straciły bliskiego członka w służbie wojskowej) i tradycyjnych konserwatystów rozczarowanych neokonserwatywnym awanturnictwem poprzednich administracji republikańskich te słowa były prawdziwą deską ratunku i powrotem do powściągliwości i realizmu w polityce zagranicznej. Trump skutecznie przedstawiał się jako prezydent pokoju, który rozumie, że prawdziwa wielkość Ameryki nie wymaga ciągłej interwencji militarnej za granicą. Jednak zaledwie nieco ponad rok po rozpoczęciu drugiej kadencji Stany Zjednoczone są głęboko uwikłane w gorącą wojnę z Iranem. To, co wielu miało nadzieję utrzymać jako ograniczone operacje, szybko przerodziło się w szerszą konfrontację regionalną o znaczących konsekwencjach ludzkich, gospodarczych i strategicznych – konflikt, którego zdecydowana większość koalicji wyborczej Trumpa z 2024 r. jeszcze kilka tygodni wstecz nie była sobie w stanie wyobrazić jako realną opcję.

Dla tych milionów, które poparły Donalda Trumpa w roku 2016 i ponownie w 2024 właśnie dlatego, że odrzucał mentalność „wiecznych wojen o wieczny pokój" z ery George'a W. Busha oraz liberalny interwencjonizm panujący za rządów Baracka Obamy i Joe Bidena, pytanie stało się zarówno pilne, jak i głęboko bolesne: Co się stało z Donaldem Trumpem? Warto zauważyć jednak, że ta zmiana nie pojawiła się nagle ani bez sygnałów ostrzegawczych. Sam Trump przedstawił niezwykle szczere spojrzenie na mające swoje źródło w szerokiej sieci wpływów i grup nacisku w Waszyngtonie przyczyny obecnych wydarzeń na Bliskim Wschodzie podczas przyjęcia chanukowego w Białym Domu 16 grudnia 2025 r.

LEWICA I PRAWICA PRZECIW IZRAELOWI

Przemawiając do publiczności składającej się z żydowskich liderów, zwolenników i kongresmenów, prezydent otwarcie zastanawiał się nad zmianami w strukturze wpływów lobby izraelskiego wśród amerykańskiej klasy politycznej. Przypomniał wcześniejszy okres, odwołując się do obserwacji swojego ojca: „Jeśli cofniemy się 10, 12, 15 lat wstecz, to najsilniejszym lobby w Waszyngtonie

eprasa.pl cf50c2f600

Prezydent USA Donald Trump tańczy do utworu „YMCA" zespołu Village People. Obok stoją prominentni politycy Partii Republikańskiej (od lewej): Tom Emmer, Mike Johnson, Steve Scalise, Lisa McClain. Trump National Doral w Miami, 9 marca 2026 r.

FOT. SAUL LOEB/AFP/EAST NEWS

było lobby żydowskie. To był Izrael. Tak już nie jest". Trump ostrzegał słuchaczy, by „byli bardzo ostrożni", zauważając, że Kongres w szczególności „staje się antysemicki". Wskazał na lewicowe postaci, takie jak „AOC [odwołanie do lewicowej kongresmenki z Nowego Jorku Alexandrii Ocasio-Cortez – przyp. red.] plus trzy", kongresmenkę somalijskiego pochodzenia Ilhan Omar i innych, których opisał jako żywiących wrogość wobec Żydów lub sprzeciwiających się silnym relacjom USA – Izrael. Trump zauważył, że „w Kongresie jest wielu ludzi, którzy nie lubią Izraela", i sugerował, że nawet Senat wykazuje „iskierki" podobnego sceptycyzmu.

Wyraził zaskoczenie tą ewolucją, stwierdzając, że 15 lat wcześniej odrzuciłby taki scenariusz jako niemożliwość. W istocie Trump ubolewał nad osłabieniem wieloletnich wpływów potężnego proizraelskiego lobby na Kapitolu. Ten moment szczerości prezydenta był uderzający, ponieważ trafnie uchwycił rzeczywistą transformację w amerykańskiej polityce. Lata nagromadzonego zmęczenia ciągłymi wojnami wśród społeczeństwa, wzrost zorientowanego na powściągliwość ruchu konserwatystów oraz rosnąca widoczność kongresmenów i liderów opinii mniej odruchowo wspierających priorytety izraelskie rzeczywiście osłabiły niegdyś niemal niekwestionowaną dominację lobby izraelskiego. Czasy, gdy Kapitol był, jak to kiedyś barwnie określił Pat Buchanan, „terytorium okupowanym przez Izrael", dobiegały końca. Postępowe głosy na lewicy w połączeniu z rosnącym sceptycyzmem reprezentantów ruchu America First na prawicy, szczególnie po niedającym się ukryć ludobójstwie w Strefie Gazy, stworzyły nową przestrzeń polityczną do kwestionowania długoletnich założeń dotyczących zobowiązań USA na Bliskim Wschodzie.

Jednak to właśnie osłabienie wpływów w strukturach władzy ustawodawczej skutkowało przekierowaniem i skoncentrowaniem presji gdzie indziej, tj. bezpośrednio do władzy wykonawczej, w szczególności do osobistego kręgu otaczającego prezydenta oraz Gabinetu Owalnego, gdzie zaufani doradcy (na czele z szefową personelu Susie Wiles, która w 2020 r. krótko doradzała Beniaminowi Netanjahu w trakcie izraelskich wyborów parlamentarnych) i kanały dyplomatyczne oraz źródła wywiadowcze zza kulis mogły wywierać nieproporcjonalny wpływ na podejmowanie decyzji mocno poturbowanego politycznie przez aferę Epsteina Donalda Trumpa.

Kluczowe postaci z długoletnimi powiązaniami z prezydentem były z kolei idealnie usytuowane, aby walnie przyczynić się do „przemiany" Donalda Trumpa. Jared Kushner, który służył jako doradca w pierwszej kadencji Trumpa i odegrał centralną rolę w negocjacjach Porozumień Abrahamowych, powrócił do aktywnej roli jako wysłannik do spraw Bliskiego Wschodu. Podobnie deweloper nieruchomości, Steve Witkoff, został powołany na istotne stanowisko dyplomatyczne w negocjacjach m.in. z Iranem. Jak donosił jednak brytyjski „The Guardian", zagraniczni oficjele, w tym brytyjski doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, Jonathan Powell, uważali, że porozumienie z Iranem zasadniczo było gotowe w przededniu wybuchu wojny, natomiast dyplomata z kraju Rady Współpracy Zatoki Perskiej (GCC), mający bezpośrednią wiedzę o tajnych rozmowach USA – Iran, postrzegał rolę Kushnera i Witkoffa jako „izraelskie aktywa, które spiskowały, by zmusić prezydenta USA do wejścia w wojnę, z której teraz rozpaczliwie próbuje się wydostać".

Sugestia jest oczywista: impet ku konfrontacji z Iranem wynikał w większym stopniu z długoletniego celu Tel Awiwu – decydującego zneutralizowania irańskiego potencjału nuklearnego i szerszych wpływów regionalnych Teheranu – niż z niezależnej, czysto amerykańskiej oceny bezpośrednich zagrożeń dla bezpieczeństwa narodowego USA. O naciskach Izraela na Trumpa w tygodniach poprzedzających wojnę, co ciekawe, rozpisały się w ostatnim czasie w długich artykułach wszystkie amerykańskie media głównego nurtu, od „The Washington Post" do CNN, co jest ewenementem, biorąc pod uwagę dotychczasowy status niemalże „nietykalnego" charakteru „specjalnej relacji" rzekomo łączącej Tel Awiw i Waszyngton.

AKT ZDRADY

Premier Izraela Beniamin Netanjahu wraz ze swoim gabinetem prowadził długotrwałą, wielomiesięczną kampanię lobbingową, której celem było przekonanie Trumpa do porzucenia rozmów dyplomatycznych z Iranem i bezpośrednich amerykańskich uderzeń na irańskie instalacje nuklearne, cele przywódcze oraz infrastrukturę wojskową. Ta presja, szeroko opisana przez najważniejsze amerykańskie media, odegrała kluczową rolę w zmianie polityki USA w tygodniach poprzedzających wspólną operację amerykańsko-izraelską, która rozpoczęła się 28 lutego 2026 r. Jak donosił „The New York Times" 11 lutego br., zaledwie kilka tygodni przed rozpoczęciem działań militarnych Netanjahu wszedł do Gabinetu Owalnego z wyraźnym zamiarem osiągnięcia przy pomocy Trumpa swoich zamierzeń.

Urzędnicy administracji rozpoczęli negocjacje z Teheranem, lecz Netanjahu argumentował, że dyplomacja zmarnuje wąskie okno na decydujące działanie militarne. „NYT" opisał to spotkanie jako przełomowy moment, w którym Netanjahu utrzymał Trumpa „na ścieżce

eprasa.pl cf50c2f600

prowadzącej do wojny". Portal Axios z kolei donosił, że Trump i Netanjahu wyraźnie zgodzili się na zintensyfikowanie strategii „maksymalnej presji" na Iran, ze szczególnym naciskiem na uniemożliwienie Iranowi sprzedaży ropy do Chin.

„The Washington Post" opisał szerszą kampanię lobbingową, w którą zaangażowany był nie tylko Izrael, lecz także Arabia Saudyjska. Według czterech źródeł zaznajomionych ze sprawą wielotygodniowa skoordynowana presja ze strony tych dwóch sojuszników pomogła przekonać Trumpa do przeprowadzenia szeroko zakrojonych uderzeń, mimo że ówczesne amerykańskie oceny wywiadowcze nie wskazywały na bezpośrednie zagrożenie ze strony Iranu dla USA. Magazyn „Time" opublikował analizę o znamiennym tytule „Jak Netanjahu pchnął Trumpa w stronę wojny". Opisano w niej, jak „śmiałość, bezwzględność i szczęście" Netanjahu przez ponad rok pomagały zmienić politykę USA. Izraelskie źródła w rozmowie z „Time" powiedziały, że strategiczne decyzje Netanjahu – powtarzające się wizyty na wysokim szczeblu, prywatne dzielenie się informacjami wywiadowczymi oraz przedstawianie sprawy jako egzystencjalnego zagrożenia – były decydującym czynnikiem w przekonaniu Trumpa do słuszności wojny. NBC News i inne media relacjonowały później publiczne zaprzeczenia Netanjahu, który twierdził, że Izrael nie wywierał presji na USA i że Trump działał wyłącznie w interesie Ameryki. Jednak te oświadczenia były szeroko zestawiane w amerykańskich mediach z wcześniejszymi, szczegółowymi doniesieniami o wielomiesięcznym prywatnym lobbingu, powtarzających się wizytach w Białym Domu oraz bezpośrednich apelach o porzucenie dyplomacji, przy walnej pomocy izraelskiej piątej kolumny w Ameryce.

Przez cały 2025 r. amerykańskie media opisywały również izraelski sprzeciw wobec jakiegokolwiek porozumienia nuklearnego, które pozwoliłoby Iranowi na choćby ograniczone wzbogacanie uranu. Netanjahu prywatnie mówił swoim współpracownikom, że negocjacje Trumpa są „stratą czasu", a izraelscy urzędnicy przekazywali zespołowi Trumpa (w tym wysłannikowi Steve'owi Witkoffowi), że Jerozolima nie zaakceptuje żadnego porozumienia pozostawiającego irańską infrastrukturę nuklearną nietkniętą. To stanowisko powodowało ciągłe napięcia wewnątrz administracji i przyczyniło się do ostatecznego załamania toru dyplomatycznego. Chociaż ostateczną decyzję o zainicjowaniu działań zbrojnych podjął Trump, to doniesienia te jasno pokazują, że izraelskie naciski były znaczącym i publicznie udokumentowanym czynnikiem.

Oprócz czynnika izraelskiego jest jeszcze inny aspekt tej wojny, który świadczy o chaotycznym sposobie działania Trumpa, a mianowicie zmieniające się niemalże co chwilę cele tego konfliktu. Na początku prezydent USA wprost wzywał do zmiany reżimu, mówiąc Irańczykom: „Gdy skończymy, przejmijcie swój rząd. Będzie wasz", ale kilka dni później jego sekretarz obrony oświadczył, że „to nie jest tzw. wojna o zmianę reżimu", po czym sam Trump ogłosił, że „zmiana reżimu już nastąpiła".

W sprawie programu nuklearnego prezydent USA wielokrotnie twierdził, że uderzenia z czerwca 2025 r. „całkowicie zniszczyły" irańskie zdolności, by później, w 2026 r., rozpocząć nowe ataki, ponieważ Teheran rzekomo ignorował ostrzeżenia i odbudowywał potencjał – podkreślając, że jedynym celem jest zapewnienie, iż „nigdy nie będą mieć broni nuklearnej". Warto w tym miejscu odnotować, że szefowa amerykańskiego wywiadu narodowego (DNI) Tulsi Gabbard w zeznaniach przed senacką komisją do spraw wywiadu 18 marca br. stwierdziła w pisemnej formie swoich zeznań, że Iran nie odbudował swojego programu wzbogacania uranu po wspólnych amerykańsko-izraelskich uderzeniach na trzy kluczowe irańskie obiekty nuklearne w czerwcu ubiegłego roku. „W wyniku operacji »Midnight Hammer« program wzbogacania uranu Iranu został całkowicie zniszczony" – napisała Gabbard w swoim raporcie. „Od tamtej pory nie podjęto żadnych wysiłków, by odbudować zdolności wzbogacania. Wejścia do podziemnych obiektów, które zostały zbombardowane, są zasypane i zamknięte cementem". Jak wielu jednak zauważyło, Gabbard, o dziwo, nie odczytała na głos akurat tego konkretnego fragmentu raportu przed komisją. Jej ocena zdawała się przeczyć słowom Trumpa z 4 marca br.: „Gdybyśmy nie uderzyli w ciągu dwóch tygodni, oni mieliby już broń nuklearną".

Operacja „Epic Fury" miała według Departamentu Obrony skupiać się wyłącznie na „zniszczeniu zagrożenia rakietowego, zniszczeniu marynarki wojennej… i zakończeniu drogi do broni nuklearnej", lecz szybko na pierwszy plan wysunęła się cieśnina Ormuz: Trump dał Iranowi 48-godzinne ultimatum 21 marca br. – otwórzcie cieśninę albo uderzymy w elektrownie, potem odroczył termin, powołując się na „produktywne rozmowy" (nie wiadomo nadal z kim dokładnie), a ostatecznie zasugerował, że USA wycofają się, nawet jeśli cieśnina pozostanie zamknięta, zostawiając sojusznikom pilnowanie szlaku.

Beniamin Netanjahu, rzecz jasna, nie przejmuje się takimi szczegółami. Lecz to, co Izrael uznał za niebywały sukces, a jego premier za realizację jego 40-letnich starań wciągnięcia USA do wojny z Iranem, z punktu widzenia niecierpiących na ślepy serwilizm wobec Trumpa wyborców, było aktem zdrady.

Co prawda, w pierwszej kadencji Trump autoryzował zabicie irańskiego generała Kasema Sulejmaniego w styczniu 2020 r., jednak bez dalszej eskalacji czy dążenia do otwartej zmiany reżimu. Czym innym jednak było zabicie irańskiego generała, a czym innym dać się wciągnąć w wojnę krajem, z którym otwartego konfliktu konsekwentnie unikali wszyscy amerykańscy prezydenci od 1979 r.

Druga kadencja przekształciła kampanię „maksymalnej presji" przeciwko Iranowi w bezpośredni udział USA w otwartej agresji militarnej, nielegalnej, niepopularnej i na obce życzenie. To nie mogło pozostać bez konsekwencji, również w samej administracji.

Pierwsze poważne publiczne pęknięcie nastąpiło 17 marca 2026 r., gdy Joe Kent, dyrektor Narodowego Centrum Antyterrorystycznego, złożył w proteście rezygnację z zajmowanego stanowiska. Kent nie był żadnym establishmentowym insiderem; był weteranem 11 misji bojowych i oddanym lojalistą Trumpa. Jego żona, Shannon Kent, zginęła w zamachu ISIS w Syrii, który to konflikt Joe Kent opisywał w swoim liście rezygnacyjnym jawnie jako „wytworzony przez Izrael". Ów list, który Kent opublikował na

eprasa.pl cf50c2f600

portalu X, był bezpośredni i stanowczy. W tej adresowanej do Trumpa korespondencji stwierdzał m.in.: „Po głębokim namyśle postanowiłem zrezygnować ze stanowiska dyrektora Narodowego Centrum Antyterrorystycznego, z dniem dzisiejszym. Nie mogę w sumieniu popierać trwającej wojny z Iranem. Iran nie stanowił żadnego bezpośredniego zagrożenia dla naszego narodu, a jest jasne, że rozpoczęliśmy tę wojnę pod presją Izraela i jego potężnego amerykańskiego lobby". Kent kontynuował, oskarżając „wysokich urzędników izraelskich i wpływowe osoby w amerykańskich mediach" o prowadzenie „kampanii dezinformacji", która „całkowicie podważyła [...] agendę [Trumpa] America First i siała prowojenne nastroje, by zachęcić do wojny z Iranem". Przypomniał prezydentowi o jego wcześniejszej klarownej wizji polityki zagranicznej: „Do czerwca 2025 r. rozumiałeś, że wojny na Bliskim Wschodzie były pułapką, okradały Amerykę z cennego życia naszych patriotów i wyczerpywały bogactwo oraz dobrobyt naszego narodu". Jako mąż Gold Star Kent oświadczył, że nie może popierać „wysyłania następnego pokolenia na walkę i śmierć w wojnie, która nie przynosi żadnej korzyści amerykańskiemu narodowi". Wezwał Trumpa do refleksji nad prawdziwymi beneficjentami konfliktu i zmiany kursu, zanim dojdzie do dalszej eskalacji. List nie był emocjonalnym wybuchem marginalnej czy nielojalnej postaci. Kent został mianowany na kluczowe stanowisko wywiadowcze przy szerokim poparciu konserwatywnym i ucieleśniał perspektywę America First w aparacie bezpieczeństwa narodowego.

BRAK CELU STRATEGICZNEGO

Organizacje weteranów, antywojenni konserwatyści oraz zwykli wyborcy Trumpa, którzy entuzjastycznie wiwatowali na hasła w stylu „koniec z wiecznymi wojnami", nagle stanęli w obliczu rzeczywistości amerykańskich sił ponownie zaangażowanych w kolejny kosztowny bliskowschodni konflikt, bez jasno zdefiniowanego celu strategicznego, z najbardziej znaczącym wrogiem USA w tym regionie oraz bez mandatu społecznego. Wielu wyborców zaczęło stawiać pytanie, czy administracja została subtelnie przejęta przez te same ośrodki organizujące amerykańską politykę zagraniczną po 1989 r., które kiedyś Trump przyrzekał obalić. Szybko rozprzestrzeniająca się w mediach społecznościowych przeróbka oficjalnej nazwy operacji „Epicka Furia" na „Furia Epsteina" była mocnym wizerunkowym ciosem dla Białego Domu.

W grudniu 2025 r. Donald Trump ogłosił zmierzch wpływów izraelskiego lobby w Kongresie. Miał całkowitą rację. Być może jednak nie przewidział, że będzie tym, który da temu lobby ostatnie, najdroższe i najbardziej dramatyczne zwycięstwo

Konserwatyści, którzy entuzjastycznie wspierali Trumpa zarówno w roku 2016, jak i w 2024, robili to w dużej mierze z powodu wyraźnego odrzucenia modelu polityki zagranicznej, szczególnie tego z ery George'a W. Busha – charakteryzującego się okupacjami, próbami budowy demokracji przy pomocy bomb oraz założeniem, że bezpieczeństwo Ameryki wymaga całkowitego przekształcenia odległych społeczeństw na nasz obraz i podobieństwo. Pamiętali spreparowane informacje wywiadowcze i mylące przesłanki, które pchnęły inwazję na Irak, destabilizujący chaos wywołany interwencją w Libii, oraz 20-letnią mordęgę w Afganistanie, która zakończyła się upokarzającym wycofaniem i powrotem do władzy talibów.

Pozorny, jak się teraz okazuje, polityczny geniusz Trumpa polegał na ukazywaniu destrukcyjnego wpływu tych wszystkich konfliktów na zwykłych Amerykanów. Udało mu się propagandowo przeorientować Partię Republikańską na stronnictwo nastawione na zwykłego Amerykanina, który dźwiga ciężar podatków, wysyła członków rodziny na linię frontu i otrzymuje niewiele namacalnych korzyści w zamian – czy to w zwiększonym bezpieczeństwie, dobrobycie gospodarczym lub prestiżu. Ta sama rdzenna grupa wyborców zadaje teraz trafne, uzasadnione pytania: Dlaczego Iran? Dlaczego właśnie teraz i w taki sposób? Cytowane wcześniej przemówienie chanukowe z grudnia 2025 r., w którym sam Trump publicznie podkreślił malejący de facto szantaż lobby izraelskiego w Kongresie, ironicznie rzuca światło na to, jak ta sama presja mogła po prostu przenieść się i nasilić wewnątrz procesu decyzyjnego w Białym Domu. Wielu wyborców Trumpa, widząc to wszystko, dochodzi do jednej konkluzji: osobista lojalność wobec transformacyjnego niegdyś lidera nigdy nie powinna przesłaniać zwolennikom znaczących odchyleń od fundamentalnych zasad. Agenda America First nigdy nie była synonimem izolacjonizmu czy słabości; raczej stanowczo odrzucała niepotrzebne uwikłania w wojny z wyboru, które nie służą jasno zdefiniowanym, żywotnym interesom narodowym USA. Dokonania pierwszej kadencji Trumpa, czyli unikanie wojen przy jednoczesnym konfrontowaniu konkretnych zagrożeń poprzez jednorazowe uderzenia i dyplomatyczne przełomy, takie jak Porozumienia Abrahamowe, przy wszystkich niedoskonałościach tych układów pokojowych, można było jeszcze, mniej lub więcej, umieścić w ramach polityki America First. Jednak obecna trajektoria już w żadnej mierze nie stawia Ameryki na pierwszym miejscu.

Powtórzmy zatem pytanie z początku niniejszego tekstu: Co się stało z Donaldem Trumpem? Raz po raz obiecywał stawiać amerykańskich pracowników, amerykańskie granice i amerykańskie interesy ponad wszystko inne, a obecnie nadzoruje konflikt militarny, który ma potencjał przekształcić się w katastrofę, której Ameryka nie doświadczyła przynajmniej od czasów wojny w Wietnamie.

W grudniu 2025 r. Donald Trump sam ogłosił zmierzch wpływów izraelskiego lobby w Kongresie. Miał całkowitą rację. Być może jednak nie przewidział, że będzie tym, który da temu lobby ostatnie, najdroższe i najbardziej dramatyczne zwycięstwo – zwycięstwo, które może kosztować Amerykę więcej niż jakakolwiek poprzednia wojna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cf50c2f600

Wietnamski żołnierz na dachu w Sajgonie, 9 maja 1968 r.

FOT. UPI/BETTMANN ARCHIVE/GETTY IMAGES

Z dr. Jaremą Słowiakiem, historykiem z UJ, znawcą dziejów konfliktów indochińskich
rozmawia Piotr Włoczyk

Kiedy bomby to za mało

PIOTR WŁOCZYK: W 1965 r. Amerykanie rozpoczęli trzyletnią kampanię lotniczą „Rolling Thunder", która miała rzucić na kolana Wietnam Północny. Czy widać tu jakieś podobieństwa do tego, co USA robią dziś w Iranie?

DR JAREMA SŁOWIAK: Podobieństwem jest na pewno wiara w to, że samą potęgą powietrzną Amerykanie są w stanie zmusić przeciwnika do konkretnych działań. Cele w obu przypadkach były oczywiście inne, ale jednak wiara w skuteczność US Air Force jest podobna.

W Wietnamie kampania powietrzna „Rolling Thunder" miała na celu wymuszenie ustępstw politycznych – chodziło o wstrzymanie pomocy dla partyzantów walczących w Wietnamie Południowym. Chociaż brzmi to jak cel militarny, to jednak była to przede wszystkim kwestia polityczna. Co ważne – cele „Rolling Thunder" nie były tak ambitne jak dziś, a i tak nie udało się złamać woli przeciwnika.

Jak potężne były naloty na Wietnam Północny?

W czasie tej kampanii Amerykanie użyli znacznych sił, ale jednak nie była ona prowadzona w takiej skali, jak by sobie tego życzył słynny gen. Curtis LeMay, który był „ojcem" lotnictwa strategicznego USA. To on był autorem słynnej wypowiedzi: „Możemy zbombardować Wietnam do epoki kamienia łupanego".

Biały Dom postanowił stopniowo zwiększać nacisk na Hanoi, dając tym samym odczuć Wietnamczykom z północy, że będzie tylko gorzej, ich stolica może zostać zniszczona, więc lepiej będzie dla nich szybciej ustąpić. Jednak Amerykanie nie osiągnęli tu sukcesu, ponieważ do rozmów doszło dopiero, gdy Pentagon wstrzymał tę operację w 1968 r. Wietnamczycy twardo stali na stanowisku, że dopóki bombardowania nie zostaną wstrzymane, dopóty do rozmów nie dojdzie. I tu się pojawia ciekawy polski wątek.

PRL brała udział w pracach działającej w Wietnamie Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli.

W 1966 r. Polacy podjęli się supertajnej mediacji pomiędzy Amerykanami i Wietnamczykami z północy. W grudniu 1966 r. miało dojść do spotkania obu stron w Warszawie. Amerykanie z powodu złej pogody wstrzymali w tamtym okresie bombardowania, ale jak tylko warunki się poprawiły – wznowili ataki z powietrza. Wietnamczycy stwierdzili

eprasa.pl cf50c2f600

wtedy, że siadanie w takich okolicznościach do stołu z Amerykanami wyglądać będzie na przymus, co jest niedopuszczalne. Obie strony patrzyły na to zupełnie inaczej, bo Amerykanie uważali, że bombardowania to coś zupełnie niezależnego od negocjacji. Ostatecznie nic nie wyszło ze spotkania w Warszawie, jednak z perspektywy czasu możemy stwierdzić, że Wietnamczycy z północy nie byli wtedy tak naprawdę zainteresowani negocjacjami.

Byli przekonani, że w końcu „zmęczą" Amerykanów i USA wycofają się z konfliktu?

Tak, uważali, że przetrwają ataki i w końcu wygrają. Okazało się, że błędem ze strony Amerykanów było stopniowe zwiększanie intensywności ataków, ponieważ dzięki temu Hanoi miało czas, by zbudować skuteczną obronę przeciwlotniczą. Gdyby Amerykanie od razu przystąpili do potężnych nalotów, to ich przeciwnikom trudniej byłoby zbudować system, który według niektórych ekspertów był najbardziej zaawansowaną obroną przeciwlotniczą na świecie. Oczywiście było to możliwe dzięki pomocy sowieckiej i chińskiej. 320 tys. żołnierzy ChRL znalazło się na północy Wietnamu; Chińczycy luzowali w ten sposób żołnierzy wietnamskich, którzy mogli walczyć na południu, a także przygotowywali Północ na amerykańską inwazję, czego Hanoi obawiało się do końca wojny.

Światowa opinia publiczna nasilające się bombardowania odbierała fatalnie. Oto największe mocarstwo bije małe państwo azjatyckie i do tego masakruje je w mało „rycerski" sposób – na odległość, z wysokości wielu kilometrów.

W amerykańskiej historiografii podkreśla się, że „Rolling Thunder" był operacją źle zaplanowaną i przeprowadzoną, przez co Wietnamczycy byli zdolni rozproszyć swój przemysł. Ale po latach okazało się, że ta operacja była jednak ogromnym problemem dla Hanoi.

W przypadku wojny w Iranie Amerykanie od razu przystąpili do potężnych ataków. Może zatem wyciągnęli lekcję z historii?

Być może, ale w przypadku Wietnamu od początku w Pentagonie domyślano się, że bombardowania raczej nie przełożą się na sukces polityczny. Jak twierdzi historyk wojskowości, Geoffrey Wawro, gry wojenne przeprowadzone w 1964 r. pokazały, że operacje lotnicze na niewiele się zdadzą, bo Wietnam Północny nie jest III Rzeszą i brakuje tam „tłustych" celów, jak wielkie zakłady przemysłowe. Jednak faktem jest, że nie było tu dobrego wyboru: poza bezpośrednią inwazją na północ, czego Amerykanie nie chcieli robić, obawiając się reakcji Chin, kampania powietrzna była jedyną opcją nacisku. Wszyscy w Waszyngtonie pamiętali wojnę w Korei, gdy nagle graniczną rzekę przekroczyło pół miliona chińskich „ochotników", co sprawiło Zachodowi ogromne problemy.

JAREMA SŁOWIAK „KHE SANH 1968" INFORTEDITIONS 2017

Amerykanie nie mogli być zaskoczeni stopniem trudności wojny w Wietnamie.

W 1954 r. 80 proc. francuskich wydatków na wojnę w Indochinach pochodziło z USA. Amerykanie wiedzieli z pierwszej ręki, jak trudna jest sytuacja na miejscu, ponieważ mieli wtedy w Wietnamie misję doradczą.

A jednak i tak wpadli w podobną „pułapkę" co Francuzi. Dlaczego?

Bo tak właściwie sami na siebie zastawili nową „pułapkę". W 1954 r., po słynnej klęsce pod Dien Bien Phu, Francuzi zdecydowali się wycofać z wojny. Z północy wypchnęli ich komuniści, a z południa Amerykanie, którzy stwierdzili, że francuskie metody nie sprawdziły się i czas na nowe rozwiązania.

Na szczęście dla Amerykanów w 1954 r. pojawił się w Wietnamie Ngô Đình Diệm, który został mianowany przez cesarza Bảo Đại premierem. Mitem są opowieści, że był to człowiek Amerykanów – nic z tych rzeczy. Latem 1954 r. na południu panował kompletny chaos i nic nie wskazywało na to, że rząd Diệm przetrwa. A jednak udało mu się pokonać przeciwników wewnętrznych i został prezydentem. Sęk w tym, że gdy tylko Diệm ustabilizował sytuację, Amerykanie odcięli mu połowę pomocy. W dłuższej perspektywie był to błąd, który uniemożliwił przygotowanie południowowietnamskich wsi na pojawienie się komunistycznych partyzantów.

Diệm stworzył reżim, który był przeżarty korupcją.

To prawda, ale trzeba to umieścić w szerszym kontekście. Na północy też była korupcja i ten problem nie dotyczył tylko Wietnamu. Nie usprawiedliwiam tego, tylko chcę pokazać, że w tamtych czasach w tamtym regionie świata to zjawisko nie było niczym nadzwyczajnym. Nawiasem mówiąc, nieco komiczne jest zarzucanie mu promowania członków własnej rodziny, skoro JFK uczynił brata prokuratorem generalnym i zarazem swoim najbliższym doradcą...

Jak wspomniałem, ciężko uznać Diệma za marionetkę Amerykanów. Ten polityk miał swoje zdanie i nie lubił, gdy USA przedstawiały mu obcesowo swoje żądania, co zresztą skończyło się dla niego bardzo źle.

Kto konkretnie w Waszyngtonie chciał wymienić prezydenta Wietnamu Południowego?

Za obaleniem Diệma w 1963 r. stała dość niewielka grupa amerykańskich polityków, która jednak miała w swoich szeregach ambasadora USA w Wietnamie. Henry Cabot Lodge Jr. był republikaninem i potencjalnym przeciwnikiem prezydenta USA w zbliżających się wyborach prezydenckich. Mimo że z Waszyngtonu przyszło polecenie, by nie zachęcać sajgońskich elit do przeprowadzenia przewrotu, w swoich prywatnych rozmowach z generałami, którzy sondowali Amerykanów, ambasador dał im zielone światło do takich działań. Powiedział im, że jeżeli obalą Diệma, to amerykańska pomoc będzie utrzymana. To zachęciło spiskowców.

Wspomnianej grupie amerykańskich polityków wydawało się, że jeżeli w miejsce Diệma pojawi się grupa generałów, to będą oni bardziej elastyczni i lepiej będą potrafili walczyć z komunistami. Co ważne – Pentagon był przeciwny obalaniu Diệma, bo wojna z partyzantką przebiegała dość dobrze, więc nie było sensu wprowadzać zamętu na szczytach władzy. Jednak za sprawą intrygi Lodge'a Jr. południowowietnamscy generałowie dokonali w listopadzie 1963 r. przewrotu i Diệm został zabity.

eprasa.pl cf50c2f600

Czyli usunięcie przywódcy Wietnamu Południowego było jednym z głównych elementów składających się na „pułapkę", którą Amerykanie zastawili sami na siebie?

Tak, Amerykanie własnymi rękami obalili jedyną osobę, która mogła nie dopuścić do rozlania się konfliktu. Zresztą w raportach służb PRL możemy przeczytać, że Amerykanie usunęli najskuteczniejszego przeciwnika komunistów w Azji Południowo-Wschodniej. Dodajmy, że obalenie Diệma spowodowało przesilenie w kierownictwie partyjnym w Hanoi i decyzję o gwałtownej eskalacji wojny na Południu.

Pogarszanie się sytuacji w Wietnamie doprowadziło do dylematu. W 1965 r. Amerykanie mogli się wycofać z tego kraju i pogodzić się z porażką, która naruszyłaby ich prestiż. Albo mogli zrobić coś radykalnego, czyli użyć swojej potęgi wojskowej, by na poważnie zaangażować się militarnie w ten konflikt.

Bardzo przydał się tu tzw. incydent w Zatoce Tonkińskiej z sierpnia 1964 r.

Wokół przebiegu tych wydarzeń widać sporo znaków zapytania, ale jedno nie ulega wątpliwości – prezydent Johnson potrzebował dobrego pretekstu, by móc zaangażować machinę wojenną USA. W 1964 r. Amerykanie wciąż mieli nadzieję, że nie trzeba będzie interweniować i Johnson zapewne nie planował jeszcze wysłania pół miliona żołnierzy, ale dzięki incydentowi w Zatoce Tonkińskiej dostał od Kongresu carte blanche.

Podsumowując: Amerykanie, bardzo nie chcąc wejść do wojny, najpierw obalili człowieka, który utrzymywał sytuację pod kontrolą, a potem zawzięcie starali się nie stoczyć ze śliskiej pochylni, którą sami sobie ustawili. W 1965 r. rozpoczęli „Rolling Thunder" i wysłali do walki swoje regularne wojska.

Co było priorytetem w polityce następcy JFK?

Johnson miał zamiar realizować w USA projekt Wielkiego Społeczeństwa, potrzebował na to dużo pieniędzy i nie chciał wojny w Wietnamie. Angażował się jednak m.in. dlatego, by republikanie nie zarzucali mu, że jest „miękki". Gdyby nie obalono Diệma, to najpewniej Biały Dom Johnsona „pompowałby" w ten reżim pieniądze, wysyłałby doradców, ale regularne wojska USA raczej nie weszłyby do konfliktu.

Przywiązanie do tzw. teorii domina (po upadku Wietnamu Południowego komunizm miał zalać resztę regionu) okazało się zgubne?

Tu byłbym ostrożny. Tę myśl sformułowano jeszcze w latach 50., jednak 20 lat później Laos i Kambodża faktycznie stały się komunistyczne. Natomiast to, że Filipiny, Tajlandia i Malezja nie zostały zdobyte przez komunistów, może jednak mieć związek z zaangażowaniem Amerykanów w Wietnamie...

W 1968 r. siły komunistyczne przeprowadziły ofensywę Tết. Teoretycznie była to ich klęska, ale w praktyce sprawa była bardziej skomplikowana.

Komuniści zaatakowali wtedy wszystkie większe miasta w Wietnamie Południowym. Pod względem militarnym ponieśli klęskę. Najdłużej – cztery tygodnie – utrzymali się w Huế niedaleko granicy. Ale ponieważ narracyjnie stworzono wizję, że takie ofensywy mogą się powtarzać w nieskończoność, a Biały Dom wcześniej mówił, że zwycięstwo jest na wyciągnięcie ręki, więc społeczeństwo amerykańskie poczuło się oszukiwane.

Wybory w listopadzie 1968 r. wygrał Nixon, twierdząc, że wie, jak zakończyć wojnę z honorem. Nie podał jednak szczegółów. A gdy objął władzę, dokonał eskalacji, przenosząc wojnę na terytorium Kambodży.

Jak wyglądała sytuacja wojskowa po ofensywie Tết?

Rząd w Sajgonie zanotował wiele sukcesów na prowincji, więc pod względem militarnym nie było źle. Zepsuł się jednak klimat polityczny – amerykańskie społeczeństwo było już bardzo zmęczone tą wojną. Poza tym Północ sygnalizowała, że będzie parła na południe. I rzeczywiście coraz częściej dochodziło do ataków regularnej armii północnowietnamskiej, wyposażonej w ciężki sprzęt.

W 1972 r. przeprowadzona została tzw. ofensywa wielkanocna, gdy komunistyczne czołgi przekroczyły 17. równoleżnik – granicę między oboma państwami wietnamskimi. Sajgon zatrzymał inwazję, ale rok później USA wycofały się z Wietnamu.

Nixon wymusił na Wietnamie Południowym podpisanie zawieszenia broni, na mocy którego siły komunistyczne mogły pozostać na zdobytych terytoriach na Południu. Dodatkowo Amerykanie odcięli swojego południowowietnamskiego sojusznika od paliwa, amunicji i części zamiennych. W 1975 r. doszło do inwazji, w wyniku której regularna armia komunistyczna pokonała przeciwnika pozbawionego wsparcia z USA. Nikt się nie spodziewał tak szybkiego upadku państwa południowowietnamskiego, ale nie mogło być inaczej, skoro Amerykanie w gruncie rzeczy porzucili swojego sojusznika.

Amerykanie chyba nie spodziewali się, że ich przeciwnik aż tak nie będzie się liczył z życiem swoich żołnierzy?

Propaganda Północy twierdziła, że Amerykanie muszą przegrać wojnę, bo co roku na Północy więcej mężczyzn osiąga wiek poborowy, niż wynoszą straty sił komunistycznych walczących na Południu. Czyli Amerykanie nie są w stanie zabić wystarczająco wielu żołnierzy Wietnamu Północnego... Nawet Władysław Gomułka sygnalizował w rozmowach z wysłannikami Hanoi, że to jest błąd, bo trzeba zachować biologiczną substancję narodu.

Komentując wojnę w Iranie, eksperci często nawiązują do błędnych kalkulacji Amerykanów sprzed ponad półwiecza, podkreślając, że toczenie wojny z przeciwnikiem, który jest bardziej wytrzymały na „ból" i ma więcej do stracenia, jest obarczone gigantycznym ryzykiem...

W przypadku wojny w Wietnamie jasno widać, że Amerykanie przecenili skuteczność własnej machiny wojennej i nie docenili odporności na „ból" swojego wroga. I jeszcze jedna sprawa odgrywała tu ważną rolę: przekonanie o tym, że Wietnamczycy z Północy to trzecia kategoria komunistów – gorsza od Sowietów i Chińczyków. A przecież niedocenianie przeciwnika to proszenie się o kłopoty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Jarema Słowiak jest historykiem z Uniwersytetu Jagiellońskiego, znawcą dziejów konfliktów indochińskich, autorem książki „Khe Sanh 1968. Amerykańskie i wietnamskie poszukiwania rozstrzygającej bitwy".

eprasa.pl cf50c2f600

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MAŁGORZATA PABIS: „KOBIETY DO ZADAŃ SPECJALNYCH"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~998~~ ZŁ

516,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 482 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl cf50c2f600

Piotr Semka

Stanisław Tymiński wchodzi właśnie do przedziwnego panteonu postaci, które gromadzi wokół siebie Grzegorz Braun. Po co liderowi Korony Tymiński?

Stanisław Tymiński (na pierwszym planie) deklaruje, że rozważa start w wyborach z list formacji Grzegorza Brauna (w tle)

FOT. ARTUR SZCZEPAŃSKI/REPORTER

Nowa misja „człowieka z teczką”

Stanisław Tymiński wraca do polskiej polityki. Deklaruje, że rozważa start z list formacji Grzegorza Brauna – Konfederacji Korony Polskiej. W najbliższych wyborach może ubiegać się o mandat senatora. Ostateczną decyzję o swoim starcie ma podjąć do momentu jesiennego kongresu Korony. Na konferencji prasowej 26 marca Grzegorz Braun tak witał przybysza z Kanady: „Co my tutaj robimy, goszcząc pana Stanisława i celebrując jego powrót do kraju po latach? No my otwieramy oczy niedowiarkom. Staramy się nawiązywać do tego, co jest w naszej najnowszej historii autentykiem. Szczerym, niepodstawionym, niewymyślonym, niezaprojektowanym przez mafię, służby i loże”.

Lider Korony miał na myśli wybory prezydenckie w 1990 r., w których Tymiński dotarł do drugiej tury z wysokim wynikiem 23,1 proc. głosów. I choć Tymiński przegrał wówczas w decydującym starciu z Lechem Wałęsą, to lider polskich antysystemowców uznał, że biznesmen z Kanady jest ważnym symbolem nadającym się na politycznego patrona swego ruchu.

„Jeśli wiesz, kim jest Tymiński, musisz mieć przynajmniej szóstkę na początku twojego peselu” – napisał dowcipnie jeden z internautów. Jaka była droga politycznej kariery „czarnoksiężnika z Peru”?

SIŁA AYAHUASKI

Stanisław Tymiński urodził się w Pruszkowie w 1948 r. Jego ojciec był radiomechanikiem, a matka gospodynią wiejską. Po ukończeniu technikum elektromechanicznego w Warszawie pracował w Zakładach Elektronowych Przyrządów Pomiarowych ELPO w Warszawie, a w 1968 r. podjął studia wieczorowe na Politechnice Warszawskiej na Wydziale Elektronicznym. Nie jest jasne, w jaki sposób udało mu się wyjechać w 1969 r. do Szwecji, gdzie ciężko pracował w miejscowych szklarniach. Kraj naszych północnych sąsiadów najwyraźniej zbrzydł mu na tyle, że w 1975 r. podjął decyzję o wyjeździe do Kanady. Tam wykorzystał swoje zdolności elektronika do założenia firmy komputerowej Transduction. Tymiński twierdzi, że przygotowywała ona sprzęt i oprogramowanie dla elektrowni atomowych i przemysłu wojskowego w USA. Chwali się, że zarobił na tym spore pieniądze, które pomnożył jeszcze drogą dobrze przemyślanych inwestycji.

Do tej opowieści nie pasuje zbytnio epizod z lat 1981–1983, kiedy to Tymiński nagle opuszcza Kanadę i wyjeżdża do Peru. Jak tłumaczy, wyjazd ten był związany z inicjatywą założenia w położonej w amazońskiej części Peru metropolii Iquitos sieci telewizji kablowej. Tam przybysz z Polski miał próbować sybstancji zwanej ayahuasca. To wywar psychodeliczny o silnym działaniu psychoaktywnym. – Do tej ceremonii ludzie podchodzą bardzo poważnie. Bo to jest tak, jakby umrzeć. Po pewnym czasie się traci poczucie ciała. Człowiek w ogóle staje się duchem. Nie ma poczucia ciała, jakby wychodził z siebie i wtedy otwiera się droga woli – mówił w wywiadzie w Kanale Zero.

Tymiński twierdzi, że wyjazd do Peru w niczym nie zastopował jego aktywności jako szefa własnej firmy komputerowej. Trudno jednak przyjąć, że ktoś, kto prowadzi rzekomo dobrze prosperującą firmę dostarczającą komputery dla reaktorów i firm wojskowych, może pozwolić sobie na trzyletnie „wakacje” w Peru połączone z testowaniem południowoamerykańskich substancji wywołujących silne wizje.

Polski etap kariery Tymińskiego zaczął się od jego spotkania z polskim dziennikarzem i podróżnikiem Romanem Samselem. Samsel sam w sobie stanowił ciekawą postać, gdyż był korespondentem zagranicznym PRL-owskich gazet w Ameryce Łacińskiej, co w warunkach Polski Ludowej bardzo często łączyło się z pracą dla służb specjalnych PRL. Samsel poznał Tymińskiego w Peru i zafascynował się jego nietuzinkową postacią. To on napisał książkę Tymińskiego „Święte psy” i podczas pobytu na farmie Tymińskiego pod Toronto uczestniczył w dziwacznym rytuale symbolicznego ukrzyżowania za pomocą lin, który rzekomo miał być aktem ekspiacji za długoletnie członkostwo w PZPR.

Książka Tymińskiego wyszła w Polsce we wrześniu 1990 r. i – jak twierdzi sam Tymiński – wtedy po raz pierwszy przyjechał do kraju i wtedy ludzie zachwyceni tą książką manifestem zaczęli namawiać go do kandydowania w wyborach prezydenckich. Tymiński wrócił, podjął decyzję o starcie i początkowo traktowany był jako egzotyczny dodatek do pojedynku,

eprasa.pl cf50c2f600

który w opinii większości Polaków miał odbyć się między ówczesnym premierem Tadeuszem Mazowieckim a liderem NSZZ „Solidarność" Lechem Wałęsą.

Tymiński zaczął uzyskiwać dużą popularność, bazując na micie człowieka, który odniósł sukces ekonomiczny na Zachodzie. Dawał do zrozumienia, że ma gotową receptę na wyciągnięcie Polski z kryzysu, jednocześnie używając przedziwnego miksu retorycznego, łączącego symbolikę patriotyczną ze sporą akceptacją epoki PRL.

Pierwszym sygnałem, że staje się on poważnym kandydatem, było stosunkowo szybkie zebranie 100 tys. podpisów. I tu zaczynają się same znaki zapytania wokół skuteczności jego kampanii. Sam Tymiński tłumaczy swoją skuteczność w tamtym czasie tym, że jako człowiek, który zdobył spory majątek na Zachodzie, miał pieniądze na zorganizowanie sobie kampanii w Polsce. Nie tłumaczy to jednak, jak powstał niezwykle dobrze zorganizowany aparat jego kampanii, który sprawnie zorganizował jego wiece w wielu polskich miastach. Formalnie za kampanią stała warszawska agencja reklamowa Golik i Dąbrowski. Jednak już wówczas w stolicy mówiono, że całą kampanię zorganizowali mu byli oficerowie komunistycznej służby bezpieczeństwa. Mówiono też, że nieformalnym doradcą w tej kampanii miał być Jerzy Urban, były rzecznik ekipy stanu wojennego Wojciecha Jaruzelskiego.

TECZKOWY FETYSZ

Ważnym elementem kampanii przybysza z Kanady była noszona przez niego wszędzie czarna teczka. Tymiński parę razy dawał do zrozumienia, że ma w niej materiały kompromitujące Lecha Wałęsę. Po latach nikt już nie jest w stanie stwierdzić, w jaki sposób opinia ta była wyrażana przez samego Tymińskiego, a w jakim stopniu kolportowali ją jego współpracownicy w czasie kampanii. Ostatecznie jednak Tymiński żadnych dokumentów na Wałęsę nie ujawnił, co z kolei było interpretowane jako czynnik wywierania na Wałęsę nacisku ze strony dawnej bezpieki, by porzucił plany dekomunizacji i lustracji. Jeśli przyjąć te założenia za prawdę, to start Tymińskiego w wyborach odegrał swoją rolę. Wałęsa po zdobyciu prezydentury porzucił wszelkie postulaty antykomunistyczne, co więcej – później aktywnie przeciwdziałać będzie próbom urzędowej lustracji.

Wcześniej jednak Tymiński zdumiał całą Polskę przejściem do drugiej tury wyborów prezydenckich razem z Lechem Wałęsą. W pierwszej turze 25 listopada 1990 r. Wałęsa otrzymał 39,96 proc., a Tymiński 23,1 proc. głosów. Zepchnął w ten sposób na trzecią pozycję Tadeusza Mazowieckiego, który był kandydatem elit. Ówczesne środowisko salonu odreagowało to upokorzenie furią medialną, w której Tymiński był atakowany poniżej pasa za pomocą mocno wątpliwych oskarżeń, że miał stosować przemoc domową wobec swojej peruwiańskiej żony, czy też za pomocą wprost kłamliwych oskarżeń, że odbywać miał tajemnicze loty do Trypolisu – stolicy Libii rządzonej wtedy przez ekstremistycznego lidera płk. Muammara Kaddafiego. Ostatecznie Tymiński przegrał w drugiej turze wyborów 9 grudnia 1990 r., zdobywając jedynie 25,8 proc. głosów wobec większości 74,2 proc. głosów oddanych na Wałęsę. Tymiński próbował jeszcze wejść w polską politykę, tworząc eklektyczną ideowo partię X, ale jego czas wyraźnie już minął. Gdy próbował startować w wyborach w 1995 r., nie udało mu się nawet zebrać podpisów. Co zresztą potwierdza podejrzenie, że w 1990 r. komplet podpisów musiała mu zebrać jakaś stojąca za nim niezależna od niego struktura oparta na sprawnej organizacji. Znów próbował startować w wyborach prezydenckich w 2005 r., ale bez większego efektu, a gdy w 2023 r. wystartował z list efemerycznej organizacji prorosyjskiej Związek Słowiański, zajął ostatnie miejsce w okręgu.

SPECJALISTA OD ŚCIEMNIANIA

Z okazji powrotu Tymińskiego do polskiej polityki biznesmen z Kanady został zaproszony na wywiad do Kanału Zero przez Krzysztofa Stanowskiego. Tymiński dalej powtarzał swoje teorie, że kampanię w 1990 r. prowadził samodzielnie. Pytany o to, co zawierała jego słynna czarna teczka, odpowiedział, że były w niej kopie dokumentów na Wałęsę. Dociskany przez Stanowskiego o szczegóły odpowiada: „Kopie donosów pisane przez Lecha Wałęsę". Tymiński dodawał jednak, że były to „kopie bez świadków". Pytany, dlaczego nie użył tego przeciw Wałęsie w drugiej turze wyborów, Tymiński w sposób mało przekonujący tłumaczył: „Uważałem, że to by było zniszczone, rozmiękczone przez prasę żydowską". I dodawał: „Wolałem zostawić Polaków z tą tajemnicą, bo tajemnica ma swoją moc".

Jego wersja absolutnie „nie trzyma się kupy". Tymiński miałby nosić ze sobą kopie dokumentów kompromitujących Wałęsę po to tylko, by rzekomo „zostawiać Polaków z tajemnicą"? Działanie to miałoby sens, jeśli by Tymiński miał być czynnikiem nacisku po to, aby Wałęsa wyzbył się antykomunistycznych elementów swego programu po dojściu do władzy. I tak się stało. Dzisiejsze nieporadne tłumaczenia Tymińskiego tylko tę hipotezę potwierdzają.

ZNALEZISKO Z PRZESZŁOŚCI

A po co dzisiaj Grzegorzowi Braunowi polityk, którego rozpoznaje tylko pokolenie 60+? Odpowiedź jest prosta. Lider Korony konsekwentnie buduje swoją własną mitologię walki przeciw Okrągłemu Stołowi, w której równie negatywnymi bohaterami są zarówno Jarosław Kaczyński, jak i Donald Tusk. Skoro tak, to trzeba tworzyć galerię bohaterów alternatywnych i Stanisław Tymiński doskonale wkomponowuje się w tę wizję historii obok Andrzeja Leppera. Tymiński odpowiada też Braunowi z racji podobnych poglądów. W rozmowie z Krzysztofem Stanowskim niegdysiejszy inicjator partii X przekonuje, że atak Rosji na Polskę jest wykluczony. Tymiński mówi: „Na co Rosjanom Polacy potrzebni do szczęścia? Wiedzą, że my jesteśmy narodem awanturniczym, trudnym do kontroli". Przybysz z Kanady przypomniał, że w wyborach prezydenckich w 1990 r. miał bardzo dobre kontakty z ambasadą rosyjską, i wspomniał, iż „Rosjanie ubolewali, że nie mogą prowadzić handlu z Polską". Tymiński odrzucił też argumenty Stanowskiego, że Rosja przez pół wieku okupowała Polskę, wskazując: „To są sprawy emocjonalne. Ja podchodzę do tego jako biznesmen, bo biznes jest najważniejszy, bo dzięki niemu ludzie mają dobrobyt i jedzenie".

Tymiński wchodzi właśnie do przedziwnego panteonu postaci, które gromadzi wokół siebie Grzegorz Braun. Nie będzie w tym gronie ani najbardziej dziwną, ani nawet najbardziej skandalizującą postacią.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cf50c2f600

Elektryki nie

Radosław Wojtas

Od początku roku wszystkie duże miasta w Polsce są zobligowane do kupowania wyłącznie zeroemisyjnych środków publicznego transportu. Wizja miast bez terkoczących diesli wysłużonych autobusów ma swoje plusy, ale budzi również obawy. Zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych

Są ciche, nie zostawiają za sobą chmury spalin, jeżdżą płynnie, a koszt przejechania 1 km – jeśli liczyć wyłącznie wydatki na prąd vs wydatki na ropę – jest niższy. Autobusy elektryczne bez wątpienia mają swoje plusy. Ale nie są to pojazdy pozbawione wad. Dlatego wprowadzenie restrykcyjnych przepisów – a za takie należy uznać nałożenie na operatorów transportu publicznego w gminach liczących powyżej 100 tys. mieszkańców nakazu kupowania wyłącznie zeroemisyjnych (elektrycznych lub wodorowych) pojazdów transportu zbiorowego – budzi obawy.

Obawy różnego typu. Na te najpoważniejsze, bo związane z bezpieczeństwem w sytuacjach kryzysowych, zwróciła uwagę Izba Gospodarcza Komunikacji Miejskiej (IGKM). W piśmie do premiera Donalda Tuska IGKM wskazuje, że zapisy ustawy o elektromobilności są nie do pogodzenia z nałożonymi na samorządy obowiązkami w zakresie obrony cywilnej oraz obronności państwa. Prezes Izby Dorota Rondtke pisze do premiera wprost, że nowe obowiązki samorządów są „niemożliwe do wykonania w realiach konfliktu lub sytuacji kryzysowych taborem zeroemisyjnym".

PEŁNY BAK

W każdym poradniku bezpieczeństwa – również w tym rządowym, rozsyłanym do wszystkich Polaków – przeczytamy, by podczas przygotowań do sytuacji kryzysowych pamiętać o zatankowaniu samochodu do pełna, jeśli rzecz jasna samochodu w ogóle używamy. Auta spalinowe, które mają znacznie większy zasięg od elektrycznych i które pojadą bez względu na to, czy jest prąd w gniazdkach czy go nie ma, są w trudnych warunkach nieporównywalnie lepszym środkiem lokomocji, pozwalającym szybko oddalić się z miejsca zagrożenia na jak największą odległość.

Nie inaczej jest w przypadku autobusów. Nawet wysłużony i niespełniający żadnych norm ekologicznych diesel powiezie pasażerów najprawdopodobniej dalej niż najnowocześniejszy elektryk. Jeśli w tradycyjnym autobusie skończy się olej napędowy i stanie w szczerym polu, to można dowieźć paliwo w kanistrach. Jeśli zaatakowana zostanie infrastruktura krytyczna i nastąpi blackout, to ropę da się zatankować. Tego wszystkiego nie można powiedzieć o autobusach elektrycznych.

Samorządy i przewoźnicy świadczący dla samorządów zadania zlecone w zakresie transportu publicznego zostali niedawno zobowiązani m.in. do „utrzymania w gotowości m.in. zasobów sprzętowych (autobusów) w razie ogłoszenia np. stanów nadzwyczajnych na terenie Polski". I nabrali wątpliwości, czy obowiązek ten jest na dłuższą metę do pogodzenia z wymogiem zakupu wyłącznie taboru zeroemisyjnego. Co prawda, nadal mogą w drodze wyjątku zakupić autobusy spalinowe, ale tylko jeśli przewozy wykraczają poza teren miasta. Jednak – na co zwraca uwagę Dorota Rondtke z IGKM – przewoźnicy raczej nie przypisują na stałe pojazdów do obsługiwania konkretnych linii. Czyli nie mogą kupić diesla lub hybrydy i zagwarantować, że w czasie pokoju pojazd ten będzie obsługiwał wyłącznie linie pozamiastowe.

„Nabywanie wyłącznie autobusów elektrycznych lub wodorowych, przy aktualnych uwarunkowaniach geopolitycznych oraz technologicznych, wiąże się z ryzykiem utraty kontroli operacyjnej w zakresie realizacji obowiązków podmiotu przeznaczonego do militaryzacji lub ochrony ludności – pisze do premiera Dorota Rondtke. – W razie wystąpienia stanu nadzwyczajnego na terenie danego województwa i miasta oraz uruchomienia związanych z tym procedur (objęciem militaryzacji operatora publicznego transportu zbiorowego) istnieje ryzyko związane z koniecznością zabezpieczenia na potrzeby ewakuacji floty pojazdów zeroemisyjnych, z powodu braku innego rodzaju pojazdów. To z kolei może powodować zagrożenia związane z wykorzystaniem tego typu pojazdów w działaniach związanych z ochroną mieszkańców".

Dostrzegają to również samorządowcy. Według „Gazety Polskiej" symulacja ewakuacji Warszawy, przeprowadzona

eprasa.pl cf50c2f600

dowiozą

FOT. ADOBE STOCK

w ostatnich kilkunastu miesiącach, „dowiodła, że operacja ta jest z punktu widzenia logistyki skrajnie niemożliwa". Grzegorz Wierzchołowski pisze: „Choć w marcu 2026 r. odsetek autobusów elektrycznych we flocie warszawskich Miejskich Zakładów Autobusowych (MZA) wynosił zaledwie ok. 13–15 proc., to w warunkach wojennych już taka proporcja wystarczy, by całkowicie sparaliżować plany ratowania ludności. Jak się dowiedzieliśmy, wyniki symulacji sprawiły, że stołeczny ratusz i podległe mu spółki zaczęły na gwałt kupować tabor spalinowy. W połowie sierpnia 2025 r. warszawski ZTM ogłosił przetarg na 120 przegubowych autobusów napędzanych silnikami Diesla (Euro 6), wyposażonych we wnętrza umożliwiające szybki montaż noszy dla rannych". I przypomina wypowiedzi rzecznika warszawskiego Zarządu Transportu Miejskiego Tomasza Kunerta, który w sierpniu ubiegłego roku przyznał, że „doświadczenia ostatnich lat pokazały, iż w sytuacjach kryzysowych najlepiej sprawdza się napęd konwencjonalny", oraz rzecznika stołecznych Miejskich Zakładów Autobusowych Adama Stawickiego: „Autobusy elektryczne nie są przewidziane do zadań związanych z ewentualną koniecznością ewakuacji".

W piśmie do premiera Donalda Tuska IGKM wskazuje, że zapisy ustawy o elektromobilności są nie do pogodzenia z nałożonymi na samorządy obowiązkami w zakresie obrony cywilnej oraz obronności państwa

ZIMOWA SŁABOŚĆ

Przewaga diesli jest szczególnie wyraźna zimą. Malejący zasięg w warunkach niskich temperatur to problem, z którym przewoźnicy mierzą się każdego mroźnego dnia. I nie chodzi tylko o specyfikę baterii instalowanych w tych pojazdach, których pojemność użytkowa na mrozie jest niższa i wymaga częstszego doładowywania. Samo ogrzewanie wnętrza jest problematyczne. W tradycyjnym autobusie z silnikiem Diesla ogrzewanie jest w zasadzie darmowe, ponieważ stanowi produkt uboczny (ciepło) pracy silnika spalinowego. W autobusie elektrycznym każdy kilowat energii potrzebny do ogrzania wnętrza musi pochodzić bezpośrednio z baterii trakcyjnej. Uruchomienie elektrycznych nagrzewnic o mocy kilkudziesięciu kilowatów w mroźny dzień potrafi zredukować teoretyczny zasięg pojazdu nawet o połowę. I dlatego w większości autobusów elektrycznych montuje się ogrzewanie webasto, czyli system zasilany... olejem napędowym. Jak zapowiadał rzecznik MZA Adam Stawicki, stolica zamawiać będzie wyłącznie elektryczne autobusy z ogrzewaniem na olej napędowy. Tylko czy wciąż możemy tu mówić o pojeździe zeroemisyjnym?

Ostatnia zima wyraźnie pokazała słabość elektrycznego taboru. Elektryki notowały niższy, nawet o 30 proc. zasięg, wymagały częstszego ładowania i szczególnego traktowania. W Warszawie, choć nie tylko, nocami były podłączane do sieci i w miarę możliwości ustawiane w ogrzewanych halach, choć nie wszystkie się tam mieściły. Za to, jak wskazał w rozmowie z „Wyborczą" prezes Miejskich Zakładów Autobusowych: „Na szczęście odpaliły wszystkie diesle...".

Co by było, gdyby tabor był wyłącznie elektryczny? Niewykluczone, że powtórzyłby się scenariusz z przełomu lat 2023 i 2024 z Oslo. Podczas fali mrozów z zaplanowanych 13 tys. odjazdów autobusów odwołano ok. tysiąca. Flota ponad 250 nowoczesnych elektrobusów odpowiadająca za 85 proc. przejechanych kilometrów w sieci okazała się niewydolna, gdy temperatury spadły poniżej zera. W efekcie norweski operator musiał ratować sytuację poprzez przywrócenie do ruchu rezerwowych autobusów napędzanych olejem napędowym.

PRZESIADKA Z GŁOWĄ

„Operatorzy komunikacji miejskiej nie negują konieczności inwestowania i rozwijania taboru zeroemisyjnego. W zasadzie wszyscy operatorzy komunikacji miejskiej w kraju rozwijają i zwiększają udział w swojej flocie pojazdów zeroemisyjnych – pisze do Donalda Tuska Izba Gospodarcza Komunikacji Miejskiej. – Jednakże, na chwilę obecną, przepisy art. 36 ustawy o elektromobilności są zbyt restrykcyjne i niedostosowane do zewnętrznych uwarunkowań oraz zagrożeń [...]".

Izba dodaje, że w przypadku zachowania obecnych przepisów flota autobusów innych niż zeroemisyjne będzie „niewystarczająca na potrzeby zabezpieczenia ludności każdego większego miasta w kraju i okolic podczas ewakuacji". Gmin powyżej 100 tys. mieszkańców jest w Polsce ponad 40.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cf50c2f600

Pokolenie zero procent

Łukasz Zboralski

Polacy coraz częściej zamiast piwa wybierają napoje z napisem „0 proc.". Czy kultura picia zacznie powoli odchodzić wraz ze starszymi pokoleniami?

Temat spożycia alkoholu w Polsce wciąż budzi emocje. Choć przez dekady na pewno zmieniła się struktura – bogaciliśmy się i zamiast prostego picia wódki zaczęliśmy sięgać też po trunki także dla smaku.

Według raportów dotyczących sprzedaży alkoholi opartych na danych NielsenIQ przez ostatnich 12 miesięcy (pomiar do listopada 2025 r.) Polacy wydali na alkohol blisko 51,5 mld zł. Liderem sprzedaży jest piwo, na kolejnym miejscu jest wódka, a dopiero potem wina, whisky i inne alkohole.

Jak pijemy na tle innych? Takie dane przytaczała niedawno dr n. med. Bogusława Bukowska, dyrektorka Krajowego Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom, w rozmowie z TVN. Wyliczała, że według WHO średnie roczne spożycie czystego alkoholu w przeliczeniu na osobę wynosi w Polsce ok. 11 l. Średnie spożycie w krajach Unii Europejskiej to 10 l. W tym zakresie nie jesteśmy więc jakimiś „liderami".

Z pewnością nie da się jednak powiedzieć, że nie mamy w Polsce żadnych problemów z alkoholem. Pewien trudny obraz ujawniło np. wejście w życie konfiskaty samochodów kierowcom złapanym na posiadaniu w organizmie co najmniej 1,5 promila (stan upojenia alkoholowego dla przeciętnego człowieka lub stan funkcjonowania osoby z chorobą alkoholową). Szybko okazało się, że policjanci miesięcznie zabezpieczają aż ponad 700 samochodów. Przez ponad półtora roku zabezpieczono ponad 13 tys. pojazdów. Do tego policja odstąpiła od konfiskaty w 34 tys. przypadków, gdy auto nie stanowiło wyłącznej własności kierowcy (wówczas sąd orzeka obowiązek zapłaty jego równowartości). Biorąc pod uwagę, że policja wyłapuje tylko część pijanych, skala musi porażać.

COŚ SIĘ ZMIENIA

Jednocześnie w Polsce widać jednak pewną społeczną przemianę w podejściu do alkoholu. Mieszkańcy zaczęli wymuszać na lokalnych władzach „cisze alkoholowe", czyli zakaz sprzedaży alkoholu w godz. 22–6. Ta oddolna presja społeczna wzięła się ze zmiany podejścia do spożywania alkoholu i konsekwencji z tym związanych. Polacy coraz częściej chcą zrezygnować z możliwości zakupu alkoholu w nocy, bo wolą, by miejsca, w których mieszkają, były wolne od ulicznych awantur, krzyków, bijatyk.

Nocne cisze alkoholowe wprowadzają mniejsze miejscowości – jak podwarszawski Ciechanów – i całkiem duże miasta, takie jak Kraków, który wprowadził ją jeszcze w 2023 r. Efekty są zauważalne. W Krakowie liczba interwencji policji w godzinach obowiązywania „ciszy alkoholowej" spadła o 57 proc. (porównanie lipiec–grudzień 2022 r. i 2025 r.). Spadła też o 30 proc. liczba interwencji służb w ciągu dnia.

W sumie w latach 2018–2024 aż 176 gmin wprowadziło ograniczenia nocnej sprzedaży alkoholu. Być może wkrótce takie decyzje będą zapadać na szczeblu państwowym. A być może za kilka lat Polacy dojdą do takich wniosków jak Szwedzi – że mocny alkohol powinien być dostępny wyłącznie w specjalnych sklepach.

Dobrym miernikiem zmiany jest też fakt, że rząd zapowiedział – po latach sporów – ograniczenie sprzedaży alkoholu na stacjach benzynowych. Dawniej takie propozycje oznaczałyby społeczne wzburzenie. Dziś rząd w zasadzie odpowiada takimi pomysłami na oburzenie ludzi na to, że nic z tą sprawą nie robi.

W Sejmie są obecnie już dwa projekty dotyczące tej sprawy. Lewica zaplanowa-

eprasa.pl cf50c2f600

FOT. ADOBE STOCK

ła całkowity zakaz sprzedaży alkoholu na stacjach paliw, w zakładach leczniczych oraz w godzinach nocnych na terenie całego kraju. Projekt Polski 2050 przewiduje taki zakaz dla stacji benzynowych z dwuletnim okresem przejściowym, ale jednocześnie zakaz nocnej sprzedaży wprowadzany od razu.

Przeciw tym projektom nie protestują obywatele. W przestrzeni medialnej walczy z nimi tylko biznes – czyli Polska Izba Paliw Płynnych.

MŁODZI JUŻ NIE CHCĄ PIĆ

Miarą zmiany społecznej w podejściu do alkoholu jest też to, że sprzedaż najpopularniejszego trunku nad Wisłą spada. Browary zaczynają mieć realne problemy. Rewolucja piw „kraftowych", która kilka lat temu wybuchła gamą rozmaitych piw na sklepowych półkach, najwyraźniej dobiega końca. W ubiegłym roku rynek piwa w Polsce zanotował najgorszy wynik sprzedaży od 20 lat. Polacy kupili o 100 mln butelek i puszek piwa mniej niż rok wcześniej. Już prawie 20 proc. firm z branży piwnej ma kłopoty z terminowym regulowaniem płatności.

Rośnie sprzedaż tylko jednego rodzaju piwa – tego, które ma zerową zawartość alkoholu. Ta sprzedaż zwiększa się rok do roku o ponad 17 proc. i dzięki temu piwa bezalkoholowe stanowią obecnie aż 7,5 proc. rynku piwa w Polsce. Wartość ich sprzedaży w 2024 r. sięgała prawie 2 mld zł.

Skąd ten sukces tych napojów? To próbował zgłębić raport „Piwo bezalkoholowe – opinie, postrzeganie, zwyczaje" opublikowany pod koniec października ubiegłego roku przez Warsaw Enterprise Institute.

Autorzy opracowania wskazują, że w Polsce widoczny jest już „trend NoLo" polegający na ograniczaniu lub całkowitej rezygnacji z konsumpcji alkoholu. „55 proc. Polaków stara się ograniczać picie alkoholu, a 15 proc. piło w przeszłości, ale teraz zupełnie po niego nie sięga" – czytamy w raporcie.

– Wyniki przeprowadzonego badania wskazują na wyraźną przemianę norm społecznych dotyczących konsumpcji alkoholu – zanik presji, by „coś wypić", oraz rosnące przyzwolenie na niepicie. Ten proces wpisuje się w globalny trend odchodzenia od „społecznego konformizmu alkoholowego" w stronę obniżania spożycia alkoholu lub całkowitej abstynencji – podkreśla prof. Dominika Maison, autorka badania.

Większość badanych (66 proc.) uznała, że to właśnie piwo bezalkoholowe pozwala w skuteczny sposób ograniczyć spożywanie alkoholu w ogóle. Aż 89 proc. osób pijących „piwo 0 proc." deklaruje, że po jego spożyciu nie ma już ochoty sięgać po alkohol.

Według autorów raportu ci, którzy sięgają po piwa bezalkoholowe, postrzegani są jako osoby bardziej odpowiedzialne, nowoczesne, świadome, pragnące zachować kontrolę nad swoim życiem. Mają wyższy status społeczny, materialny i lepsze wykształcenie.

– Konsumenci piwa bezalkoholowego piją je z dwóch głównych powodów: gdyż nie chcą pić alkoholu oraz cenią doznania, które dostarcza im piwo bezalkoholowe. Sięgają po piwo bezalkoholowe, gdyż jest to taki sam lub podobny produkt jak piwo, które znają i lubią, tylko nie zawiera alkoholu. Funkcji smakowych i społecznej roli piwa bezalkoholowego nie da się zastąpić przez jakikolwiek inny napój gazowany – tłumaczy prof. Dominika Maison.

89 proc.

TAKI ODSETEK OSÓB PIJĄCYCH „PIWO 0 PROC." DEKLARUJE, ŻE PO JEGO SPOŻYCIU NIE MA JUŻ OCHOTY SIĘGAĆ PO ALKOHOL

Raport WEI zauważa, że inicjacja z piwem bezalkoholowym następuje znacznie później niż z alkoholowym. Zatem według jego autorów „piwo 0 proc." jest alternatywą wyjścia ze spożycia napojów alkoholowych, a nie wejścia do niego.

Tego spojrzenia nie podzielają wszyscy w dyskursie publicznym na temat piwa. W tym roku Fundacja Grow Space opublikowała raport „Zero Procent Prawdy" dotyczący badań poparcia całkowitego zakazu reklamy alkoholu w Polsce. Raport wycelowany jest w piwo, ponieważ ten napój jako jedyny można legalnie nad Wisłą reklamować.

Fundacja zaprezentowała sondaż Ogólnopolskiej Grupy Badawczej, z którego wynika, że 61,8 proc. Polaków popiera całkowity zakaz reklam alkoholu, w tym reklamy piwa. Co ciekawe, zakaz ten najbardziej popierali wyborcy Karola Nawrockiego (73 proc.), a najmniej poparcia dla niego wyrażali wyborcy Sławomira Mentzena (51,23 proc.).

Postulat kampanii „Zero Procent Prawdy" jest zatem jeden: „Całkowity zakaz reklamy alkoholu – w tym reklamowania piwa i napojów »zero« pod marką piwa, a także jego promocji w miejscach sprzedaży".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cf50c2f600

Z ks. Krzysztofem Kowalem, proboszczem parafii pw. Miłosierdzia Bożego w Pile, prezesem Fundacji Serce dla Kaukazu, w latach 2003–2012 proboszczem parafii pw. św. Teresy od Dzieciątka Jezus w Pietropawłowsku Kamczackim

rozmawia Ryszard Gromadzki

Ochrzcić śnieg

RYSZARD GROMADZKI: Co jest większym wyzwaniem dla kapłana: codzienna posługa w parafii w laicyzującej się ojczyźnie czy – jak to było w przypadku księdza – duszpasterzowanie na krańcach świata?

KS. KRZYSZTOF KOWAL: I jedno, i drugie wymaga realizacji powołania, żeby to robić ze szczęściem. Nie wszyscy nadają się na misje, ale ducha misyjnego zamknąć na zawsze w zwykłej polskiej parafii szkoda. Mówię to o sobie, bo tak to odczuwam. W sierpniu minie 10 lat od objęcia placówki, w której pracuję. Proszę zatem mojego obecnego biskupa o pozwolenie wyjazdu na misje. Wiem, że w Uzbekistanie, w miejscowości Nawoja, czeka wolna parafia, w której mieszka 200 tys. ludzi. Grupa 100 tamtejszych wiernych przez 10 lat zabiegała o zarejestrowanie parafii i przysłanie księdza. Pomimo upływu lat (mam ich 60) niezmiennie czuję w sobie ducha misyjnego, czyli powołanie, żeby w warunkach bardzo różnych od polskich objeżdżać zagubione w wielkich przestrzeniach miejscowości, jak to było na Kamczatce, szukać wiernych i czekać na nich, aż przyjdą. Wracając do pana pytania. Jedna i druga praca wymaga powołania, każda z nich ma swoje plusy dodatnie i plusy ujemne…

… jak mawiał klasyk… Kiedy ksiądz poczuł w sobie ducha misyjnego?

Kiedy jako młody chłopak zastanawiałem się, czy zostać księdzem, do mojej parafii przyjechał misjonarz, młody ksiądz, który miał za tydzień jechać do Brazylii na misje. Nie pamiętam jego imienia i twarzy, bo to było tak dawno, ale pamiętam ducha, którym promieniował. Rodzice kupili od niego dwie książki misyjne. Te książki były dla mnie zawsze wezwaniem do tego, żeby pełnić misje. Mogłem od razu iść na misjonarza, studiować we Włoszech, proponowali mi to, ale powiedziałem sobie tak: „Jeśli masz pojechać na misje, to pojedziesz jako zwykły ksiądz". Zwykły ksiądz diecezjalny, który jedzie na misje, nazywa się fideidonista (dar wiary). Już jako wyświęcony ksiądz podczas rozmowy z biskupem po święceniach powiedziałem, że chciałbym jechać na misje. Wtedy ksiądz biskup odpowiedział mi: „No, przyjdź, panie, za dwa lata". Przyszedłem. Był już nowy biskup. „Pomyślę, pomyślę" – obiecał i zamiast na misje wysłał mnie do seminarium. I tak po trzech latach pracy w parafiach jako wikariusz zostałem w seminarium wykładowcą muzyki. Odrobiłem swoje sześć lat w seminarium w Koszalinie, no i poszedłem do następnego biskupa, bo poprzedni umarł. Ten odpowiadając na moją prośbę, powiedział: „Słuchaj, mamy zaraz 1000-lecie naszej diecezji, musisz przygotować te wszystkie chóry, ale po tym możesz sobie jechać". Celem miał być Irkuck na Syberii.

Skąd pomysł wyjazdu na misje na Syberię?

To nie był mój pomysł. Nigdy nie wybierałem sobie parafii. Biskup pomocniczy naszej diecezji miał kazanie po spotkaniu z bp. Jerzym Mazurem, który wówczas posługiwał na Syberii. Biskup Mazur spotkał się z Episkopatem i owocem tego spotkania było właśnie owo

eprasa.pl cf50c2f600

FOT. ARCHIWUM KS. KRZYSZTOFA KOWALA

kazanie, o którym wspomniałem, dla diakonów, którzy byli akurat wyświęcani. Podczas tej uroczystości prowadziłem śpiew. Po Mszy, w trakcie kolacji, zwróciłem się do biskupa, żeby poparł moje starania o wyjazd na misje na Syberię. Poparł, choć na wyjazd czekałem jeszcze dwa lata. Aniołki same zaplanowały, że wyruszyłem na misje dokładnie 10 lat po swoich święceniach. 15 czerwca 2001 r. Rowerem.

Rowerem na Syberię? Wyjątkowe wyzwanie.

Nie tak bardzo wyjątkowe. Wcześniej dużo jeździłem rowerem po świecie. Rozpocząłem od Częstochowy, potem pojechaliśmy do Afryki i Ziemi Świętej. Ale wyprawa na Syberię była najdłuższą z moich tras. W drodze towarzyszyło mi dwóch studentów – Robert i Krystian.

Dojechał ksiądz rowerem bezpośrednio do Irkucka?

Odcinek z Jekaterynburga do Krasnojarska przejechaliśmy koleją, bo ostrzeżono nas, że przebywając rowerami pustynie Kazachstanu, uschniemy z nudy „na śmierć". A że moi studenci byli już padnięci i brakowało nam czasu – zdecydowaliśmy się na kolej. Ostatecznie z zaplanowanych 7 tys. km przejechaliśmy rowerami 5,5 tys. I tak zeszło nam na drogę trzy i pół miesiąca.

Biskup Mazur musiał być mocno zaskoczony, kiedy ksiądz powiedział mu, w jaki sposób chce się dostać do Irkucka?

Podczas pierwszej rozmowy nie powiedziałem mu tego, ale już podczas drugiej tak. Zapadła wówczas charakterystyczna cisza. Wcześniej ksiądz biskup doradzał mi, żeby do Irkucka wybrać się normalnie – samolotem. A jeśli już rowerem, to najlepiej w trzy osoby, bo Rosja to niebezpieczny kraj. Spełniłem tę prośbę, znalazłem jeszcze jednego śmiałka. Po trzech miesiącach pracy w Irkucku, kiedy zostałem proboszczem tamtejszej parafii katedralnej, jednego wieczoru, kiedy piliśmy z biskupem wieczorną herbatę, w pewnym momencie powiedział do mnie: „Pamiętasz, jak mówiłem ci, żebyś raczej przyleciał samolotem, a jeśli już rowerem, to koniecznie w trzy osoby". „Tak. Ksiądz biskup się o mnie martwił" – odpowiedziałem. „Nie, głupi. Myślałem, że nie znajdziesz tego trzeciego i przylecisz samolotem" – zaśmiał się. Reasumując, cały ten wyjazd dał mi możliwość poznania przepięknego kraju i pięknych ludzi. Praktycznie co 500 km była jakaś parafia czy wspólnota. Przejechać całą Rosję rowerem, aż do Irkucka, to naprawdę wspaniała sprawa.

Jak smakuje Rosja z perspektywy głębokiego interioru?

Jedna Rosja jest do Moskwy, która stanowi państwo w państwie. A druga Rosja zaczyna się za Uralem. Im dalej od Moskwy, tym ludzie inni, lepsi, prości i otwarci. W cudzysłowie, bo przecież dobrzy ludzie są też w Moskwie. Ludzie na Syberii czy Dalekim Wschodzie są ubożsi, ale bardziej otwarci i życzliwi, choć pozbawieni wielu cywilizacyjnych możliwości.

Otwarci także na Boga?

Z tym Bogiem to bywa różnie. Rosja jest krajem „wewnętrznie" religijnym. Rosjanin ma duszę jak rosyjskie piosenki. Melancholijną, rzewną. Taka jest dusza Rosjanina, zwłaszcza tego w interiorze. Tak odbierałem spotkania ze zwykłymi ludźmi, gdziekolwiek miały miejsce.

Ojciec chłopaka, który zatonął na okręcie „Kursk", opowiadał, jak przyjechali do niego czarną Wołgą czterej panowie w garniturach, którzy przywieźli w banknotach 10 tys. dol., żeby tylko podpisał dokumenty, że nigdy nie będzie szukał prawdy i sprawiedliwości

Do głowy ciśnie mi się mnóstwo przykładów, jak oni nas tam przyjmowali. Najczęściej spaliśmy w parafiach albo w namiocie w tajdze. Ale zdarzyło nam się raz nocować w więzieniu, czasami w jakiejś bani lub po domach u ludzi.

Prawdziwe spotkania z prawdziwymi ludźmi...

Tak. Realne spotkania. Realnie trudne sytuacje, kiedy np. przyjechaliśmy do domu, w którym rodzina właśnie pochowała swojego syna, który był marynarzem na okręcie podwodnym „Kursk". Teraz mogę o tym mówić bez przeszkód. Poprzednio unikałem takich tematów, żeby móc jeszcze wjechać do Rosji. Dziś wizy do Rosji, zwłaszcza religijnej, pewnie bym i tak nie dostał ze względu na mówienie prawdy. A to nie jest takie łatwe. Ojciec tego chłopaka opowiadał, jak przyjechali do niego czarną Wołgą czterej panowie w garniturach, którzy

eprasa.pl cf50c2f600

przywieźli w banknotach 10 tys. dol., żeby tylko podpisał dokumenty, że nigdy nie będzie szukał prawdy i sprawiedliwości. Oprócz pieniędzy przywieźli order dla syna i nazwali ulicę w tej miejscowości jego imieniem.

Ten człowiek podpisał to zobowiązanie?

Podpisał. Płakał, kiedy nam o tym opowiadał. „Co miałem zrobić?" – mówił. Oni powiedzieli, że wiedzą, gdzie pracuje żona i że dwoje pozostałych dzieci chce studiować. Ja rozumiem, dlaczego podpisał te dokumenty. Ot, jedno ze spotkań w drodze. Oczywiście nie brakowało i tych radośniejszych.

Jak ksiądz trafił do Pietropawłowska? Do parafii na krańcu świata.

Decyzję podjął nowy ordynariusz Irkucka, bp Cyryl Klimowicz, następca bp. Mazura, którego wyrzucono z Rosji. Przez rok nie było nikogo, a później przybył bp Cyryl, Białorusin z polskimi korzeniami, który zaprosił do współpracy ks. Martina Sebina z Kamczatki, którego znał. Wymieniliśmy się z ks. Martinem. On został proboszczem parafii katedralnej w Irkucku, a ja objąłem parafię na Kamczatce.

Przeprowadzka z Irkucka na Kamczatkę była doznaniem szokowym czy to jednak ten sam świat, podobne postawy?

Są istotne różnice. Wspólnota katolików w Irkucku jest duża. Oprócz biskupa byli tam kapłani i siostry zakonne. Odbywały się koncerty. Zresztą miałem okazję instalować organy w irkuckiej katedrze. Myślałem, że po obowiązkach chóralno-muzycznych w Koszalinie na Syberii trafię do jakiejś mieściny, będę sobie siedział w ciszy i jeździł do babć w przysiółkach. Okazało się inaczej. Najpierw obowiązki w katedrze, a potem Kamczatka – zupełnie inne okoliczności. Wspólnota wiernych w Pietropawłowsku Kamczackim liczyła jakieś 40 osób, do tego dodać trzeba mniejsze wspólnoty po 5–10 osób w miastach oddalonych od Pietropawłowska o 300, 500 czy 900 km. Jak znalazłem fundusze i czas, to jeździłem z sakramentami po całej Kamczatce.

Kim byli księdza parafianie? Potomkami zesłańców?

Może 10 proc. było potomkami zesłańców z całej Rosji. Przy czym Kamczatka to ewenement. Już od czasów Stalina, przez cały okres zimnej wojny, półwysep był zamkniętym terytorium, także dla Rosjan. Za specjalnym pozwoleniem władz w Pietropawłowsku osiedlono 200 tys. osób. Ci ludzie byli zapleczem dla wojska i rybołówstwa. Tak jest do dziś. Jedna trzecia ludności Kamczatki to wojskowi, jedna trzecia to rybacy i pracownicy firm przetwórstwa rybnego, a pozostała część świadczy usługi na rzecz dwóch pierwszych grup. Zarobki na Kamczatce są dwukrotnie wyższe niż w innych częściach Rosji, staż pracy też liczy się dwa razy szybciej. Czyli po 10 latach ma się przepracowanych 20 lat. Urlopy, które przysługują pracownikom na Kamczatce, to nie 25, lecz 50 dni. Wszystko ze względu na klimat i trudności bytowe. Przyjechali tam Białorusini, których ksiądz gdzieś tam w dzieciństwie ochrzcił, Ukraińcy, także Polacy, potomkowie zesłańców, albo ci, którzy pojechali tam za pracą.

Władza uznała mnie za niebezpiecznego politycznie i nie mogłem już wjeżdżać do niektórych miast. Sprawowaliśmy wtedy Msze na zewnątrz. Pamiętam pasterkę, którą odprawiałem w budynku przy szlabanie. Wewnątrz było minus 35 stopni, na zewnątrz 10 stopni mniej

Wyobrażam sobie, że ze względu na izolację Kamczatki jest tam ogromna wyrwa w praktykowaniu wiary i sprawowaniu sakramentów. Kiedy księża katoliccy mogli powrócić na Kamczatkę?

Sięgnijmy do historii. Pierwszymi kapłanami na Kamczatce byli ojcowie jezuici, którzy przybyli tam z adm. Vitusem Beringiem, na statkach, które nazywały się „Piotr" i „Paweł". Stąd nazwa Pietropawłowsk. To właśnie dwaj jezuici, którzy znaleźli się w tym miejscu, sprawowali najprawdopodobniej pierwsze Eucharystie na Kamczatce. Po rewolucji bolszewickiej Kamczatka stała się jednym z pierwszych regionów Rosji całkowicie ateistycznych. Jeśli był tam jakiś ksiądz prawosławny i nie chciał dobrowolnie wyjechać, to tracił życie. Podobnie kapłanów katolickich nie było tam przez 70 lat.

Posługiwał ksiądz na duchowej pustyni.

Przede mną dolatywał tam raz na rok lub częściej ks. Jarosław Wiśniewski. Później był tam wspomniany wcześniej ks. Martin. Dla mnie najważniejszym, ale też najtrudniejszym zadaniem w ciągu tych 10 lat posługi na Kamczatce była regularna Msza, czyli przyzwyczajenie ludzi do przeżywania niedzieli jako dnia bez pracy i sposobność do spowiedzi i Komunii Świętej, a potem inne sakramenty, ponieważ katolicy, którzy tam mieszkali, nie mając dostępu do księdza katolickiego, często prosili o chrzest prawosławnych.

Można powiedzieć, że dzięki posłudze księdza i jego poprzedników katolicy na Kamczatce zyskali możliwość na życie wiarą.

„Życie wiarą" to duże słowa. Ale jeśli chodzi o Msze Święte, to udało się regularnie gromadzić 40 katolików i przez ten czas karmić Ewangelią i sakramentami. Przy czym rotacja ludzi na Kamczatce, w tym katolików, którzy tam pracowali, była tak duża, że w ciągu 10 lat nasza wspólnota prawie dwukrotnie całkowicie wymieniła skład.

Powiedział ksiądz, że jeśli tylko była sposobność, to jeździł też ksiądz do mniejszych wspólnot rozsianych po Kamczatce, żeby tam sprawować Msze.

Tak. Miało to miejsce w ich domach. Jednak po jakichś pięciu latach władza uznała mnie za niebezpiecznego politycznie i nie mogłem już wjeżdżać do niektórych miast, i odwiedzać wiernych w ich prywatnych mieszkaniach. Sprawowaliśmy wtedy Msze na zewnątrz. Pamiętam pasterkę, którą odprawiałem w budynku przy szlabanie. Wewnątrz było minus 35 stopni, na zewnątrz 10 stopni mniej. Zdarzało się, że wynajmowałem pokój w hotelu, ale tam w czasie Mszy z lewej i z prawej dochodziły różne odgłosy... Tak powstał pomysł, żebym, kiedy przyjadę do nich latem, przywiózł coś, w czym można by się pomodlić. W ten sposób zrodziła się idea, żeby jeździć na wioski z dmuchanym kościołem. To był

eprasa.pl cf50c2f600

piękny kościół o wysokości 11 metrów, o wymiarach pozwalających na to, żeby wszyscy się zmieścili i mogli się w spokoju modlić, a nie tylko odpędzać komary, które na Kamczatce są prawdziwą plagą. Wykonał go dla mnie Robert, kolega z klasy maturalnej, który zajmował się budową dmuchanych zamków. Dmuchany kościół został zamówiony, miał dojechać, ale nigdy nie dojechał.

Jak układały się księdzu relacje z prawosławnymi? Zwykłymi wiernymi, duchowieństwem, hierarchią? Musiał ksiądz w jakiś sposób do nich się upodobnić, żeby zostać zaakceptowanym?

Jest coś takiego jak inkulturacja. Jeśli nosisz brodę i długie włosy, to dla większości mieszkańców Kamczatki czy w ogóle Rosji jesteś albo batiuszką, albo bikerem, czyli motocyklistą. Teraz jestem jednym i drugim (śmiech). Więc miałem tam długą brodę i długie włosy ze względu na ich kulturę. Co do relacji z prawosławnymi, odpowiem krótko: im wyżej, tym trudniej. Sytuacja katolików jest tam trudna, co nie znaczy, że nie miałem przyjaciół wśród prawosławnych, także wśród księży prawosławnych. Jednak miejscowy biskup prawosławny nigdy nie zdobył się na spotkanie ze mną, nawet podczas wizyty na Kamczatce biskupa katolickiego nie życzył sobie mojej obecności na tym spotkaniu. Pokornie stałem pod drzwiami w czasie ich rozmowy. Takie podejście. Pewnego razu, kiedy odwiedziłem zaprzyjaźnionego księdza prawosławnego, ten powiedział mi: „Wiesz, Krzychu, ja cię nigdy nie odwiedzę. Mam w Moskwie dwie córki, które tam studiują, chcę, żeby skończyły studia".

Doświadczył ksiądz podczas swojej pracy na Kamczatce czegoś w rodzaju „nocy duchowej"? Były chwile, w których czuł ksiądz pustkę i wypalenie?

Nazwę to śnieg duchowy. Na samym początku mojego pobytu na Kamczatce, kiedy byłem pełen zapału i entuzjazmu na nowej placówce, spadł pierwszy śnieg. Jakiś metr. Wstałem rano i postanowiłem odśnieżyć teren wokół kaplicy (stary drewniany domek z dwoma połączonymi pokojami jako kaplica). Zajęło mi to osiem godzin. Wstałem następnego dnia rano i… po mojej pracy nie było śladu. Popatrzyłem na sąsiadów, nikt nie odgarniał śniegu. Pomyślałem: rosyjskie lenie, nie chce im się pracować. Odgarniałem śnieg znowu. Po czterech godzinach nie czułem rąk. Trzeciego dnia świeży śnieg zatarł znów ślady mojej pracy z poprzedniego dnia. Wtedy pokornie poszedłem do sąsiadów i zapytałem, dlaczego nie odśnieżają. Odpowiedzieli: „Batiuszka, poczekaj, aż przestanie padać". A kiedy przestanie – pytam. Oni na to: „Nie wiadomo, może za trzy dni, może za tydzień". Po miesiącu miałem dość. Myślałem, że albo zwariuję od tego śniegu, albo wyjadę. A on ciągle padał. Przez sześć miesięcy. Postanowiłem „ochrzcić" ten śnieg. Nauczyłem się prawosławnej modlitwy tzw. Jezusowej: „Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nade mną grzesznikiem". To modlitwa prawosławnych mnichów. Odmawia się ją na wdechu i wydechu. Kiedy oddycha się w ten sposób, nie da się szybko pracować. Powiedziałem sobie, dwie godziny pracy przy śniegu dziennie i ani minuty więcej. I dzięki temu przez te 10 lat udało mi się te śnieżne trudy przetrwać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl cf50c2f600

Dyskretny urok art déco

FOT. PIOTR SEMKA

Piotr Semka z Paryża

Minęło sto lat od wystawy sztuk dekoracyjnych w Paryżu, która zainspirowała świat sztuki na przełomie lat 1925 i 1926. Od ponad wieku styl art déco zachwyca i inspiruje. Wystawa w paryskim Museé Arts Decorative na Rue Rivoli przenosi nas w okres międzywojnia

Stylistyka z szalonych lat 20. i 30., budząca reminiscencje z filmami o Nikodemie Dyzmie, Arsènie Lupinie czy teledysku Madonny „Vogue". Na tej wystawie poczujemy się jak na planach filmowych ekranizacji powieści Agathy Christie. Są tu fragmenty wystroju „Orient Express" czy szacowne, ale nowoczesne meble gabinetów szefów najpotężniejszych banków z lat 30.

„Wybierz się w podróż do serca szalonych lat dwudziestych i podziwiaj arcydzieła z ich dziedzictwa. Rzeźbiarskie meble, cenna biżuteria, dzieła sztuki, rysunki, plakaty i elementy mody: prawie 1000 dzieł ukazuje bogactwo, elegancję i sprzeczności mody, która wciąż fascynuje. Musée des Arts Décoratifs celebruje ten śmiały, wyrafinowany i zdecydowanie nowoczesny styl" – zachęcają autorzy ekspozycji.

Minęło sto lat od wystawy sztuk dekoracyjnych w Paryżu, która zainspirowała świat sztuki na przełomie lat 1925 i 1926. Od ponad wieku styl art déco zachwyca i inspiruje. Wystawa w paryskim Museé Arts Decorative na Rue Rivoli w kompleksie pałacowym danego Luwru przenosi nas w okres międzywojnia. Do świata pozornie pewnego siebie, ale naznaczonego piętnem dekadencji. Epoka zachwycona fetyszami nowoczesności – wyścigowymi automobilami, hydroplanami, sterowcami i transatlantykami. Przypomina styl generacji pozornie żyjącej w amoku ciągłej zabawy, ale faktycznie wstrząsanej lękiem przed kolejnym globalnym konfliktem.

Widz z Polski ogląda kolejne sale z uczuciem zazdrości. W lekko dotkniętej ostatnią wojną Francji przetrwały dziesiątki tysięcy zabytków art déco. Na tle wyniszczonej wojną i powojenną komuną Polski to niewyobrażalne bogactwo.

„STOLICA ŚWIATA" DYKTUJE NOWY STYL

Po ośmiu latach wojny, która zabrała do grobów sporą cześć europejskich młodych generacji, ci, którzy przeżyli, zaczęli na gwałt odreagowywać koszmar okopów. Chcą się bawić i ekscytować nowoczesnością. Dawny patriarchalny

eprasa.pl cf50c2f600

i pompatyczny świat XIX w. odrzucają, bo wysłał ich na rzeź. Kobiety ścinają włosy i czeszą się na chłopczyce. Dadaiści prowokują mieszczan swoimi skandalami. Kubiści szukają nowych kierunków w malarstwie. A twórcy sztuk użytkowych inspirują się sztuką Afryki i Azji. Tak, tak – bez kolonialnych podbojów styl afrykańskich masek i zdobnictwa Indochin czy Japonii nie odmieniłby gustów paryskich artystów.

„Art déco ucieleśniał pragnienie nowości, charakterystyczne dla szalonych lat dwudziestych. Ruch ten celebrował postęp techniczny, odkrycia archeologiczne (zwłaszcza egipskie po odkryciu grobowca Tutanchamona) oraz wpływy Wschodu i Afryki. Ta otwartość na świat znajduje odzwierciedlenie w motywach, materiałach i formach, które tworzyły wizualny słownik tamtych czasów" – czytam na wystawie.

Ostatecznie odrzucona zostaje stylistyka secesji pełna miękkich linii, lejących się krągłości i motywów floralnych. Teraz w modzie jest kanciastość. Dominują gładkie, krystalicznie cięte płaszczyzny. Na fasady modernistycznych gmachów i na murale w halach wielkich firm trafiają motywy kół zębatych i samolotów. Lotnik i kolonizator są bohaterami nowej ery. Kubizm i abstrakcja geometryczna wkraczają triumfalnie do salonów bogatej burżuazji.

I właśnie najbardziej wyrazistą demonstracją takich nowych trendów była „Exposition internationale des arts décoratifs et industriels modernes" – paryska Międzynarodowa Wystawa Sztuki Dekoracyjnej i Wzornictwa. Trwała od 28 kwietnia do października 1925 r. Właśnie ta wystawa tak silnie skojarzyła się z nowymi trendami, że to od słów z francuskiego tytułu wystawy – „arts décoratifs" – utworzono nazwę „art déco".

Teren wystawy był całkiem spory – jej powierzchnia zajęła 23,1 ha. Główną oś ekspozycji utworzono wzdłuż linii centralnej, wytyczonej od głównego wejścia przy Grand Palais przez Most Aleksandra III do Hôtel des Invalides.

Struktura rozmieszczenia wystawców została określona w regulaminie wystawy, tak aby każdy uczestniczący kraj nie otrzymywał pojedynczego, zamkniętego obszaru dla swojej sekcji: podzielono ją na cztery odrębne grupy. Pierwsza grupa składała się z ekspozycji w pawilonie narodowym; druga – z sekcji tematycznych umieszczonych w wyznaczonych salach narodowych Grand Palais. Eksponatom z trzeciej grupy zapewniono przestrzenie w galeriach Esplanade des Invalides. Czwarta grupa obejmowała różnorodne konstrukcje do sprzedaży detalicznej produktów artystycznych i przemysłowych (od dużych pawilonów po małe kioski), wzniesione przez każdy kraj w wyznaczonych miejscach położonych na lewym brzegu Sekwany w strefie parków rozrywki, atrakcji i kawiarni.

Na prawym brzegu, w dwóch rzędach wzdłuż nabrzeża, wybudowano pawilony Francji i państw obcych; od strony wschodniej zamknięto je wyjściem na Place Concorde.

Plany wystawy robią warzenie nawet dziś. Francja wyniszczona ośmioletnią wojną była w stanie zdobyć się na tak efektowną demonstrację swych ambicji do przewodzenia gustom i modom świata. Chyba po raz ostatni na taką skalę w XX w.

My, Polacy, jesteśmy bardzo dumni z naszego udziału w tym święcie nowej sztuki. Szczycimy się złotymi medalami, które zdobyli w stolicy Francji tacy nasi twórcy jak Jan Szczepkowski, Zygmunt Kamiński czy Zofia Stryjeńska, która upolowała tam aż cztery nagrody Grand Prix. Polscy historycy sztuki lubią powtarzać słowa komisarza polskiego pawilonu

Plakat autorstwa A.M. Cassandre'a FOT. PIOTR SEMKA

Główne wejście na wystawę FOT. PIOTR SEMKA

Jerzego Warchałowskiego, że wtedy, w 1925 r., „[...] tam dopiero, nad brzegami Sekwany, odzyskaliśmy naszą niepodległość artystyczną". Wszystko pięknie, ale na paryskiej wystawie w 2026 r. o Polakach na ekspozycji sprzed stu lat nie ma nic. I nic dziwnego. Dla naszych pradziadków była to pierwsza okazja do pokazania się w wielkim świecie po 123 latach nieistnienia na mapie świata. Ale w oczach Francuzów Polacy jako kulturowi ubodzy krewni znad Wisły ginęli w tłumie innych państewek powstałych lub skonstruowanych na nowo wskutek Kongresu w Wersalu: Czechosłowacji, Litwy, Łotwy, Estonii, Jugosławii czy Rumunii. Jeśli już coś ze Wschodu ich naprawdę ciekawiło, to sowiecki konstruktywizm, bo Związek Sowiecki miał tu swój własny pawilon.

Udział Sowietów w wystawie był zresztą jednym z pierwszych aktów wymiany kulturalnej między ZSRS a Francją po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych między krajami 28 października 1924 r.

Niemcy jako ówczesny „wyrzutek Europy" nie otrzymały zaproszenia na wystawę z przyczyn politycznych, a Stany Zjednoczone odmówiły udziału z uwagi na niewystarczającą gotowość gospodarzy do pokazania w odpowiedniej skali osiągnięć amerykańskiej sztuki dekoracyjnej i przemysłu.

„GRANDEUR DE LA FRANCE"

Francuzi zrobili zatem po stu latach wystawę głównie o swoim art déco

eprasa.pl cf50c2f600

i swoich mistrzach tego nowego stylu. I pokazali, jakim byli kiedyś artystycznym mocarstwem.

Wystawa pokazuje wspaniałe rzeźbiarskie meble, cenną biżuterię, rysunki przygotowawcze, plakaty reklamowe i dzieła mody. Ta różnorodność ilustruje, jak art déco wpłynęło na wszystkie dziedziny twórczości: architekturę, projektowanie wnętrz, biżuterię, haute couture i grafikę. Sam dom jubilerski Cartiera użyczył muzeum ponad 80 eksponatów – naszyjniki, diademy, pudełka, zegarki, akcesoria, rysunki i dokumenty archiwalne. Z prywatnych rezydencji i skarbczyków milionerów wyciągnięto arcydzieła meblarstwa – niektóre są prezentowane po raz pierwszy. Tu też widać pogoń za epatowaniem egzotyką – w meble wkomponowywane są elementy z drewna tekowego, hebanu czy bangikirai.

Co rusz napotykamy tu małe arcydzieła stylowego meblarstwa. Autorzy ekspozycji wyeksponowali kultowe przedmioty, takie jak pulchna komoda André Groulta z szarej skóry, mały cud z „sypialni Madame" wystawionej na Wystawie Światowej w 1925 r. Albo biurko z żaluzją Jacques'a-Émile'a Ruhlmanna z listwą cyma recta, wykonane z hebanu makasarskiego z akcentami kości słoniowej – klejnot elegancji i proporcji, zaprezentowany w Hôtel du Collectionneur – również na Wystawę Światową w 1925 r.

PODRÓŻUJ W NAJLEPSZYM STYLU

Wystawa kończy się spektakularnym pokazem wpływu art déco na design świata komunikacji. Mamy okazję poczuć się jak słynny detektyw Herkules Poirot i zajrzeć do wnętrza legendarnego „Orient Expressu", prawdziwego klejnotu luksusu i innowacji. Kabina dawnego pociągu „Étoile du Nord" wraz z trzema modelami przyszłego „Orient Expressu", zaprojektowanymi na nowo przez Maxime'a d'Angeaca, które zaprezentowano na parterze muzeum.

Wagony legendarnego pociągu są właśnie rekonstruowane według archiwalnych zdjęć i planów. Jak podaje „Le Figaro", opisując wystawę – potrzeba było czterech lat pracy opartej

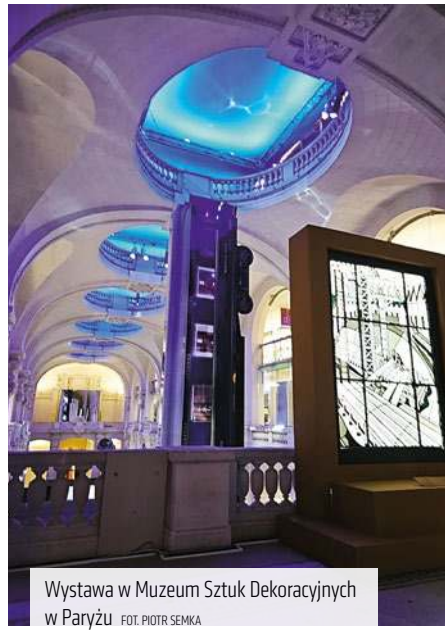

Wystawa w Muzeum Sztuk Dekoracyjnych w Paryżu FOT. PIOTR SEMKA

na dokumentacji tej marki, przejętej przez grupę hotelową Accor, aby 140 lat później przywrócić do życia ten pałac na kółkach o niespotykanym dotąd wyrafinowaniu. Otwarty w 1883 r. pociąg łączył Paryż z Konstantynopolem, oferując usługi lokajskie za cenę równą sześciomiesięcznej pensji urzędnika państwowego. Planowane jest oddanie „Orient Expressu" do użytku wiosną 2027 r.

Czuwa nad tym Maxime d'Angeac (ur. 1962 r.), architekt i dyrektor artystyczny tej rekonstrukcji, który zdobył już sławę dbałością o szczegóły. To on nadzorował odtworzenie dekoracji z 35 tys. ręcznie naszywanych koralików na ozdobnym, pociągowym drewnianym panelu. Pod jego okiem ok. 30 najlepszych rzemieślników stara się łączyć stare z nowym, nigdy nie kopiując oryginału, zawsze go na nowo tworząc. Spośród 17 starych wagonów „Orient Expressu" odkrytych w 2015 r. w tunelu na granicy z Białorusią (czyżby łup Armii Czerwonej w 1945 r.?) na wystawie zaprezentowano odrestaurowany „wagon prezydencki" – prawdziwy miniapartament z wysuwaną kanapą, prysznicem i oddzielną toaletą.

Tuż obok seria fotogramów pokazujących wystawne wnętrza transatlantyku „Normandie". Wtedy jeszcze, w latach 30., nowoczesność nie kojarzyła się z anonimowością „stylu międzynarodowego". Armatorzy morscy wiedzieli w tamtych latach, że do projektowania okrętowych mebli i wnętrz „pałaców na wodzie" trzeba zatrudniać najlepszych projektantów i nie żałować pieniędzy na materiały z najwyższej półki.

Zdumiewa siła inwencji ówczesnych francuskich architektów, konstruktorów samochodów, aeroplanów i transatlantyckich statków. Tym bardziej że z historii wiemy, w jak żałosny sposób skończy się dosłownie za parę lat francuska IV Republika. Jej pozornie efektowny dynamizm lat 20. i 30. i siła jej militarnej machiny okażą się szokująco bezsilne wobec nagiej przemocy Hitlera w 1940 r. A niemieccy oficerowie kupować będą biżuterię art déco za grosze i wysyłać w prezencie swoim die Fräulein w Rzeszy.

„Ta wystawa to zaproszenie do odkrywania świata, w którym sztuka, piękno i marzenia rodzą się w teraźniejszości, tak jak w 1925 roku" – tymi słowami zegnają nas autorzy ekspozycji.

Zachęta do doceniania piękna dnia dzisiejszego? Czy trafna wobec powszechnej unifikacji i bezstylowości? A może sto lat temu też narzekano na fatalny styl współczesności?

Ale nie miejmy przesadnych złudzeń. Do wystawy o stylu Europy w 2125 r. pewnie już nie dożyjemy.

Rzeźba z brązu autorstwa Gastona Le Bourgeoisa FOT. PIOTR SEMKA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „1925–2025 – Sto lat art déco" w Muzeum Sztuk Dekoracyjnych w Paryżu potrwa do 26 kwietnia 2026 r. Szczegóły na: www.madparis.fr.

eprasa.pl cf50c2f600

Odejście Olimpijczyka

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Krzysztof Masłoń

29 marca br., cztery dni po swoich 94. urodzinach, zmarł Wiesław Myśliwski, najwybitniejszy polski prozaik. Jego „Kamień na kamieniu" obwołany został arcydziełem jeszcze przed publikacją. Wyróżnionymi Nagrodą Nike „Widnokręgiem" i „Traktatem o łuskaniu fasoli" ugruntował swą wyjątkową pozycję w literaturze polskiej. Ściślej – na jej Olimpie.

Rzeczywiście, uchodził za Wielkiego Olimpijczyka naszego piśmiennictwa, ale zapamiętałem go także z sytuacji zgoła niekoturnowych. Jak z pewnego wieczoru spędzonego jakoś tak w okolicach Wielkanocy w restauracji w Elblągu, gdy po wieczorze autorskim przy kolacji zafundował mi regularny wykład o rodzajach żurów i zakwasów. Gdy wyraziłem swój podziw dla jego wiedzy w tej materii, odrzekł, że największym autorytetem w podobnych kwestiach jest jego żona (był z nią w związku małżeńskim aż 77 lat) i to do niej odwoływał się w sporach toczonych na takie tematy z np. Wojciechem Siemionem, też nielichym znawcą tematu – przyznawał. A już z nieskrywanym zdumieniem przyjął Myśliwski wiadomość, że nie jadałem nigdy kiszonych grzybów, co więcej, nie słyszałem nawet o podobnych specjałach. Coś podobnego!

Przypisywano go do tzw. literatury chłopskiej czy, mówiąc inaczej, wiejskiego nurtu literatury. Było to nieporozumieniem, choć sam pisarz nigdy się od tego nurtu nie odżegnywał; przeciwnie – podkreślał swoje związki ze wsią, z rodzinną ziemią sandomierską, pracował zresztą w prasie ZSL-owskiej i PSL-owskiej, redagując m.in. „Tygodnik Kulturalny" i „Sycynę", a przede wszystkim zasłużony dla naszej kultury i nauki kwartalnik „Regiony", w którym publikował niezwykle wartościowe materiały, m.in. pamiętniki chłopów. Całymi latami wyjaśniał różnice między kulturą chłopską a kulturą ludową. Z połowicznym rezultatem, bo wciąż te pojęcia są mylone. Kultura chłopska – tłumaczył – „była kulturą bytu, kulturą miejsca. Wyrażała się w relacjach człowiek – człowiek, człowiek – rodzina, sąsiedzi, zwierzęta, ziemia, Bóg – słowem, we wszystkich możliwych relacjach, jakie pojawiały się w orbicie ludzkiego życia. Uzewnętrzniały się te relacje w rytuałach, zachowaniach, w wyobraźni, w języku. Była to kultura integralna, w której świat realny współistniał na takich samych zasadach jak świat wyobrażeniowy. W tę kulturę wpisany był bez mała system filozoficzny odpowiadający na pytanie, jak żyć". A kultura ludowa? „Tę stworzyła nasza inteligencka wyobraźnia. Nasze spojrzenie na kulturę chłopską jak na barwny folklor. Powtórzę, co już kiedyś powiedziałem: chłop nie wiedział, jaki jest jego folklor, wiedział, jaki jest jego los". I o tym losie, polskim losie chłopskim, pisał w swoich powieściach i dramatach. Razem tworzących jeden z najważniejszych rozdziałów literatury polskiej.

Miał swoje przyzwyczajenia, pisał codziennie, maksymalnie jedną stronę. Do pisania używał ołówka, a właściwie – jak żartował – gumki, bo najwięcej ścierał. A skreślonego zdania nie znosił. Tak powstawało siedem jego powieści, od „Nagiego sadu", wydanego w 1967 r., prawie 60 lat temu, po „Ucho igielne" datowane na rok 2018. Tak też rodziły się jego dramaty: „Złodziej", „Klucznik", „Drzewo" i „Requiem dla gospodyni".

Wiele lat temu rozmawiałem z pisarzem o wydanym wtedy „Widnokręgu", nagradzanym i wychwalanym przez krytykę, ale przez czytelników niedocenionym chyba, a przecież to jedna z najpiękniejszych książek o miłości. Powiedział wtedy, że ta ostatnia to najwyższy stan mądrości, a nie jest nam dana tylko z tego tytułu, że się urodziliśmy. Prowadzi do niej trudna droga i „nie każdego na nią stać, a może nawet mało kogo. Zdolność do miłości zawdzięczamy innym, ale także naszej wrażliwości na innych". Z miłością warto być jednak ostrożnym i nie nadużywać wielkich słów. To w „Uchu igielnym" zakochany chłopak słyszy od dziewczyny: „Mówią, że gdy kocha się kogoś, kocha się cały świat. Ale ja bym nie mogła pokochać świata". Pisarz spuentował to zdanie refleksją: „Wiem, że [...] nie musimy świata kochać, wystarczy, że tak trudno nam się z nim rozstawać".

W tamtej rozmowie z pisarzem zacytowałem słowa jednej z postaci „Widnokręgu", która powiada, że „groby wiedzą najwięcej".

– Czy nie ma pan takiego wrażenia – zapytał wtedy Wiesław Myśliwski – że nawet gdy umierają znajomi, przyjaciele, to jednak umierają inni, lecz gdy zaczynają umierać ci, z którymi nas łączą więzy krwi, to czujemy, że i sami umieramy? Rodzina ma bardziej fundamentalne znaczenie w planie metafizycznym niż w jakimkolwiek innym. Jest to jednocześnie ten kawałek świata, z którego nic nie jest w stanie nas wyzuć. Istnieje możliwość wyzucia nas z państwa, z narodu, ze społeczeństwa, ze środowiska, ze wszystkich innych zbiorowości, ale nie z rodziny. Tylko śmierć może to uczynić, chociaż i to nie jest takie pewne.

Cała twórczość Wiesława Myśliwskiego to wielka opowieść o losie ludzkim i zmaganiach człowieka z cywilizacją. To także filozofia, również socjologia, na pewno antropologia. Ale i poezja, bo język tego pisarza był wyjątkowy, tak jak wyjątkowe było traktowanie przez niego słowa. A uczył się jego od swoich absolutnie niezwykłych mistrzów, z ukochanym Janem Kochanowskim na czele. Tłumaczono Myśliwskiego chyba na wszystkie języki świata, otrzymał kilka honorowych doktoratów i kilkadziesiąt nagród literackich. Oprócz tej najważniejszej. Nobla jednak nie dostał, a należał mu się, należał. ©℗

eprasa.pl cf50c2f600

Członkowie Led Zeppelin w filmie „Becoming Led Zeppelin" hołd oddają zmarłemu towarzyszowi broni FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Film zatytułowany „EPiC: Elvis Presley in Concert" pokazuje niesamowitą charyzmę artysty FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„ONE SHOT z Edem Sheeranem: Muzyczna uczta" to film, którego autorem jest Philip Barantini FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Piątka na piątkę

Piotr Gociek

Elvis Presley, Paul McCartney, Led Zeppelin, Red Hot Chili Peppers, Ed Sheeran – chyba nigdy nie było lepszych czasów dla filmowych dokumentów o muzyce

Muzyka popularna nigdy wcześniej nie była tak łatwo dostępna, a jednocześnie chyba nigdy tak szybko jak wcześniej nie straciła na znaczeniu. Dziś każde, najbardziej nawet dzikie marzenie zagorzałego fana może zostać spełnione w ułamku chwili. Nagrania z koncertów na krańcach świata, edycje specjalne, wersje próbne, unikatowe remiksy – Internet oferuje to wszystko od ręki. A jeśli nie od ręki, to w ciągu doby na nośniku fizycznym, przy pomocy tego czy owego giganta sprzedaży. A jednocześnie… chyba nie potrafimy się tym cieszyć, bo nadmiar przytłacza, nadmiar otępia. Kiedyś podobne poszukiwania i łowy na rarytasy trwały miesiącami, jeśli nie latami. I jakże bywały satysfakcjonujące, gdy kończyły się sukcesem.

Zatem w tych fantastycznych – i jednocześnie kiepskich, bo promujących wtórność – czasach rośnie rola tych, którzy dokonują selekcji. Tak jak w świecie bieżących wiadomości i politycznych komentarzy – nie jest problemem dotarcie do jakiejś informacji, bo mamy ich aż za dużo. Problemem jest ułożenie ich w jakąś spójną historię. W opowieść, która coś nam wyjaśni.

TO TYLKO SHOW!

Wnioski z tej wielkiej zmiany wyciągnęli twórcy muzycznych filmów dokumentalnych, dla których nastała złota era. I którzy, zauważmy, korzystają z dobrodziejstw najnowszych technologii w sposób mądrzejszy od twórców fabuł. Nie ma takiego nagrania, którego nie dałoby się odświeżyć, filmu archiwalnego, którego nie można oczyścić, zdjęcia z rodzinnego archiwum, którego nie dałoby się podrasować. A jednocześnie gdy materiałów źródłowych brak (bywa i tak), uruchomić można kreatywność. Mogą to być animowane wstawki, może to być zaskakujący montaż, może to być nawet wykorzystanie sztucznej inteligencji, by zmarły bohater zaczął własnym głosem odczytywać zapiski z notesu sprzed lat. Na razie praktyki takie budzą jeszcze kontrowersje, jestem jednak przekonany, że za kilka lat będą powszechnie akceptowaną normą.

Spójrzmy zatem na pięć muzycznych dokumentów, które warte są naszej szczególnej uwagi, a które trafiły niedawno do kin lub streamingu.

Na początku niespodziewany ciąg dalszy. Baz Luhrmann wraca do Elvisa Presleya! Cztery lata po filmie fabularnym z Austinem Butlerem przedstawił efekt kilkuletniej pracy nad dokumentem, którego podstawą są odnalezione niedawno taśmy, których nie wykorzystano podczas ostatecznego montażu filmów „Elvis: That's the Way It Is" (1970) oraz „Elvis on Tour" (1972). W archiwach Warner Bros., mieszczących się w kopalni soli w Kansas, odkryto również nieznany 45-minutowy zapis wywiadu audio z Presleyem. Stał się on podstawą narracji prowadzonej zza kadru przez Króla. Jeśli idzie o sceny koncertowe, to głównym problemem było dopasowanie odnalezionych taśm muzycznych (pozbawionych dźwięku) do ocalałych archiwalnych zasobów audio. Było warto, bo efekt jest oszałamiający.

Film zatytułowany „EPiC: Elvis Presley in Concert" pokazuje niesamowitą charyzmę artysty, ale prawdziwym rarytasem są m.in. sceny, kiedy widzimy go bez scenicznej maski. Jeśli ktoś uwierzył w mit artysty, który był ofiarą show-biznesu niemającą za bardzo pojęcia, co się dzieje, to był w błędzie. Elvis w dokumencie Luhrmanna jest doskonale świadomy szczególnej gry między nim a publiką, wie, czego oczekują fani, i daje im to z pełną świadomością, trzymając jednocześnie dystans do całej zabawy: to tylko show! Z drugiej strony jako stuprocentowy zawodowiec daje z siebie wszystko. Energia bije z ekranu tego świetnie zmontowanego filmu, który w lutym i marcu obejrzeć można było w kinach, a niedługo trafi do streamingu.

ŻYCIE PO BEATLESACH

Z innym mitem walczy Paul McCartney, bohater i narrator filmu „Man on the

eprasa.pl cf50c2f600

Paul McCartney to bohater i narrator filmu „Man on the Run" Morgana Neville'a FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Najsmutniejszym z omawianych filmów jest „Historia Red Hot Chili Peppers: Nasz brat, Hillel" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Run" Morgana Neville'a, znanego m.in. z dokumentów o Fredzie Rogersie, Orsonie Wellesie czy Anthonym Bourdainie. Neville zrezygnował z gadających głów, zostawił jedynie narrację McCartneya tłumaczącego się niemal od początku, że to nie on rozwalił The Beatles. Wedle Paula to Lennon pierwszy ogłosił, że odchodzi, tyle że nie ujawnił tego mediom. Więc potem całe odium spadło na jego przyjaciela i partnera w pisaniu piosenek.

„Man on the Run" (do zobaczenia w Amazonie) to opowieść o tym, czy możliwe było życie po Beatlesach. Owszem, było i przybrało ostatecznie formę grupy Wings, ale droga do sukcesu była bardzo długa. Inna sprawa, że McCartney tym razem chciał sławy na własnych, ściśle określonych warunkach. Jak wyznaje, w momencie, gdy grupa się rozpadła, nie wiedział nic o życiu. „Najpierw byłem dzieciakiem, a potem Beatlesem". Tego, co zwyczajne, normalne, codzienne, musiał się więc uczyć. I robił to z żoną Lindą oraz dziećmi, owcami i innymi zwierzętami w położonej na odludziu farmie High Park Farm. Sam ją wyremontował, sam położył nowy dach. Studio, w którym pisał piosenki, było skrzyżowaniem kurnika z oborą. I tak dalej. I oto eks-Beatles podejmuje decyzję, której będzie wierny – sława już nigdy nie może wejść w konflikt z życiem osobistym. W końcu filarem Wings była też jego żona, a dzieciaki latały z nimi w trasy koncertowe.

To Linda McCartney jest prawdziwym bohaterem tej opowieści, dokument mówi o wielu sprawach, ale przebija z niego wielka miłość Paula do zmarłej przedwcześnie ukochanej. Klamrą zamykającą pierwszą dekadę solowej kariery jest zaś śmierć Johna Lennona. Od tego momentu przeszłość naprawdę była już nieodwracalnie zamknięta.

WIĘCEJ ENERGII NIŻ NA PŁYTACH

Swój własny hołd oddają zmarłemu towarzyszowi broni członkowie Led Zeppelin w filmie dokumentalnym „Becoming Led Zeppelin" (reż. Bernard MacMahon, do obejrzenia w ponad 10 serwisach streamingowych, od Apple TV+ po Netflixa). Są trzy ważne powody, by poświęcić czas tej opowieści. Po pierwsze, historia formowania grupy oraz początków kariery jej członków jest także fascynującą opowieścią o rynku muzycznym Anglii lat 60. XX w. Po drugie, tu również, oprócz świetnych wywiadów przeprowadzonych na potrzeby filmu, dostajemy nieznany dotąd wywiad z Johnem Bonhamem. Perkusista, którego śmierć doprowadziła do rozwiązania grupy, jest tu równorzędnym bohaterem i narratorem. Po trzecie, niesamowite wrażenie robią wczesne koncertowe nagrania Led Zeppelin, w których słychać jeszcze więcej energii niż na płytach. Reżyser wie, że ma w rękach złoto: nie przycina, nie miksuje, pozostawia część utworów w całości, wraz z reakcją mocno niekiedy skonfundowanej publiczności.

W CIENIU TRAGEDII

Najsmutniejszym z omawianych tu filmów jest „Historia Red Hot Chili Peppers: Nasz brat, Hillel" („The Rise of the Red Hot Chili Peppers: Our Brother, Hillel", reż. Ben Feldman). To dokumentalna nowość Netflixa, podobnie jak film o Led Zeppelin koncentrująca się na formowaniu grupy i jej pierwszych sukcesach oraz oddająca hołd temu z nich, którego śmierć zabrała zbyt wcześnie. W przypadku Red Hotów był to gitarzysta i kompozytor Hillel Slovak, który był główną siłą napędową projektu dopóty, dopóki nie zabrała go heroina. Archiwalne materiały wideo to gratka dla fanów, opowieść o bandzie ulicznikow w Los Angeles, która cudem wydobyła się z bagna i zaczęła robić karierę, też jest fascynująca. Ale wszystko rozgrywa się w cieniu tragedii. Basista Flea płacze, wspominając Slovaka, wokalista Anthony Kiedis jest wciąż zdruzgotany. Byli młodzi, byli głupi, wydawało im się, że będą żyć wiecznie. Nałóg zabrał najdelikatniejszego i najbardziej utalentowanego z nich. A oni żyją dalej z pełną tego świadomością.

Oto figura, która tak często się powtarza w historii rocka, całkiem, jakby ceną wielkiego sukcesu zawsze musiało być oddanie krwawej ofiary złotemu cielcowi. Beatlesów tragedia dotknęła, gdy już się rozeszli. W przypadku Zeppelinów zakończyła historię zespołu. Z kolei dla Red Hot Chili Peppers była wrotami do prawdziwej kariery. Elvis Presley jest w tym zestawie przykładem szczególnym: sam był ofiarą i sam beneficjentem swego bezgranicznego oddania muzyce.

GODZINA Z ŻYCIA EDA

Na tym tle ostatni, piąty film, o którym chciałem wspomnieć, jawi się jako przypowieść optymistyczna. „ONE SHOT z Edem Sheeranem: Muzyczna uczta" („One Shot with Ed Sheeran: A Music Experience") to dostępny w Netflixie film muzyczny, którego autorem jest Philip Barantini. I w osobie reżysera wyraża się unikatowość projektu: Barantini to ceniony aktor i operator filmowy, który zasłynął serialem Netflixa „Dojrzewanie", w którym każdy odcinek nakręcony był jednym długim ujęciem. Tej samej techniki użył, by pokazać godzinę z życia Eda Sheerana: uśmiechnięty pieśniarz z gitarą schodzi ze sceny, wsiada do taksówki, przygrywa podczas oświadczyn, gra w piętrowym autobusie i w metrze – by powrócić na scenę, z której godzinę wcześniej zeszliśmy. Wszystko nakręcone jest w jednym ujęciu, każdą nutę Sheeran zagrał sam; wiemy oczywiście, że to inscenizacja, ale uśmiech i tak ciśnie się na twarz, bo jednak większość przypadkowych widzów z ulic Nowego Jorku nie miała pojęcia, co się dzieje. Po prostu: zstąpił do nich Sheeran, a Barantini to uchwycił. I całe szczęście. Bo duchy zmarłych muzyków są ważne, ale ważniejsze jest to, żeby muzyka wciąż budziła w nas uśmiech.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cf50c2f600

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

SkyShowtime

Amerykańska utopia

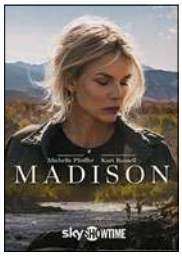

★★★★☆☆

SEZON 1
„THE MADISON"
USA 2026

wyst. Michelle Pfeiffer, Kurt Russell, dystr. SkyShowtime

Dwie Ameryki. Pierwsza to idylliczne krajobrazy Montany, rzeki pełne pstrągów, ludzie pełni mądrości. Prawdziwe życie, prawdziwe szczęście. Druga to luksusowe ulice Nowego Jorku, gdzie czyhają na ciebie bandyci, policja ma wszystko w nosie, wszystko jest sztuczne i bardzo drogie, a o spokój ducha równie trudno, jak o dzieci, które nie siedzą przy obiedzie ze wzrokiem utkwionym w smartfonie.

Nowy serial Taylora Sheridana gra na tym przeciwstawieniu od samego początku. Ktoś może powiedzieć: cynicznie, bo to wszystko piękna bajka, amerykańska utopia. Z drugiej strony, czyż nie jest to opowieść właśnie z tego powodu najbardziej charakterystyczna dla amerykańskiej kultury?

Wszak jedną z podstawowych form amerykańskiej literatury jest jeremiada: wezwania do powrotu do dawnej niewinności i siły moralnej, które zostały utracone. „Moby Dick", „Wielki Gatsby" itd. Oto rodzina Clyburnów: patriarcha rodu (Kurt Russell) ginie w wypadku lotniczym, jego żona (Michelle Pfeiffer), żeby zamknąć wszelkie formalności, udaje się do Montany. Zacznie patrzeć na nią inaczej – to znaczy: nie okiem obrzydliwie bogatego mieszczucha – gdy zrozumie, jak wiele dzikie krajobrazy i proste przyjemności znaczyły dla zmarłego męża. I oto cała historia: kobiety i dziewczęta z trzech pokoleń rodu Clyburnów uczyć się będą powoli kochania miejsca skrajnie odmiennego od Piątej Alei.

Podczas gdy krytycy narzekają, że sześć odcinków pierwszego sezonu to głównie sentymentalne pocztówki z prowincji, widzowie pragną takiej właśnie bajki. Premiera „Madison" w USA okazała się wydarzeniem: 8 mln widzów w serwisie streamingowym Paramount+ to pobicie rekordu innych produkcji Taylora Sheridana. A było ich sporo: „Yellowstone", „Landman", „Lioness", „Burmistrz Kingstown", „Król Tulsy" itd. Zatem to nieprawda, że tylko „my lubim sielanki". Słowianie, Amerykanie – wszyscy dziś patrzą w przeszłość, poszukując dawnych dobrych czasów.

Rozumieją to twórcy retrokontentu na YouTube, który sprzedaje się świetnie. Nie rozumie tego współczesne Hollywood, pogrążone w szaleństwach dekonstrukcji wszystkiego. Taylor Sheridan jest w fabryce snów wyjątkiem, bo wie lepiej, czego oczekują widzowie. I świetnie na tym zarabia. ©℗

GRA TYGODNIA: „SUPER MARIO BROS. WONDER NINTENDO SWITCH 2 EDITION"

★★★★★★

„Super Mario Bros. Wonder" na pierwszego Switcha to w moim osobistym rankingu jedna z najlepszych platformówek 2D/2,5D. W wersji na Switcha 2 jest jeszcze lepsza! Nie ograniczono się bowiem do technicznych ulepszeń, ale dostarczono pakiet większych i mniejszych ulepszeń, w tym nowe umiejętności i multiplayer. Jakby tego było mało, w pakiecie dostajemy duży dodatek „Meetup in Bellabel Park". Docenić należy także polską, solidnie przygotowaną, wersję językową. ©℗ ***Radosław Wojtas***

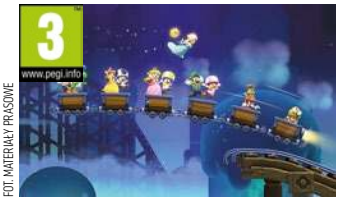

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** ***platformowa***
- ***Platforma:*** ***Nintendo Switch 2***
- ***Producent, wydawca PL:*** ***Nintendo, ConQuest***

eprasa.pl cf50c2f600

Świat się skończył

KINO

Hollywood wpadek nie wybacza. Zwłaszcza reżyserom z rozbuchaną wyobraźnią. Gore Verbinski, współtwórca sukcesu „Piratów z Karaibów", zaliczył dwie kasowe porażki i zniknął z horyzontu na prawie dekadę.

Jak na Polaka z pochodzenia przystało, wrócił, nieskruszony. „Baw się dobrze i przeżyj" to kolejna filmowa szarża, tyle że zrealizowana stosunkowo tanim kosztem. U nas budżet opiewający na 20 mln dol. byłby szczytem marzeń, ale w USA monumentalnego widowiska za taką sumę nakręcić się nie da, nawet jeśli gwiazdy zrezygnują z honorariów.

Jeśli lubisz „Czarne zwierciadło", filmy Terry'ego Gilliama i tolerujesz permanentny brak powagi – to wbijaj śmiało do multipleksu. Stężenie kiczu osiąga tu poziom zbliżony do groteski „Marsjanie atakują!". Kinofile z pewnością docenią multum nawiązań i cytatów z szeroko rozumianej klasyki SF i horroru – od „12 małp" i „Terminatora" do „Matrixa", „Nocy żywych trupów" i „Pogromców duchów". Widzów normalnych takie zabawy kręcą średnio.

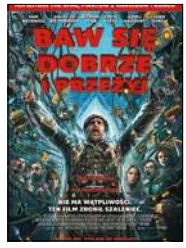

★★★★★☆

REŻ. GORE VERBINSKI
„BAW SIĘ DOBRZE I PRZEŻYJ" („GOOD LUCK, HAVE FUN, DON'T DIE!")
USA 2025

wyst. Sam Rockwell, Juno Temple, Haley Lu Richardson

Rzecz dotyczy nieodległej przyszłości. Ludzie, uzależnieni od AI tudzież telefonów komórkowych mają tak zlasowane mózgi, że przestali wstawać z łóżek. Pracują nieliczni, młodzi uciekają od rzeczywistości do wirtualnych rajów. Strzelaniny w szkołach stały się codziennością, jednak żal po stracie latorośli można łatwo ukoić, zamawiając klona. Firma oferuje cenę promocyjną, pod warunkiem że wybierzesz egzemplarz emitujący reklamy.

Johnny Depp znalazł się poza finansowym zasięgiem, ale kluczową rolę podróżnika w czasie odgrywa inny ekscentryk – Sam Rockwell. Schowany za gęstym zarostem, w stroju godnym lumpa pojawia się w barze, by werbować (nie)przypadkowych klientów do udziału w misji, która uratuje świat. Kiepski z niego motywator: zdradza, że już 117 razy próbował doprowadzić do resetu systemu i nigdy mu się nie udało. Rockwell wyszedł z tarapatów obronną ręką. Inni aktorzy mieli mniej szczęścia, bo scenariusz sprowadził ich do poziomu epizodystów. Ciekawe, czy Matthew Robinson, zanim zapragnął sprawdzić się w show-biznesie, pracował jako nauczyciel. I czy był technofobem, zanim stało się to modne? ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

PRZYGODY OPTYMISTY

vod.pl

Historia spłatała jaśniepanu hrabiemu psikusa. Rodowe dobra na Białorusi zagarnęli Sowieci, a kolejny polityczny kataklizm uczynił z niego tułacza. Józef Czapski – pięknoduch i pacyfista – omal nie zginął w Katyniu. Dług wobec kolegów, którzy mieli mniej szczęścia, spłacił książką „Na nieludzkiej ziemi", jednak czuł się przede wszystkim malarzem. Z pewnością był wdzięczny losowi, że większą część życia mógł spędzić blisko ukochanego Paryża. Istnieją co najmniej dwa powody, by przywołać ducha Czapskiego. Urodził się dokładnie 130 lat temu, Sejm zaś ogłosił go patronem A.D. 2026. Telewizyjny kolaż wywiadów i publicznych wystąpień hrabiego kapisty, sam w sobie interesujący, utrwala jednak stereotypowy wizerunek sypiącego anegdotami „świadka epoki". Szanse, że powstanie biopic z prawdziwego zdarzenia, systematycznie maleją. ©℗

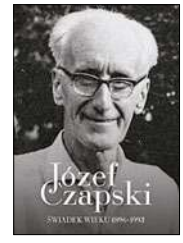

★★★☆☆☆

REŻ. ANDRZEJ WOLSKI
„JÓZEF CZAPSKI 1896–1993. ŚWIADEK WIEKU"
POLSKA/FRANCJA 2014

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Archeologia w Arsenale

Po długiej przerwie spowodowanej remontem Arsenału Warszawskiego Muzeum Archeologiczne w Warszawie znów zaprasza odwiedzających. Zaprasza dwiema czasówkami – „Nad Wisłą, na Urzeczu" oraz „Skarby wieków średnich".

Na pierwszej z wystaw prezentowane są zabytki z badań wykopaliskowych prowadzonych na Urzeczu, czyli w mikroregionie między Czerskiem a Warszawą, którego tradycje związane są z flisakami i osadnictwem olęderskim. Najstarsze z artefaktów mają ponad 12 tys. lat, najmłodsze pochodzą z XII w.

Na drugiej wystawie zgromadzono najcenniejsze okazy z kolekcji Działu Średniowiecza i Archeologii Czasów Nowożytnych Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie. To artefakty ze złota, srebra, szkła, brązu, które stanowiły zawartość depozytów ukrywanych w średniowieczu w momencie zagrożenia lub niepokoju.

Przez cały kwiecień wstęp jest bezpłatny. ©℗

FOT. PAŃSTWOWE MUZEUM ARCHEOLOGICZNE

GDZIE? ***Muzeum Archeologiczne w Warszawie***
KIEDY? ***conajmniej do 17 maja***

eprasa.pl cf50c2f600

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Ta nasza młodość...

Na pozór jest to historia romansowa, taka jak inne jej podobne. Ot, atrakcyjna jeszcze 40-letnia mężatka uwodzi przystojnego 20-latka, nie zważając na swój wysoki status społeczny, a to w małym miasteczku, w którym rozgrywa się akcja powieści, grozi nie lada skandalem. A dzieje się to w czasach głębokiej komuny, w realiach stalinizmu alla polacca i rzekomej odwilży, która miała zmienić wszystko, a w istocie nie zmieniła niczego.

„Krótka historia miłosna" wydobywa z pamięci to wszystko, o czym milczą podręczniki historii, skupiające się na wielkiej polityce, a ignorujące to, czym naprawdę żyją ludzie. A oni, najzwyczajniej w świecie, borykają się z codziennymi problemami, owszem, miewają wielkie i piękne marzenia, bywa, że kochają się, w pierwszym rzędzie jednak dbają o zabezpieczenie swych podstawowych potrzeb. W latach powojennych w niesłychanie zubożonej Polsce było to szczególnie wyraźne.

Na przykład jeden z dwóch protagonistów powieści marzy o półbutach – wiśniowych, na słoninie, kosztujących 132 zł. „Stoją na wystawie u Herr Placka; żeby tylko ktoś mnie nie uprzedził... To »Herr« to, oczywiście, mój wymysł, w Wamburgu niemało jest nazwisk niemieckich z brzmienia, chociaż Wamburg przed wojną należał do Polski, ale przedtem był, jak już pisałem, pod zaborem pruskim – niemieckie nazwiska to dziedzictwo tamtych czasów. Jak było z »Herr« Plackiem podczas okupacji niemieckiej – nie wiem, na pewno Reichsdeutschlistę podpisał jak tutaj niemal wszyscy, chociaż nie służył w Wehrmachcie, jak na przykład ojciec Isi, który po pijanemu plecie takie androny o swoich wojennych przygodach, że forsowanie głębokich po szyję bagien w górach (sic!) to najmniejsza z tych bujd. Placka zostawili na stanowisku kierownika jego własnego sklepu, który upaństwowili trzy czy cztery lata temu, gdy prywaciarzom przykręcono śrubę do końca; ten przywilej zapewne miał związek z faktem, że został on towarzyszem i nawet członkiem egzekutywy miejskiego komitetu partii".

No tak... Ubecja najbardziej zagrażała bohaterowi w roku 1953, gdy – jak czytamy – „władza »ludowa« w całym kraju opanowała sytuację, opór ograniczał się do enklaw, natomiast o tym, co się działo w centrali w Warszawie, w Krakowie i w innych dużych miastach, ludzie na prowincji w zasadzie nic nie wiedzieli, chyba że mieli krewnych, którzy mieszkali w stolicy lub w jednym z większych miast i przywozili stamtąd mrożące krew w żyłach opowieści. Ale to pozostawało w rodzinach. Towarzysze z PPR, a potem z PZPR, ci na kierowniczych stanowiskach, nie chwalili się publicznie mordami sądowymi (mowa o tak zwanych sądach kiblowych) i innymi zbrodniami »zbrojnego ramienia partii« na polskich patriotach, przykrywając wszelkie zło niesłychanie rozbudowaną propagandą, w gazetach, w pierwszym programie Polskiego Radia, którego głos płynął nieustannie z wszechobecnych kołchoźników, nieprzerwanie włączonych, często na cały regulator. »Kołchoźniki« – nazwane tak przez lud – to był genialny wynalazek, szedł w nich tylko ten jeden program jednego radia, najbardziej nasycony propagandą i bez możliwości jakiegokolwiek wyboru. Najwyżej można było przekręcić gałkę i wyłączyć głośnik. Nieliczni tylko mieli odbiorniki radiowe, Polska Ludowa to nie była kraina obfitości dóbr, i słuchali Wolnej Europy, Głosu Ameryki, Londynu czy Madrytu, głównie inteligencja. W małych miastach i na wsi bardzo nieliczna".

Życie w małym pomorskim miasteczku nie wyróżniało się na pozór niczym szczególnym. Musiało być jednak trudne do zniesienia dla ludzi wykorzenionych, a takimi byli młodzi Warszawianie, którym po powstaniu z brutalną niekiedy komunistyczną rzeczywistością przyszło się mierzyć właśnie tam – na prowincji. Z gruntu obcej. „Ta nasza młodość, ten szczęsny czas..." – słowa hymnu Piwnicy pod Baranami brzmią w kontekście przedstawionych przez Jerzego Biernackiego wydarzeń bardzo sarkastycznie.

Ta książka utkana jest ze wspomnień, i złych, i dobrych, a najczęściej byle jakich. Ale pozostaje pamięć o uniesieniach, miłosnych, ale i – tu niespodzianka – religijnych. Bohater wyznaje: „[...] nie dałbym sobie nigdy odebrać tego cudownego uczucia uskrzydlenia po spowiedzi, dzięki któremu radośnie spływałem niemal z góry na dół, skacząc po trzy szerokie stopnie prowadzące z dziedzińca świątyni na ulicę. Zapomniawszy zupełnie o chwilach upokarzającej obawy czy wręcz strachu, które ten akt pojednania i pokuty poprzedzały. No i zupełnie nie przemawiały do mnie argumenty Henia [rodzonego brata – przyp. K.M.], w rodzaju tego o dużej liczbie i różnorodności religii. Co to ma do rzeczy, skoro jest Słowo Objawione; trzeba tylko wierzyć".

Proste? ©℗

★★★★☆

JERZY BIERNACKI „KRÓTKA HISTORIA MIŁOSNA"
NOVAE RES, GDYNIA 2026

eprasa.pl cf50c2f600

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Nie z tego świata

Opowieść oparta na chwycie jak z brytyjskich bajek o wróżkach i elfach: piękność ze świata nadprzyrodzonego zakochuje się w śmiertelniku. Tyle tylko że wszystko rozgrywa się w dusznej atmosferze amerykańskiego Południa, a tajemnicza dama to śmiertelnie niebezpieczna zmiennokształtna istota, która przybrawszy postać pięknej kobiety, poślubiła Oscara Caskeya, dziedzica lokalnej fortuny.

Ową damę przyniosła wielka powódź, która spustoszyła miasteczko Perdido, leżące nad rzeką o tej samej nazwie. Jednak kto spodziewa się teraz serii makabrycznych zdarzeń i eskalacji przemocy – odejdzie zawiedziony. Seria „Blackwater", składająca się z sześciu książeczek, to w istocie rodzinna saga z odrobiną niesamowitości. Atmosferę grozy buduje niepewność, a nie opisywana z detalami makabra. Historia mezaliansu, a jednocześnie ciekawa metafora, o czym więcej za chwilę.

Rzecz oryginalnie ukazała się w roku 1983 i długo pozostawała znana jedynie zaprzysięgłym fanom amerykańskiego B-klasowego horroru. Odkryta ponownie dekadę temu obwołana została zapomnianą niesłusznie klasyką gatunku. Chwalcy mają rację: to opowieść świetnie napisana, równie dobra jak powieści grozy Stephena Kinga czy Dana Simmonsa. Jej autor, Michael McDowell, zapisał się w historii kina jako autor scenariusza do filmu Tima Burtona „Beetlejuice". Jako źródło swych największych inspiracji wskazywał H.P. Lovecrafta oraz – uwaga – Eudorę Welty, jedną z najciekawszych pisarek amerykańskich XX w., specjalistkę od pogłębionych portretów psychologicznych.

„Blackwater" to perfekcyjne połączenie tych inspiracji, z przewagą tej drugiej. Tym, co od początku ciekawi czytelnika najbardziej, jest to, jak rozwijały będą się relacje w rodzinie Caskeyów, gdzie trwa cicha wojna między matroną rodu a kobietą uważaną za przybłędę. Mary-Love Caskey nie ufa Elinor Dammert za grosz, choć nie umie wyjaśnić dlaczego. Jednak związek Oskara i tajemniczej damy jest szczęśliwy, w dodatku ta ostatnia bez skrupułów dba o pomnożenie rodzinnej fortuny. Oczywiście wszystko skończy się tragedią, jak to bywa w opowieściach gatunku Southern Gothic. A obiecana metafora brzmi tak: wszystko, co zgromadzimy na tym świecie – miłość, bogactwo, szczęście – nie należy do nas. Jest nam jedynie na jakiś czas użyczane. ©℗

★★★★★☆
MICHAEL MCDOWELL
„BLACKWATER"
ALBATROS 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Nareszcie po polsku – demaskatorska książka Bourdaina, która przyniosła mu światową sławę, zanim jeszcze został telewizyjną gwiazdą. Czyli szokująca opowieść o tym, co dzieje się na zapleczach luksusowych restauracji.

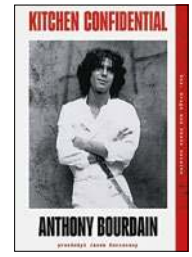

ANTHONY BOURDAIN
„KITCHEN CONFIDENTIAL"
BUCHMANN/GW FOKSAL

Do piekła i z powrotem – nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Dzieło sztuki, dokument, zapis choroby i ozdrowienia tudzież rojeń i cierpienia. Oto wznowienie słynnej powieści w wersji pozbawionej ingerencji cenzury.

JERZY KRZYSZTOŃ
„OBŁĘD"
PIW

Obszerny tom opowiadań jednego z mistrzów fantastyki Złotego Wieku. Wśród nich teksty premierowe. Najważniejszy z nich to mikropowieść „Wielki czas", klasyka gatunku wyróżniona Nagrodą Hugo w 1958 r.

FRITZ LEIBER
„PRZEZNACZENIE RAZY TRZY"
STALKER BOOKS

Wszystkie opowiadania o ks. Brownie zebrane w jednym tomie. Ponad 700 stron zagadek kryminalnych, pytań duchowych, a niekiedy nawet nie z tego świata. Edycja kolekcjonerska w twardej oprawie z barwionymi brzegami ©℗

recenzuje Piotr Gociek

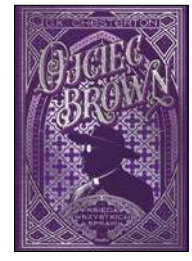

G.K. CHESTERTON
„OJCIEC BROWN. KSIĘGA WSZYSTKICH SPRAW"
REPLIKA

KOMIKS TYGODNIA:
JAPOŃSKIE SMUTECZKI

Siedem opowieści graficznych, które łączy wspólny mianownik: to, jak dajemy – a właściwie: nie dajemy – sobie rady z międzyludzkimi relacjami. Bardzo charakterystyczny dla Japonii ton nostalgii i samotności wpasowuje się w emocjonalne rozterki Generacji Z na Zachodzie. Tom uznany za najlepszą książkę roku 2024 w kategorii mangi dla kobiet. ©℗

KOGANI OOSHIRO
„GRZEJNIK NAD MORZEM"
HANAMI 2025

Piotr Gociek

eprasa.pl cf50c2f600

Rosja rozdarta między Azją a Europą

Lech Mażewski

Przebieg wojny nad Dnieprem dowodzi, że Rosja boi się własnych obywateli, nie będąc w stanie podjąć decyzji o ogłoszeniu powszechnej mobilizacji. Ma to swoje uzasadnienie historyczne, ale wskazuje jednocześnie na kolejny strukturalny problem współczesnej Moskwy

Zdumiewa fakt, w jak mało efektywny sposób Rosja toczy wojnę z Ukrainą. Wielokrotnie podnoszono, że w czasie drugiej wojny światowej wojskom sowieckim marsz od Moskwy do Berlina zajął trzy lata i pięć miesięcy, podczas gdy w ciągu czterech lat armia Federacji Rosyjskiej nie jest w stanie nawet zdobyć Donbasu. Z czego to wynika? Czy źródeł tego stanu rzeczy należy szukać jedynie w słabości armii? A może chodzi o strukturalne problemy państwa rosyjskiego? Czy byłyby one na tyle duże, że uprawione jest mówienie o Rosji jako chorym człowieku północnej Eurazji?

BRAK MODERNIZACJI GOSPODARKI

Pod koniec 1989 r. ostatni sekretarz generalny KC KPZS Michaił Gorbaczow oświadczył na Zjeździe Deputowanych Ludowych: „Oceniamy teraz rezultaty pierestrojki. Prawdą jest, że na ogół nie przyniosła ona rezultatów ekonomicznych, dała jednak wolność słowa i twórczości oraz swobody polityczne". Jest oczywiste, że bez skutecznego przeprowadzenia reform gospodarczych uzyskanej wolności nie tylko nie dałoby się utrzymać, ale ponadto Związek Sowiecki utraciłby swoją dotychczasową pozycję. To samo odnosiło się do Federacji Rosyjskiej, państwa, które wyłoniło się po upadku ZSRS.

Czy dokonana modernizacja gospodarki miałaby znaczenie dla sytuacji armii rosyjskiej walczącej dziś nad Dnieprem? Niedawno Elon Musk kazał wyłączyć Starlinki, dotąd użytkowane przez Rosjan. Dzięki temu przez najbliższe miesiące Ukraińcy będą odnosili sukcesy na froncie, bo ich przeciwnicy nie mają dostępu do łączności satelitarnej. To tylko drobny przykład, jak żołnierze FR płacą krwią za zapóźnienie gospodarcze swojego państwa.

Następca Gorbaczowa Borys Jelcyn, jako pierwszy i ostatni prezydent ZSRS, a później pierwszy prezydent Federacji Rosyjskiej, pogłębił problemy gospodarcze Rosji, próbując zbudować tam kapitalizm niejako z dnia na dzień. Wywarło to bardzo negatywne skutki zarówno dla gospodarki, jak i całego społeczeństwa. Inflacji, upadkowi przedsiębiorstw, problemom z zaopatrzeniem, pojawieniu się elementów gospodarki naturalnej towarzyszył niespotykany w czasach pokoju spadek średniej długości życia oraz realnych dochodów ludności. Przeprowadzenie prywatyzacji według pierwotnego wzoru Janusza Lewandowskiego i Jana Szomburga ułatwiło jedynie rozgrabienie masy upadłościowej po realnym socjalizmie. To wszystko działo się w sytuacji narastającej zależności od Zachodu.

W tej sytuacji Władimir Putin w roli kolejnego prezydenta Rosji musiał nie tyle zadbać o wygenerowanie impulsu modernizacyjnego, ile sanować gospodarkę i podjąć działania ratujące samo państwo przed podporządkowaniem różnorakim interesom demoliberalnego świata. To pierwsze powiodło się w dużym stopniu dzięki wzrostowi cen ropy i gazu, stanowiących, obok handlu bronią, główne źródło dochodów budżetowych; drugie zaś skutkowało konfliktem ze światem euroatlantyckim, co szczególnie widoczne jest, począwszy od 43. Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium w 2007 r.

KURS ZAPADNICKI CZY ZWROT W KIERUNKU CHIN?

Istotnym elementem konfliktu rosyjsko-ukraińskiego jest konieczność odpowiedzi przez Moskwę na pytanie, czy kurs zapadnicki, a więc kontynuacja dzieła Piotra Wielkiego, polegająca na

eprasa.pl cf50c2f600

Władimir Putin w roli prezydenta Rosji musiał nie tyle zadbać o wygenerowanie impulsu modernizacyjnego, ile sanować gospodarkę i podjąć działania ratujące samo państwo przed podporządkowaniem różnorakim interesom demoliberalnego świata

FOT. KREMLIN.RU

pozostaniu częścią czegoś w rodzaju sojuszu północy, ciągnącego się od Ameryki Północnej przez Europę, Rosję aż do Japonii, o wyraźnym ostrzu antychińskim, jest w interesie samej Rosji, a może należałoby dokonać zwrotu w kierunku Eurazji z Pekinem na czele, co od długiego czasu proponuje prof. Siergiej Karaganow. Brak jasności w tej sprawie utrudnia Moskwie skuteczną politykę w sprawie ukraińskiej, a także negatywnie wpływa na toczenie wojny z Kijowem.

Po obaleniu w lutym 2014 r. prezydenta Ukrainy Wiktora Janukowycza rozpoczęły się w rosyjskojęzycznej części tego państwa działania na rzecz szerokiej autonomii, wręcz federalizacji, a nawet przyłączenia tych terenów do Rosji. W marcu 2014 r. właściwie bez sprzeciwu ze strony armii ukraińskiej tak właśnie stało się z Krymem i miastem wydzielonym Sewastopolem, które przyłączone zostały do FR. W kwietniu na terenach m.in. obwodów ługańskiego i donieckiego doszło do utworzenia republik ludowych, które jednak nie ogłosiły oderwania od Ukrainy, żądając szeroko posuniętej niezależności. Wkrótce rozpoczęły się walki wojsk ukraińskich z milicjami separatystów. Aktywność ze strony Moskwy ograniczała się początkowo do dostarczania broni i zgody na udział ochotników, dopiero później pojawiły się regularne oddziały armii rosyjskiej. Odegrały one istotną rolę najpierw w walkach pod Iłłowajskiem w sierpniu 2014 r., a następnie w bitwie o Debalcewo na początku 2015 r., kończącej ten etap konfliktu o Donbas i na całym wschodzie i południu Ukrainy.

5 września 2014 r. członkowie grupy kontaktowej, w której skład wchodzą Ukraina, Rosja, OBWE oraz obie republiki ludowe, podpisali protokół w sprawie zawieszenia broni na obszarze Donbasu. Najbardziej istotną częścią tego dokumentu był pkt 3, który stanowił, że Kijów przyjmie ustawę „o szczególnym trybie funkcjonowania samorządu terytorialnego w części obwodów donieckiego i ługańskiego". Mimo to starcia zbrojne trwały nadal. 12 lutego 2015 r. w Mińsku doszło do zawarcia kolejnego porozumienia między przywódcami Niemiec, Francji, Ukrainy i Rosji. Podpisy na stosownym dokumencie złożyli przedstawiciele tych samych stron co poprzednio. Punkt 11 głosił: „Przeprowadzenie konstytucyjnej reformy na Ukrainie. Zmiany mają wejść w życie do końca 2015 r. Mają zakładać decentralizację (z uwzględnieniem szczególnych cech poszczególnych rejonów republik donieckiej i ługańskiej), a także przyjęcie ustawy o szczególnym statusie poszczególnych rejonów obwodów donieckiego i ługańskiego do końca 2015 r.". W pkt 12 była mowa o sposobie przeprowadzenia wyborów samorządowych na tych terenach.

Jak wiadomo, nigdy nie doszło do realizacji stypulacji zawartych w obu porozumieniach mińskich. Już po 2022 r. dowiedzieliśmy się od kanclerz Niemiec Angeli Merkel, że chodziło o danie czasu Ukrainie na przygotowanie się do kolejnego etapu wojny, a nie rozwiązanie istniejącego konfliktu. Zakończyło się to powodzeniem. Niezrozumiałe jest natomiast, dlaczego Rosja zgodziła się na to. Jedyna odpowiedź, która się nasuwa, jest taka, że Putinowi wydawało się, iż w ten sposób, gwarantując sobie wpływ na sprawy wewnętrzne Kijowa, polepszy pozycję swojego państwa w ramach sojuszu północy, a więc zwrot w kierunku Eurazji nie byłby konieczny. Nie chodziło tu tylko o lęk przed staniem się junior partnerem Chin, lecz także o dalsze funkcjonowanie olbrzymiej sieci interesów łączących rosyjską klasę panującą

eprasa.pl cf50c2f600

z Zachodem. Z tego ostatniego powodu trudno jest uprawiać politykę zagraniczną, mającą na uwadze interes własnego państwa.

Rozgrywkę z lat 2014–2015 o przyszłość Ukrainy Rosja przegrała. Putin nie wykorzystał okazji, aby zakończyć byt państwa utworzonego na mocy decyzji przywódców bolszewickich (Włodzimierza Lenina, Józefa Stalina i Nikity Chruszczowa) i zrealizować swoją wolę w sprawie przyszłości tych terenów. Można to było zmienić 24 lutego 2022 r., ale do tego trzeba było użyć znacznie większej armii, na co się nie zdecydowano. Bez względu na sposób zakończenia konfliktu nad Dnieprem Ukraina będzie posiadać państwo wywalczone w starciu z Rosją, istniejące nie z łaski jej przywódców. Do niczego niekonieczne byłoby dalsze bajdurzenie o historycznej roli Stepana Bandery, OUN czy UPA, chyba że bez korzystania z tradycji ludobójczej Kijów nie może się obyć.

Rosja nadal nie rozstrzygnęła, czy chce być częścią sojuszu północy czy może jednak należałoby dokonać zwrotu w kierunku Eurazji. Dobrze to pokazuje nadzieja na takie zakończenie wojny na Ukrainie, w którego ramach udałoby się wynegocjować olbrzymie inwestycje amerykańskie w Arktyce. W jakimś sensie przypominałoby to sytuację z końca lat 20. i początku 30. zeszłego wieku, kiedy firmy amerykańskie rozpoczęły proces industrializacji Związku Sowieckiego. W przypadku powodzenia mogłoby to pozwolić na zmniejszenie zależności od Pekinu. Ale czy bez popadania w zależność od Waszyngtonu? Ta nibysprytna próba gry między USA a Chinami może zakończyć się zmiażdżeniem Rosji.

LĘK PRZED OBYWATELAMI

Przebieg wojny nad Dnieprem dowodzi, że w gruncie rzeczy Rosja boi się własnych obywateli, nie będąc w stanie podjąć decyzji o ogłoszeniu powszechnej mobilizacji. Ma to swoje uzasadnienie historyczne, ale wskazuje jednocześnie na kolejny strukturalny problem współczesnej Moskwy.

1 marca 1917 r. Komitet Wykonawczy Rady Piotrogrodzkiej wydał osławiony rozkaz nr 1. W art. 1 zalecano wybieranie we wszystkich jednostkach wojskowych, od kompanii do pułku oraz w marynarce wojennej, „komitetów" wzorowanych na radach. W art. 2–3 była mowa o sposobie powiązania wojska z Radą Piotrogrodzką. Artykuł 4 przyznawał Radzie prawo odwołania rozkazów Rządu Tymczasowego w sprawach wojskowych. Artykuł 5 stanowił, że nadzór nad całym wyposażeniem wojskowym przejmą komitety w kompaniach i batalionach, w żadnym wypadku nie mieli go sprawować oficerowie. W art. 6–7 negliżowano status oficerów. Sytuację pogorszył jeszcze rozkaz nr 2 z 5 marca. Zastanawiano się w nim, czy oficerowie mają być obierani przez swoich podwładnych, pochwalając taki tryb postępowania w zakresie obsady stanowisk dowódczych. Tak oto demokracja, pod hasłem zagrożenia kontrrewolucją, rozpoczęła swój niszczycielski marsz przez instytucje armii.

Rosja prowadzi nibysprytną grę między USA a Chinami. Może się ona jednak skończyć jej zmiażdżeniem

Oba rozkazy doprowadziły najpierw do podkopania autorytetu rządu i korpusu oficerskiego w siłach zbrojnych, a później szybkiego rozpadu armii i państwa. Wyszły one wcale nie od bolszewików, lecz od lewicowych socjalistów, którym nie byli w stanie przeciwstawić się liberałowie, tworzący Rząd Tymczasowy. Dezercji 9 mln chłopów w mundurach żołnierskich towarzyszyła śmierć ok. 40 tys. oficerów, którzy próbowali to powstrzymać. Po pewnym czasie rzeczywistym beneficjentem tej sytuacji okazali się bolszewicy. To oni skorzystali z faktu postępującego błyskawicznie rozkładu zarówno armii, jak i państwa, wykorzystując niespodziewaną szansę na przejęcie władzy przez Lenina. W kolejnym pokoleniu pozycja Putina wyrasta właśnie z tych wydarzeń.

Jest oczywiste, że we współczesnej Rosji żadni lewicowi socjaliści ani nieporadni liberałowie nie mają nic do powiedzenia, ale nie można wykluczyć, że w przypadku niepowodzeń na froncie doszłoby do buntu w armii rekrutowanej z powszechnej mobilizacji. Charakterystyczne jest, że poborowych podlegających służbie czynnej wysyła się na front jedynie za ich zgodą. Ponadto armia rosyjska oparta wyłącznie na zawodowych żołnierzach i ochotnikach nie jest na tyle liczna, żeby wytworzyć kilkusettysięczny odwód, bez czego nie ma szans na pokonanie Ukrainy.

Karaganow w niedawnej rozmowie z Tuckerem Carlsonem wspominał, że po porażkach Rosji pod Chersoniem i Charkowem jesienią 2022 r. namawiał Putina do użycia taktycznej broni atomowej, ale ten, zasłaniając się względami religijnymi, wolał odwołać się do częściowej mobilizacji, niż zaryzykować dołączenie do prezydenta Harry'ego Trumana, który podjął decyzję o użyciu broni atomowej w Hiroszimie i Nagasaki w sierpniu 1945 r. U prezydenta Rosji zwyciężyła zapewne obawa przed ogólnoświatowym oburzeniem z powodu złamania tabu atomowego. Tylko że w ten sposób jedynie w niewielkim stopniu poprawiła się sytuacja armii rosyjskiej na froncie ukraińskim, a decyzja prezydenta USA była z pewnością jednym z czynników, który ostatecznie doprowadził do kapitulacji Tokio, co oznaczało zaoszczędzenie życia tysięcy żołnierzy amerykańskich, nie zważając przy tym na straty ludności cywilnej.

Rosja zapewne jest chorym człowiekiem północnej Eurazji, mając problemy z siłami zbrojnymi o charakterze strukturalnym, ale to nie znaczy, że jutro albo najpóźniej pojutrze przestanie istnieć. Bez dokonania modernizacji społeczno-gospodarczej, a także zdecydowania się, czy jest nadal częścią sojuszu północy czy może należy do Euroazji, FR nie przestanie bać się swoich obywateli. Jeśli tego nie zrobi, to może skończyć tak jak Turcja, chory człowiek na pograniczu Europy i Azji, która o mało co po pierwszej wojnie światowej zostałaby wymazana z mapy.

Prezentowane rozważania, choć odmienne od tych, których autorem był Roman Dmowski w wydanej w 1908 r. fundamentalnej pracy „Niemcy, Rosja i kwestia polska", prowadzą do podobnej konkluzji: współczesna Moskwa, wówczas Petersburg, nie stanowi zagrożenia dla nas. Nic też nie wskazuje na to, żeby mogło się to szybko zmienić.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cf50c2f600

Polska w nowym świecie

Rafał A. Ziemkiewicz

Kluczem do sukcesu Polski w nowym świecie jest umiejętne wyważenie interesów mocarstw, tak aby obie strony globalnej rywalizacji potrzebowały w Polsce gwarancji stabilności i zachowania swoich wpływów. Wymaga to drobiazgu – zerwania z polską szkołą „polityki zagranicznej" rozumianej jako życie towarzyskie i zakochiwanie się bez pamięci w tym lub owym potencjalnym protektorze, bez określania nawet, czego od niego oczekujemy

Śledząc wydarzenia dzień po dniu i tydzień po tygodniu, łatwo je przegapić. Każdy zna doskonale ten efekt: np. gdy dzieci wyjadą na dłuższe wakacje i dopiero po ich powrocie rodzice uświadamiają sobie, jak bardzo się przez ostatni rok zmieniły i wyrosły. Zmieniały się i rosły po trosze codziennie, ale trzeba było dystansu, by skutek tych codziennych zmian dostrzec.

Od miesięcy jesteśmy zasypywani sensacyjnymi informacjami ze świata. Przedłużanie się pozycyjnej wojny na Ukrainie, zmiana elity rządzącej w USA, kolejne dowody wzrostu potęgi Chin i słabnięcia Europy, ludobójstwo w Strefie Gazy, porwanie prezydenta Wenezueli, wreszcie niedawny atak Izraela i USA na Iran, o którym po dwóch tygodniach bombardowań powiedzieć można tylko jedno – że na pewno nie idzie zgodnie z amerykańskim planem i że jego konsekwencje będą dla wszystkich znaczące.

Ale można odnieść wrażenie, że te wszystkie „przełomowe newsy" istnieją jakoś osobno od naszego potocznego wyobrażania o świecie, które wciąż pozostaje takie samo. Nawet wśród dziennikarzy. Zachód Europy wciąż wydaje nam się krynicą dostatku i wolności, Ameryka – światowym hegemonem, Chiny krajem odległym i egzotycznym, Rosja potworem nie do pokonania, a Polska – „biedną panną bez posagu", skazaną, by zawsze być małą i słabą, która za wszelką cenę musi znaleźć jakiegoś protektora i zasłużyć mu się gorliwym spełnianiem jego oczekiwań, bo bez takiego opiekuna zginie.

„Widzisz, drogi Watsonie, a nie dostrzegasz" – mówił do przyjaciela Sherlock Holmes i czas wziąć sobie jego słowa do serca. Może chwila poświątecznego odprężenia to właśnie dobry moment, by nabrać niezbędnego dystansu i wreszcie zauważyć skumulowany skutek tych wszystkich wydarzeń ostatnich lat i miesięcy?

DROGA SMOKA

Żadne z polskich mediów – nie licząc specjalizujących się w tematyce youtuberów – nie odnotowało wydarzenia z początku marca, którym było przyjęcie przez chińskie władze nowego planu pięcioletniego. Mniejsza o jawne zagranie na nosie Zachodowi, którym jest zapowiedź redukcji do roku 2030 r. chińskiej emisji CO_2 o 17 proc. w stosunku do roku 2005, podczas gdy w „porozumieniu paryskim" Pekin zobowiązał się, że będzie to 65 proc. Najistotniejsze w nowym oficjalnym planie są dwie sprawy. Po pierwsze, zasada, że priorytetem Chin przestaje być wzrost PKB – Państwo Środka poczuło się już wystarczająco bogate, by zwolnić. Teraz priorytetem jest rozwój technologiczny. I tu, po drugie, jasno wskazano cel zasadniczy: w ciągu kolejnych lat Chiny przeznaczać zamierzają aż 12 proc. swego PKB na badania nad sztuczną inteligencją i jej wdrażanie (bez uszczknięcia niczego z dotychczasowych 7 proc. na zbrojenia).

Wskutek wieloletniej, krótkowzrocznej polityki maksymalizowania zysku w krótkim okresie, którą prowadził Zachód, realizowanej głównie przez wypychanie realnej gospodarki do tanich krajów i przesuwanie jej zasobów na spekulacje finansowe, Chiny wytwarzają dziś jedną trzecią całej światowej produkcji. Przejęły praktyczny monopol w wielu kluczowych dziedzinach, na czele z wydobyciem i produkcją metali rzadkich, i w większości kluczowych dziedzin dorównały USA w rozwoju technologicznym. Jeśli skupienie inwestycji na AI oraz innych innowacyjnych technologiach przyniesie zamierzone skutki, to w kolejnym skoku Chiny wyprzedzą Zachód i całkowicie odwrócą sytuację ukształtowaną w wieku XIX. Nigdy zresztą nie kryły, że to jest ich celem: odwróceniem skutku „wojen opiumowych". „Złoty miliard" ludzkości, czyli Zachód, który swój dobrobyt zawdzięcza okradzeniu i zniewoleniu przodków pozostałych czterech miliardów, będzie musiał pogodzić się, że teraz będzie odwrotnie – teraz to Zachód musi się otworzyć (albo zostanie w ten czy inny sposób otworzony) na zalew produkcji chińskiej i stopniowo oddać swój dobrobyt dawnym ofiarom.

Chiny nie żyją w przyjaźni z Indiami, które niedawno przejęły od nich pierwszeństwo w liczbie obywateli i wciąż znajdują się na ścieżce dynamicznego wzrostu, ale oba kraje, w ramach

eprasa.pl cf50c2f600

coraz spójniejszego antyzachodniego bloku, współpracują ze sobą w dziele wspomnianego „odwrócenia" postkolonialnego porządku świata. Z sukcesem, którego miarą były skutki postraszenia Zachodu embargiem na metale rzadkie i przesłanie Xi Jinpinga dla goszczonej przedstawicielki UE, Kai Kallas: to Chiny zadecydują, kiedy skończy się wojna na Ukrainie. W domyśle: i każda inna.

PODUPADŁY RZYM

Prezydent USA miał spotkać się z prezydentem Chin właśnie teraz, na przełomie marca i kwietnia – po tym, jak odwiedzili Pekin główni przywódcy zachodniej Europy. Szykował się szczyt na miarę Jałty czy raczej Bretton Woods XXI w. I kiedyś będzie się on musiał odbyć. Ale jeszcze nie teraz, bo na prośbę strony amerykańskiej spotkanie przełożono na później.

Prośba ta niewątpliwie była skutkiem ugrzęźnięcia USA w Zatoce Perskiej. Przekonanie, że wystarczy mocno uderzyć Iran, by obalić reżim i zainstalować nowy, prozachodni, okazało się całkowitym chciejstwem – teraz wypada raczej przypomnieć maksymę Machiavellego, że cios bolesny, ale nie śmiertelny to zguba tego, kto go zada.

Szalona decyzja Trumpa będzie niewątpliwie analizowana przez pokolenia historyków – nie ulega wątpliwości, że zaprzeczyła ona wszystkim wcześniej deklarowanym próbom utrzymania przez USA dominującej pozycji w świecie, opisanym w nowej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego. USA chciały odejść z pozycji światowego hegemona w taki sposób, żeby nie pojawił się hegemon nowy (bo jest tylko jeden kandydat): zastąpić dotychczasowy układ supermocarstwo – wasale siecią „mocarstw średniej wielkości", które wszystkie razem opierałyby się chińskiemu totalitarnemu cesarstwu, w podobny sposób, jak feudalna, chrześcijańska Europa samodzielnych królestw, księstw i republik opierała się przez kilka wieków cesarstwu Osmanów – i w końcu z nim, dzięki większej elastyczności państw feudalnych, wygrała. Byłoby to nazywane walką „państw demokratycznych" z autorytaryzmem, choć w istocie dawne demokracje zachodnie też już są na nieodwracalnej drodze ku dyktaturom.

Co teraz będzie z tą strategią, która, nawiasem mówiąc, wskazywała jako jeden z celów zmniejszenie zaangażowania USA w Zatoce Perskiej? Nie wiemy. Można zacytować „Władcę Pierścieni" Tolkiena: „Gondor się chwieje, powiadasz? Może, ale nawet u swego schyłku posiada jeszcze wielką siłę". Strategia wspierania „średnich mocarstw" i wikłania ich w dwustronne związki z Waszyngtonem będzie realizowana, ktokolwiek zasiądzie po Trumpie w Białym Domu, bo po prostu nie ma innej. Przynajmniej dopóty, dopóki współczesny Gondor wciąż ma siłę. Ta siła u szczytu jego chwały opierała się na trzech filarach: produkcji, innowacyjności i finansach. Dwa pierwsze są sukcesywnie i skutecznie kruszone przez Chiny. Pozostaje jeden: dolar.

Wśród domysłów o przyczyny wpakowania się Trumpa w perską pułapkę królują hipotezy sprawczej roli Izraela – czy to przez rzekome epsteinowskie „kompromaty" w posiadaniu Mosadu, czy poprzez wpływ wywierany na Trumpa przez sektę „chrześcijańskich syjonistów", czy dezinformację wywiadowczą. W kręgach bankowców i ekonomistów pojawia się inne wyjaśnienie: wojna „pełnoskalowa" wybuchła w obronie dolara, jako kontynuacja długich, nieudanych starań Ameryki o zdestabilizowanie irańskiej waluty. Zmianę władzy w Teheranie uznano za konieczną, by, mówiąc najkrócej, powstrzymać presję na zastąpienie w rozliczeniach handlu węglowodorami petrodolara chińskim juanem.

Jeśli tak, to mieliśmy do czynienia z aktem dość rozpaczliwym i potencjalnie przeciwskutecznym. Dolar dlatego pozostaje od lat główną walutą rozliczeniową i zapasową świata, dlatego bez trudu odparł uroszczenia do tej roli wspólnej waluty europejskiej, że USA zawsze uważane były za godne bezwarunkowego zaufania, za bastion pełnej obliczalności. Teraz to zaufanie ulega bardzo szybkiej erozji.

UNII EUROPEJSKIEJ I ROSJI JUŻ NIE MA

Oczywiście na mapie są, próbują ekspansji, zagrażają. Ale nie są już i nie mają szansy stać się znowu tym, czym były.

Zacznijmy od Europy. Nieliczący się z realiami upór „pogłębiania integracji", czyli przekształcania organizacji państw

europejskich w jedno centralnie zarządzane państwo, przy jednoczesnym obłędnym wpychaniu go w służbę „jedynie słusznej" ideologii, doprowadził do sytuacji, w której traktaty konstytuujące UE przestały istnieć, a żadne nowe sposoby skoordynowanego zarządzania nią nie powstały. Komisja Europejska, TSUE i europarlament, rozpychając się w swych kompetencjach na szkodę państw członkowskich, doszły do momentu, gdy zaczęły wchodzić w drogę sobie nawzajem – czego dowodem zaskarżenie przez PE traktatu z Mercosur i pożyczki SAFE do TSUE, z jednoczesnym zignorowaniem tego faktu przez KE i postawieniem na swoim metodą faktów dokonanych. Cała struktura UE stała się egzoszkieletem dla polityki kilku unijnych mocarstw, głównie Niemiec, które uznaniowo dobierają sobie do przepchnięcia „przez unię" swych decyzji a to Francję (najczęściej), a to Włochy (gdy Francja nie chciała Mercosur), a to inne kraje. Więcej to ma wspólnego z XIX-wiecznym „koncertem mocarstw" niż z ideami Schumana i De Gasperiego, nawet Spinellego, choć ten pozostaje ostatnim ideologicznym patronem „państwa europejskiego".

eprasa.pl cf50c2f600

FOT. ADOBE STOCK

Chiny mają w Polsce żywotne interesy, o których chcą rozmawiać, a na razie nie mają z kim. Z wielu źródeł znam wyrazy rozczarowania chińskich wysłanników, że Polacy zamiast zakrzątnąć się wokół polskich interesów, odsyłają ich do Brukseli

Otwarcie przy tym Niemcy deklarują, że w ramach tego państwa cały potencjał europejskich gospodarek zamiast być marnowany w małych krajach, powinien być przetransferowany do Niemiec, które tak doinwestowane „pociągną" wszystkich pozostałych. Roi się tak liderom kraju, który sam własną potężną niegdyś gospodarkę zarżnął, który nie inwestuje nic w żadne innowacyjne technologie i żadnych nie posiada, nie jest w stanie wyprodukować nic bardziej wymyślnego niż pralki automatyczne, samochody i proszki do prania, a w zarządach firm i urzędach wciąż używa faksów.

Poziom nowoczesności Rosji jest podobny, a za swe mocarstwowe urojenia płaci ona coraz większym uzależnieniem od Chin. To, na nasze szczęście, czyni nierealizowalnym niedawne jeszcze marzenie liberalnych elit USA o „resecie", czyli przeciągnięciu Rosji na stronę USA ofertą uznania jej za sprzymierzone mocarstwo regionalne. Ten proces wasalizacji Moskwy wobec Pekinu wydaje się nieodwracalny i chwilowa ulga, którą przyniosła jej budżetowi blokada Zatoki Perskiej, może go co najwyżej wydłużyć.

Powtarza się zatem sytuacja z roku 1918: obie tłamszące nas od wieków ze wschodu i zachodu potęgi osłabły, co otwiera „okienko" historycznych możliwości.

MIĘDZY USA A CHINAMI

Gdyby można było zmusić Xi Jinpinga do podania tylko jednego, najważniejszego ze wszystkich celu polityki chińskiej, powiedziałby zapewne: sprzedawać. Chiny muszą zalać resztę świata swoją produkcją. Potrzebują do tego drożnych szlaków handlowych, lądowych i morskich (stąd ich upór w sprawie „korkującego" Morze Chińskie Tajwanu).

Polska jest z ich punktu widzenia bramą do Europy. Przez polską równinę biegną szlaki lądowe i infostrady, polskie bałtyckie porty, wolne od oceanicznej fali pływowej i z krótkim szelfem, są z natury predestynowane, by to one, a nie porty niemieckie i holenderskie, były głównym celem frachtu przesyłanego nowym, północnym szlakiem morskim, którego znaczenie będzie stale rosło.

Mówiąc krótko: Chiny mają w Polsce żywotne interesy, o których chcą rozmawiać, a na razie nie mają z kim (z wielu źródeł znam wyrazy rozczarowania chińskich wysłanników, że Polacy zamiast zakrzątnąć się wokół polskich interesów, odsyłają ich do Brukseli). Niedawne „exposé" polskiego – niestety – ministra spraw zagranicznych, który złośliwościom wobec opozycji poświęcił pół przemówienia, a Chinom i Indiom pół minuty, było krzyczącym wyrazem tej głupoty.

Z tego samego powodu mają tu interesy także Amerykanie, dla których, dodatkowo, oparcie się na naszym regionie byłoby optymalną strategią gry z „unijnymi mocarstwami", od których oddziela ich coraz bardziej obustronne rozczarowanie.

Ta sytuacja może być albo przekleństwem, albo fundamentem polskiej wielkości – zależnie od postępowania samych Polaków. Kluczem do sukcesu jest umiejętne wyważenie interesów mocarstw, tak aby obie strony globalnej rywalizacji potrzebowały w Polsce gwarancji stabilności i zachowania swoich wpływów. Wymaga to drobiazgu – zerwania z polską szkołą „polityki zagranicznej" rozumianej jako życie towarzyskie i zakochiwanie się bez pamięci w tym lub owym potencjalnym protektorze, bez określania nawet, czego od niego oczekujemy (bo tym byśmy go mogli obrazić), tylko w przekonaniu, że jeśli odpowiednio go wzruszymy, sam się domyśli. Zamiast tego czas wreszcie zacząć rozumować w kategoriach interesów i zacząć rachować pod tym kątem własne zasoby i potrzeby.

Chce się powtórzyć za poetą: „Tak mało, tak mało mi trzeba – a jednak widzę, że żądam za wiele"...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cf50c2f600

Pragmatyzm nad Dunajem

FOT. ZOLTAN BALOGH/EPA/PAP

Łukasz Warzecha z Budapesztu

W swoim wystąpieniu na CPAC w Budapeszcie Orbán powiedział, że trwa właśnie największa polityczna globalna reorganizacja od 100 lat. „To walka o duszę naszej cywilizacji" – dowodził

Czym jest efekt Trumpa? Najlepiej ilustruje to najnowsza historia polityczna Kanady. Na początku ubiegłego roku ze stanowiska premiera tego kraju zrezygnował Justin Trudeau. Jego Partia Liberalna była pogrążona w kryzysie. Wielu Kanadyjczyków winiło ją za radykalne ograniczenia wolności, a niektórzy pamiętali bezwzględną walkę z krytykami twardego reżimu sanitarystycznego, wprowadzonego podczas pandemii COVID. Powszechnie przewidywano, że przyspieszone wybory wygra Partia Konserwatywna pod kierownictwem Pierre'a Poilievre'a. Tak się jednak nie stało – liberałowie zwyciężyli, zdobywając 169 miejsc wobec 144 dla konserwatystów. Sondaże, w których Kanadyjczyków pytano o motywację ich sposobu głosowania, wskazywały, że nowy premier Mark Carney powinien był wysłać dużą skrzynkę wina właśnie Donaldowi Trumpowi. To jego wypowiedzi skierowane przeciwko Kanadzie, w tym mówiące o zrobieniu z niej 51. stanu USA, przyczyniły się do mobilizacji po stronie liberałów, będących w politycznej opozycji do ruchu MAGA.

Czy tak rozumiany efekt Trumpa może zaszkodzić konserwatystom lub bardziej generalnie prawicy w innych miejscach świata? Takie pytanie stawiałem sobie, obserwując z bliska w sobotę 21 marca CPAC w Budapeszcie – imprezę, którą bez wątpliwości trzeba było analizować w kontekście wyborów parlamentarnych nad Dunajem, które odbędą się już za kilka dni, 12 kwietnia.

OBECNI I NIEOBECNI

Skąd wziął się CPAC, czyli Conservative Political Action Conference? Korzenie są amerykańskie i to można zauważyć na każdej imprezie, korzystającej z tej politycznej franczyzy. Charakterystyczna amerykańska forma, krzykliwa i rozbuchana, jest typowa dla amerykańskich wydarzeń politycznych (choć w wielu przypadkach od ponad dwóch dekad podobną posługują się europejskie partie). CPAC powstała w 1974 r. w USA, początkowo jako niewielkie wydarzenie. Wystąpienie na pierwszym spotkaniu wygłosił nie kto inny jak Ronald Reagan, wówczas starający się o nominację na kandydata na prezydenta (wtedy przegrał jeszcze z Geraldem Fordem).

Od tamtego czasu konferencja stała się potężną marką i dorobiła się swoich zagranicznych edycji. W Budapeszcie

eprasa.pl cf50c2f600

było to już piąte wydanie CPAC; inne miejsca to Argentyna, Korea Południowa, Australia, Japonia czy Meksyk. W Polsce CPAC po raz pierwszy odbył się w ubiegłym roku, a w tym także ma mieć swoją kolejną polską edycję na jesieni.

Warto zestawić ze sobą wydarzenie, zorganizowane tuż przed kluczowymi wyborami w Budapeszcie, i polskie uwarunkowania. Nie pierwszy raz okaże się, że pragmatyczny sposób działania węgierskiego premiera różni się radykalnie od doktrynerstwa znacznej części polskiej prawicy.

Czasami wiele mówi lista nieobecności. Na budapeszteńskim CPAC nie pojawili się jako prelegenci Francuzi ze Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen ani Włosi z Braci Włochów Giorgii Meloni. Kuluarowe informacje mówią, że jedni i drudzy mieli problem z radykalnie proamerykańskim przekazem w kontekście wydarzeń na Bliskim Wschodzie. Dwa dni później także w Budapeszcie odbywała się zresztą konferencja grupy politycznej Patrioci dla Europy, gdzie goście z tych formacji już się pojawili. Wzięła w niej udział również duża delegacja Konfederacji, bo Ruch Narodowy należy w PE właśnie do tej grupy – na czele z wicemarszałkiem Sejmu Krzysztofem Bosakiem. Nikogo tak wysoko postawionego z Konfederacji na CPAC nie było – jedynie jako widz pojawił się były poseł tego ugrupowania Krystian Kamiński. Przewinęli się również europoseł PiS Jacek Ozdoba oraz żyjący na budapeszteńskim wygnaniu posłowie Marcin Romanowski i Zbigniew Ziobro.

Jedynym występującym na scenie polskim przedstawicielem był wszechobecny w ostatnim czasie były premier Mateusz Morawiecki. W swoim skądinąd zresztą niespecjalnie porywającym wystąpieniu mówił m.in. o tym, że Zielony Ład to piekło, z którego trzeba się wydostać. W międzynarodowym, słabo zorientowanym w polskiej polityce towarzystwie były szef rządu PiS może takie rzeczy powtarzać w zasadzie bezkarnie – jedynie obecnych przy tym Polaków ogarnia pusty śmiech. W kuluarach usłyszałem, że węgierskich organizatorów namawiano, aby zrezygnowali z zapraszania Morawieckiego, uznawanego w Polsce za skompromitowanego i namolnie wciskającego się w każde możliwe miejsce, a zamiast tego zaprosili Przemysława Czarnka, kandydata PiS na premiera. Ta propozycja nie spotkała się jednak z akceptacją. Podobno zdecydowało to, że Morawiecki ma dobre osobiste relacje z Viktorem Orbánem, który oczywiście na CPAC także występował.

PROBLEM DLA PIS

Pytanie brzmi: Jak polski premier czuł się w otoczeniu innych występujących? Na konferencji pojawiały się bowiem tematy i stwierdzenia bardzo ryzykowne z punktu widzenia ograniczeń, które samo na siebie nałożyło PiS – a właściwie cała polska konserwatywna opozycja – a także tematów potencjalnie groźnych dla partyjnego poparcia, bo źle przyjmowanych przez polski elektorat zorientowany na prawo.

Po pierwsze zatem mieliśmy mocne i bezpardonowe uderzenia w Ukrainę, która przed wyborami na Węgrzech jest jednym z głównych tematów. W Budapeszcie pełno jest plakatów z człowiekiem przypominającym Wołodymyra Zełenskiego i napisem: „Ne hagyjuk, hogy Zelenszkij nevessen a végén!", czyli: „Nie pozwólmy, aby Zełenski śmiał się ostatni". Gorącą sprawą jest kwestia rurociągu „Przyjaźń", który uszkodzony został w niejasnych okolicznościach (Ukraińcy twierdzą, że zrobili to Rosjanie), a Kijów odmawia jego naprawy; sprawa oparła się nawet o Komisję Europejską. Dla Budapesztu to kluczowy element infrastruktury zaopatrującej kraj w ropę.

O koniecznym dążeniu do pokoju i o tym, że nie chce go Bruksela ani Kijów, mówił na CPAC nie tylko Orbán. Ten przekaz pozostaje w jaskrawej sprzeczności z obowiązkową narracją PiS, który, nawet jeśli ostatnio niechętnie się na ten temat wypowiada, wciąż mogłoby być zaliczone przez większość uczestników CPAC do europejskich podżegaczy wojennych.

Drugi bardzo mocny wątek to skrajna proamerykańskość, a właściwie – skrajny trumpizm. Prezydent USA na CPAC nie przyjechał (ominął także amerykańską edycję, która odbywała się tydzień później w Dallas), ale przysłał kilkuminutowe przesłanie wideo, które zawierało twarde wyrazy poparcia dla Orbána. Tu pojawia się właśnie pytanie o efekt Trumpa. Można założyć, że w Polsce wystąpiłby on na pewno, bo polska prawica jest pod względem stosunku do USA w tej chwili wyraźnie podzielona. Zwolennicy Grzegorza Brauna są otwarcie antyamerykańscy – ani oni, ani ich polityczny idol nie mieliby na CPAC czego szukać, nie tylko zresztą z powodu wątku amerykańskiego. Wyborcy i politycy Konfederacji Wolność i Niepodległość są natomiast nastawieni umiarkowanie i dominuje w tej postawie pragmatyzm. Tymczasem politycy PiS nie umieją nawet lekko zniuansować swojego uzależnienia od USA, zwłaszcza od obecnej administracji. Dotyczy to także prezydenta Nawrockiego. Przekaz mediów jawnie propisowskich, takich jak Telewizja Republika, jest namolnie proamerykański i protrumpowski.

Tu pojawia się ogromny problem dla partii pana Kaczyńskiego, bo o ile tę służalczą wobec Ameryki postawę akceptuje twardy elektorat PiS – a zatem zapewne ok. 25 proc. wyborców – to staje się ona niestrawna dla reszty wyborców prawej strony, a nawet wywołuje otwartą wrogość. Paradoksalnie jednak proamerykański przekaz Viktora Orbána nie jest kopią kursu PiS. Orbán bowiem od lat dba, żeby grać na wielu fortepianach, a zatem jego entuzjazm wobec Trumpa (i odwrotnie) jest kompensowany przyciąganiem Chińczyków czy relatywnie dobrymi relacjami z Rosją. To zupełnie co innego niż jednostronny i bezwarunkowy proamerykanizm PiS. Jak słusznie zaczyna zauważać część polskich komentatorów, coraz większa część wyborców nie godzi się z typowym dla starszej części klasy politycznej uporczywym poszukiwaniem zagranicznego patrona – obojętnie, czy jest on po tej czy po drugiej stronie oceanu. Dla takiego elektoratu postawa wielostronnego pragmatyzmu Orbána byłaby zapewne znacznie strawniejsza niż klęczenie przez PiS w Waszyngtonie bez żadnej alternatywy.

Trzeci wątek to radykalna wprost proizraelskość, ściśle powiązana ze wsparciem dla Donalda Trumpa. Takich akcentów na budapeszteńskim CPAC było wiele. Najbardziej znaczącym była rozmowa z (niezapowiedzianym w programie zapewne ze względów bezpieczeństwa) 35-letnim Yairem Netanjahu, synem izraelskiego premiera, vlogerem i aktywistą. Tezy, które Netanjahu junior wygłaszał, musiałyby w Polsce wywołać oburzenie nawet na imprezie najczyściej PiS-owskiej – choć Prawo i Sprawiedliwość cały czas

eprasa.pl cf50c2f600

stara się bronić proizraelskiego kursu w obliczu wojny z Iranem. Netanjahu przedstawił zatem Iran jako głównego sprawcę niepokojów na Bliskim Wschodzie od momentu rewolucji islamskiej w 1979 r. Mówił, że Teheran pracował intensywnie nad rakietami międzykontynentalnymi, zdolnymi do przenoszenia głowic jądrowych, mogącymi uderzyć i w Europę, i w USA. Oznajmił, że obecny atak na Iran był jak niedoszłe prewencyjne zaatakowanie hitlerowskich Niemiec w połowie lat 30. Opowiadał również o tym, że Izrael jest jedynym krajem regionu, gdzie chrześcijanie mają pełnię praw, a Tel Awiw miał w ich obronie w przeszłości toczyć nawet walki w Libanie.

Do sytuacji w regionie nawiązywał również znany amerykański konserwatywny publicysta, pisarz i naukowiec, autor popularnej książki pt. „Listy do młodego konserwatysty", Dinesh D'Souza. Przeciwstawił on Rosję Iranowi. Powiedział, że Władimir Putin broni agresywnie rosyjskiego interesu – co jest, zdaniem D'Souzy, normalne – nie próbuje jednak rozpętać wielkiej wojny światopoglądowej na całym świecie. Iran natomiast do tego właśnie dąży, stanowiąc potencjalne zagrożenie globalne.

Doprawdy, trudno wyobrazić sobie podobne tezy, padające na imprezie firmowanej w Polsce przez PiS – uznanie, że Putin zachowuje się jak każdy przywódca, w oczach polityków PiS jest herezją – ale również przez Konfederację, a cóż dopiero Konfederację Korony Polskiej, gdzie usprawiedliwianie działań Izraela z pewnością spowodowałoby bardzo agresywne sprzeciwy.

Można jednak założyć, że skoro PR-owcy Fideszu dopuścili takich mówców na imprezie uznawanej za coś w rodzaju wyborczego wiecu (urzędnicy Kancelarii Prezydenta Tamása Sulyoka otrzymali polecenie, aby na CPAC się nie pojawiać właśnie z tego powodu), to musieli ocenić, że w węgierskim elektoracie tego typu tezy mogą pomóc, a przynajmniej nie wywołają zgorszenia.

Czwarty wątek to eklektyczność gości imprezy. Po pierwsze – mieliśmy kongresmenów, zahaczających o ton niemal ewangeliczny takich jak Andy Harris. Po drugie – przedstawicieli prawicy radykalnie antyislamskiej, a tym samym proizraelskiej, jak Holender Geert Wilders, lider Partii Wolności (Partij voor de Vrijheid), który w mocnych słowach przestrzegał przed islamizacją swojego kraju i całej Europy. Po trzecie – pojawiali się wspomniani już przedstawiciele ruchów jawnie wspierających Izrael. Po czwarte – jako jeden z pierwszych przemawiał obecny premier Gruzji. Irakli Kobachidze, lider partii Gruzińskie Marzenie, która wygrała wybory wbrew oczekiwaniom europejskiego establishmentu i oskarżana jest o sprzyjanie Rosji. Orbán nie ma żadnego problemu ze sprowadzeniem go na polityczną imprezę, podczas gdy PiS ze swoją obsesyjną antyrosyjskością zapewne nigdy by sobie na coś takiego nie pozwolił. Po piąte – przy muzyce techno na scenę weszła Alice Weidel, współprzewodnicząca Alternatywy dla Niemiec (AfD), która oznajmiła, że przyjechała ze swoją „żoną" i dziećmi.

Co ciekawe, Weidel mówiąc po angielsku użyła słowa „wife", czyli dokładnie „żona", podczas gdy mówiąc po niemiecku o Sarze Bossard, imigrantce ze Sri Lanki, z którą żyje, używa słowa Lebenspartnerin – partnerka życiowa – a nie Ehefrau – żona. Obie panie wiąże na gruncie niemieckiego prawa kontrakt cywilny (eingetragene Partnerschaft), którego zawarcie jest możliwe od 2001 r., a nie homomałżeństwo, wprowadzone do niemieckiego prawa w 2017 r. na mocy ustawy Ehe für alle. Polscy słuchacze mogli mieć poczucie sporego dysonansu, gdy Weidel w swoim wystąpieniu głosiła konieczność ochrony tradycyjnej rodziny. Jednak najważniejszym wątkiem jej przemówienia był sprzeciw wobec imigracji i Zielonego Ładu.

Po szóste wreszcie – gwiazdą kongresu był, skądinąd skrajnie proizraelski, libertariański prezydent Argentyny Javier Milei, występujący na samym końcu, głoszący postulaty wolnościowe. Również mocno niekompatybilne z PiS-owskim uwielbieniem dla etatyzmu. Gdyby tylko Milei wiedział, że przemawiający kilkadziesiąt minut wcześniej Mateusz Morawiecki krzyczał na scenie w czasie kampanii wyborczej w 2019 r., że „robotnicza myśl socjalistyczna jest mocno obecna w PiS"…

„WALKA O DUSZĘ CYWILIZACJI"

Viktor Orbán jest pragmatykiem – w przeciwieństwie do wielu doktrynerów po prawej stronie polskiej sceny politycznej. Nie tylko stara się współpracować ze zwalczającymi się siłami w polityce międzynarodowej, z maksymalną korzyścią dla Węgier, lecz także nie ma problemu z tym, żeby pokazywać się obok przedstawicieli najróżniejszych odłamów suwerennościowej prawicy, nie tylko europejskiej. Nie chodzi tu jedynie o kontekst wyborów. W swoim wystąpieniu na CPAC Orbán powiedział, że trwa właśnie największa polityczna globalna reorganizacja od 100 lat. „To walka o duszę naszej cywilizacji" – dowodził. I stwierdzał, że aby pokonać globalistów, konieczne jest konstruowanie międzynarodowych struktur. Tu można sobie dopowiedzieć to, czego węgierski premier wprost już nie powiedział: że aby takie struktury stworzyć, trzeba pogodzić się z tym, iż będą w tego typu sojuszu organizacje i ruchy, które w różnych punktach będzie dzielić wiele. Ważne, aby istniał jeden wspólny fundament: sprzeciw wobec kierunku wyznaczanego przez takie posunięcia jak Zielony Ład, masowa imigracja czy walka z wolnością słowa.

Przypomina się plan PiS z końca 2021 r., aby zbudować szeroki sojusz europejskich partii prawicowych. Temu miało służyć spotkanie, zorganizowane w Warszawie w grudniu 2021 r., na którym pojawili się Orbán, Marine Le Pen i wielu innych przedstawicieli szeroko rozumianej prawicy (aczkolwiek Konfederacja nie dostąpiła łaski zaproszenia). Następne spotkanie odbyło się w styczniu w Madrycie – i na tym się skończyło, bo wybuchła wojna na Ukrainie i okazało się, że dla PiS jedynym, naczelnym, fundamentalnym i absolutnym kryterium jest, czy dana siła wystarczająco mocno nienawidzi Moskwy i Putina. Inne sprawy przestają się liczyć.

Lecz nie tylko PiS jest doktrynerski. Kwestia stosunku do Izraela jest traktowana przez formację Brauna, a także przez część Konfederacji podobnie jak PiS traktuje kwestię Rosji. To bardzo mocne ograniczanie sobie pola manewru i może, obserwując działania Viktora Orbána, warto zadać sobie pytanie, czy trzymanie się tego typu sztywnych kryteriów na pewno ma sens.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cf50c2f600

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl cf50c2f600

FOT. MARTON MONUS/REUTERS/FORUM

Węgierskie wahadło Grupy Wyszehradzkiej

Wojciech Golonka

Wybory na Węgrzech mogą stanowić kolejny impuls domina lub zwrot wahadła: podobnie jak dotychczasowa polityka Węgier uwidoczniła na przestrzeni lat, że Grupa Wyszehradzka mogłaby, w razie „W", wybić się na wysokość niezależnego ośrodka polityki międzynarodowej, bilansującego na rzecz interesów ojczyźnianych wpływy mocarstw we wzmożonym okresie ich rywalizacji, podobnie ewentualny upadek Orbána będzie oznaczał zamrożenie tego potencjału

Mocno międzynarodowy finisz kampanii wyborczej na Węgrzech, w którym uczestniczą aktorzy, a nawet służby z różnych krajów, próbując przechylić szalę zwycięstwa na jedną ze stron, potwierdza, że Budapeszt stał się kluczowym elementem mozaiki geopolitycznej regionu, z konsekwencjami w skali europejskiej, a nawet, choć jedynie pośrednio – światowej. Naddunajskie państwo z niespełna 10 mln mieszkańców po 16 latach nieprzerwanych rządów Viktora Orbána wyrosło, mimo kontrowersji, na lokalnego lidera, którego pozycja – najpierw w związku z kryzysem imigracyjnym, następnie w kwestii wojny rosyjsko-ukraińskiej, a szerzej ujmując: w kwestii bilansowania stosunków międzynarodowych w dobie rywalizacji mocarstw – stała się przyczynkiem do budowy szerszych porozumień i koalicji, i to właśnie dlatego walka o władzę w Budapeszcie na następne cztery lata jest tak zażarta, z udziałem zagranicznych graczy.

W niniejszej analizie chciałbym się skupić głównie, choć niejedynie, na kwestii szlaku, który Węgry w ostatnich latach po części przetarły dla Grupy Wyszehradzkiej; drogi, do której, wraz z kolejnymi przesileniami wyborczymi przyłączyły się najpierw Słowacja, a następnie częściowo Czechy – przy dotychczasowym silnym oporze Warszawy. I choć rozszerzający się wyłom Grupy nastąpił przede wszystkim w reakcji na koszty i brak perspektyw unijnej polityki w kwestii wojny na Ukrainie – co trzeba podkreślić i obszerniej uwypuklić – to ten regionalny sojusz skupiony wokół interesów ojczyźnianych (prawdą jest, że nie zawsze jednolitych) miałby jednak docelowo potencjał, przy aktywnym udziale Polski, na stworzenie wystarczająco silnego bloku politycznego mogącego kontrować, a docelowo nawet zastąpić, na zasadzie jądra nowego porozumienia, unijnego molocha z jego nieznośną „integracją europejską", oznaczającą w praktyce postępujące wynaradawianie, wasalizację ekonomiczną oraz agresywną wojnę światopoglądową wobec co bardziej konserwatywnych społeczeństw państw członkowskich. Choć, ma się rozumieć, w podobnej analizie rozważana teza nie powinna być tak naprawdę przejawem myślenia życzeniowego, to przecież nie można wykluczyć nawet rozpadu Unii Europejskiej w jej obecnym kształcie na skutek presji zewnętrznych i wewnętrznej niewydajności – rozpadu, który z punktu widzenia wszystkich sił suwerenistycznych w Europie jest zresztą celem pożądanym wobec braku realnych szans na korektę Unii od środka.

WĘGIERSKI PRZYKŁAD

Wracając do wspomnianego punktu wyjścia: od samego początku rosyjskiej inwazji na Ukrainę Węgry, choć pod tym względem całkowicie w Unii Europejskiej osamotnione, wytyczyły swoistą drogę, wraz ze swym unikatowym stanowiskiem względem tej wojny: szczodra, choć nie bezmyślna, szeroko rozumiana pomoc humanitarna, częściowa akceptacja pakietów pomocy dla Ukrainy i sankcji dla Rosji ze strony Unii Europejskiej, brak jednakże jakiejkolwiek partycypacji natury militarnej po stronie Ukrainy, a wszystko to w imię interesów, priorytetów i bezpieczeństwa narodowego Węgier. Stanowczy sprzeciw militarnego wsparcia Ukrainy Węgry Viktora Orbána uzasadniały, wobec narzucanej nań presji, postrzeganiem tej wojny jako możliwie niebezpiecznej dla

eprasa.pl cf50c2f600

całej Europy w przypadku jej rozlania, wojny niemożliwej do rozstrzygnięcia przez Ukrainę na polu bitwy (a więc nonsensownie kontynuowany rozlew krwi przez odmawianie rokowań), wojny, w końcu, o znacznie bardziej złożonym podłożu przyczynowym, niż przedstawiała to pierwotna moralizująca propaganda. Była to w końcu, i co najważniejsze, dla Orbána wojna mogąca zaburzyć bezpieczeństwo energetyczne Węgier, oparte dotychczas na kompleksowej współpracy z Federacją Rosyjską (atom, ropa i gaz).

Ten uproszczony obraz, pomijający choćby złożone, ale istotne kwestie mniejszości węgierskiej na Zakarpaciu, jest nam nie tylko już dobrze od czterech lat znany, lecz także z upływem czasu został on do pewnego stopnia oddemonizowany i przez część państw Zachodu zaakceptowany jako zrozumiałe status quo. Ma się rozumieć, tam, gdzie w grę wchodzi prymitywna propaganda serwowana na emocje w ramach rywalizacji politycznej, usłyszymy np., że oto prezydent Karol Nawrocki spotkał się z agentem Putina (paradoksalnie tego typu slogany słyszymy z obozu, którego lider, sam skądinąd znany ze współpracy z Władimirem Putinem, nazywał kiedyś na wyrost Donalda Trumpa autentycznym agentem Putina i ponosi tego faktu dziś konsekwencje w postaci ostracyzmu ze strony amerykańskiej administracji). Jednakże to właśnie upływ czasu ukazał, czy to rozsądek, czy to choćby spójność tej postawy, przynajmniej z punktu widzenia samych Węgier, ale nie tylko, bo wraz z przesileniami wyborczymi na te pozycje doszlusowały, choć niejednolicie, kolejne stolice regionu.

Rozsądek zresztą podwójnie potwierdzony w dobie obecnego kryzysu naftowego: Dlaczego Viktor Orbán miał doszczętnie puszczać z dymem energetyczne bezpieczeństwo swego kraju, ryzykując je dla cudzego interesu, dla kraju niebędącego zresztą przyjaźnie nastawionym wobec samych Węgier? I co, w ogóle, tak naprawdę, w wojnie na Ukrainie zmieniłaby pomoc militarna Węgier (przy i tak ówczesnym kolosalnym wsparciu USA), poza uszczupleniem ich własnych, i tak ograniczonych, możliwości bojowych, zważywszy na rozmiar tego kraju? Otóż ta postawa, stygmatyzowana od samego początku w Europie i na Ukrainie, mimo autentycznego zaangażowania humanitarnego Węgier na rzecz ukraińskich uchodźców i ich kraju, zdobyła posłuch u wyborców w innych krajach i osób, które z biegiem czasu same ją implementowały we własnych ośrodkach decyzyjnych, czego najjaskrawszym przykładem jest Donald Trump.

SZERSZA ZMIANA

Prawdą jest, że sam Trump nieco desperacko szuka obecnie wyjścia z perskiej pułapki, do której wpadł na własne życzenie, a która równie dobrze może pogrzebać jego prezydenturę. Trzeba jednak pamiętać, że jego powrót do Białego Domu był w ogóle możliwy m.in. dlatego, że zaproponował Amerykanom radykalne odejście od zaangażowania się USA w wojnę na Ukrainie, zachwalając wówczas bezpieczną i rozsądną postawę Orbána. Podobny schemat nastąpił także już wcześniej, na skutek wyborów parlamentarnych na Słowacji pod koniec 2023 r., kiedy bezpośrednio po wygranych wyborach nowy-dawny premier Robert Fico zablokował dalsze dostawy broni z jego kraju na Ukrainę, domagał się negocjacji pokojowych oraz uczynił z Bratysławy drugi, obok Budapesztu, hamulec w kwestii unijnych inwestycji wojennych na rzecz Kijowa oraz w kwestii dalszego sankcjonowania Rosji przez Brukselę.

Na dość podobną kartę postawili również wyborcy w Czechach, gdzie, już po przesileniu politycznym w Waszyngtonie, pod koniec ubiegłego roku doszła do władzy eklektyczna, acz na razie zwarta koalicja, z tą różnicą, że w przeciwieństwie do Słowacji i Węgier Czesi – będący znacznym producentem broni – mają w kwestii konfliktu za naszą wschodnią granicą pragmatyczne stanowisko zbliżone do pozycji Amerykanów, to jest: są oni na tej wojnie gotowi jak najbardziej zarabiać, inkasując swe usługi zbrojeniowe, przy jednoczesnym odejściu od wcześniejszej prowojennej i proukraińskiej retoryki rządu Petra Fiali. Prawdą jest, że to specyficzne stanowisko Czech nie pozwala mówić o jednolitym stanowisku tria Budapeszt-Bratysława-Praga, niemniej to nie pragmatyczni Czesi, a moralizująca Warszawa ma obecnie problem z rozdźwiękiem wewnątrz Grupy Wyszehradzkiej, kwestionując nawet sens istnienia tego formatu, jak uczynił to Donald Tusk w przededniu szczytu w Pradze pod koniec lutego, w perspektywie objęcia prezydencji Grupy od 1 lipca br.

Słowa Donalda Tuska zbiegły się zresztą w czasie z eskalacją na linii Kijów – Budapeszt wraz z ukraińską blokadą przesyłu ropy naftociągiem Przyjaźń na Słowację i Węgry. To jawnie nieprzyjacielskie posunięcie Kijowa miało ewidentnie wpłynąć na nadchodzące kwietniowe węgierskie wybory parlamentarne, pogarszając sytuację gospodarczą i budząc negatywne nastroje. Kijów liczy bowiem na usunięcie głównego hamulcowego pakietów pomocy i akcesu Ukrainy do Unii Europejskiej, de facto próbując wpłynąć, przy nieskrywanym raczej udziale Brukseli, na cudze wybory. Jak trafnie spuentował całą tę sytuację Viktor Orbán, „Zełenski chętnie bierze udział we wszystkich wyborach, z wyjątkiem swoich własnych".

CO DALEJ?

Pisząc ten artykuł jeszcze przed wynikiem wyborów na Węgrzech, mogę jedynie zaznaczyć to, na co wskazują co bardziej rozeznani komentatorzy, że ewentualne oddanie władzy przez Fidesz Orbána, a jej przejęcie przez Tiszę Pétera Magyara nie oznaczałoby zwrotu o 180 stopni na wszystkich frontach węgierskiej polityki zagranicznej. Wiąże się to z faktem, że Magyar, sam zresztą wywodzący się z Fideszu, musi liczyć się z nastrojami w kraju choćby w kwestii polityki imigracyjnej, a zaprzestanie wetowania proukraińskiej polityki Brukseli nie oznacza konwersji z dnia na dzień całej węgierskiej energetyki, uzależnionej od współpracy z Federacją Rosyjską.

Wybory te mogą jednak stanowić kolejny impuls domina lub zwrot wahadła: podobnie jak dotychczasowa polityka Węgier uwidoczniła na przestrzeni lat, że Grupa Wyszehradzka mogłaby, w razie „W", wybić się na wysokość niezależnego ośrodka polityki międzynarodowej, bilansującego na rzecz interesów ojczyźnianych wpływy mocarstw we wzmożonym okresie ich rywalizacji, podobnie ewentualny upadek Orbána będzie oznaczał zamrożenie tego potencjału na rzecz mniej lub bardziej bezwolnego dryfu całej Grupy za brukselskim kierownictwem, gdziekolwiek by ono zmierzało, na dobre i na złe (choć jakiego znaczącego i rzeczywistego dla nas dobra zdolne byłyby nam przychylić Komisja Europejska i jej krajowe przekładnie, tego jeszcze nie odkryto).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cf50c2f600

Oswajanie z dziwactwami

FOT. ADOBE STOCK

Filip Memches

Opowieść o „prawach LGBTQ” zadomowiła się w głównym nurcie debaty publicznej Zachodu i urosła do rozmiaru modnej bzdury. Uwierzyli w nią idący na pasku opinii publicznej poczciwi mieszczanie. Odzwierciedleniem tego stanu rzeczy jest również wprowadzanie do ustawodawstw państw zachodnich instytucji „małżeństwa” jednopłciowego

Środowiska lewicowe w Polsce odtrąbiły sukces: 20 marca 2026 r. Naczelny Sąd Administracyjny zobowiązał kierownika warszawskiego Urzędu Stanu Cywilnego do transkrypcji aktu „małżeństwa”, które zawarło w Berlinie dwóch mężczyzn. Tydzień później w sukurs NSA poszedł Zakład Ubezpieczeń Społecznych. W komunikacie ZUS można było przeczytać, że instytucja ta musi uznać odpisy aktu wspomnianego „małżeństwa” i we wszystkich postępowaniach przed nią będzie ono traktowane na równi z innymi małżeństwami.

A wszystko się zaczęło od tego, że w roku 2018 para mężczyzn – Polaków – zwróciła się do stołecznego USC z wnioskiem o transkrypcję ich „ślubnego” dokumentu z Niemiec. W odpowiedzi otrzymali odmowę, którą następnie zaskarżyli do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie. Ten skargę oddalił, argumentując, że skutki transkrypcji zagranicznego aktu „małżeństwa” jednopłciowego naruszyłyby podstawowe zasady polskiego porządku prawnego. Przypomnijmy, w art. 18 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej jest mowa o małżeństwie jako związku kobiety i mężczyzny. W efekcie sprawa trafiła do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, który 25 listopada 2025 r. orzekł, że państwo członkowskie UE ma obowiązek uznać „małżeństwo” jednopłciowe zawarte w innym państwie członkowskim UE. Ten wyrok TSUE okazał się kluczowy. To na niego powołał się NSA w uzasadnieniu swojego orzeczenia, dodając, że art. 18 polskiej ustawy zasadniczej mówi o ochronie małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny, ale nie definiuje małżeństwa jako takiego, więc również dopuszcza zawieranie „małżeństw” jednopłciowych. Jednocześnie po decyzji TSUE ruszyły w Polsce prace nad tym, żeby do zaistniałej sytuacji dostosować wzory aktów stanu cywilnego, a konkretnie: podjęto kroki administracyjne i legislacyjne mające na celu wymianę rubryk „mąż” i „żona” na „neutralne” rubryki „pierwszy małżonek” i „drugi małżonek”.

Można powiedzieć, że do Polski dotarła pełzająca rewolucja kulturowo-obyczajowa, która już od dawna przetacza się przez Zachód. Przed wyrokiem NSA dawała ona o sobie znać właściwie tylko za sprawą aktywistów, polityków, publicystów. Ich działania na rzecz „praw LGBTQ” nie miały jednak takiej siły rażenia, jaką ma stanowisko władzy sądowniczej.

MINISTER ŻUREK WSKAZUJE CEL

Wyrok NSA nasuwa dwa pytania. Pierwsze dotyczy prawnej suwerenności państwa polskiego, drugie – źródeł prawa.

NSA opierając się na wyroku TSUE, de facto przyznał, że Polska podporządkowała swoje prawo instytucjom unijnym. Jeśli zaś tak się stało, to oznacza to, że państwo polskie wyzbyło się suwerenności prawnej, choć NSA tego głośno nie obwieści, bo w ten sposób dostarczyłby tylko paliwa zwolennikom polexitu. A chodzi przecież o to, żeby nastroje antyunijne zwalczać. Trzeba zatem serwować propagandę, według której suwerenność Polski w żadnej dziedzinie nie jest zagrożona. Tymczasem rzeczywiście wyrok NSA to wiatr w żagle zwolenników polexitu. Oto wysoki organ polskiego wymiaru sprawiedliwości dał do zrozumienia, że jeśli jakiś zapis Konstytucji RP koliduje z ustawodawstwem któregoś z innych państw Unii, to Polska ma dostosować swój porządek prawny do ustawodawstwa tego państwa. Rzecz jasna, istotne jest też to, czego dotyczy kwestia sporna. W tym przypadku chodzi o „prawa LGBTQ”, a więc sytuację społeczności – bynajmniej niebędącej zwartą, jednolitą grupą – hołubionej przez środowiska, które kształtują ideologiczną agendę UE. A znamienne, że wyrok NSA został aprobatywnie skomentowany przez ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka. Polityk koalicji rządowej określił go jako „przełomowy”. Stwierdził: „Widzieliśmy […] reakcje osób, które przyjmują ten wyrok z taką nadzieją, że będą mogli żyć normalnie, bo chyba do takiej normalności powinniśmy zmierzać”.

Cel wskazany przez ministra Żurka można nazwać raczej „nową normalnością” (konkretnie: tęczową). W przeszłości przecież pomysł zawierania przez

eprasa.pl cf50c2f600

pary jednopłciowe „małżeństw” uchodził powszechnie wśród Polaków za aberrację. Wyrok NSA z 20 marca br. wpisuje się w strategię oswajania Polaków z dziwactwami. Choć bowiem homoseksualizm to zjawisko znane od starożytności, to jednak instytucja „małżeństwa” jednopłciowego jest dziwactwem.

I tu dochodzimy do kwestii tego, co stanowi źródło prawa, które przecież musi się odnosić do norm moralnych i społecznych. Można zakładać, że prawo odwołuje się do czegoś, co je poprzedza, a więc do moralności i obyczajów. A można przyjąć założenie odwrotne – że moralność i obyczaje kształtuje prawo. W tym drugim przypadku prawnicy sprawują funkcję reedukatorów mas. Żeby bowiem osiągnąć „nową normalność”, trzeba nie tylko zmienić prawo, lecz także przeorać świadomość społeczeństwa. I to się właśnie dzieje na naszych oczach.

Od drugiej połowy XX w. na Zachodzie trwa marsz ludzi nowej lewicy przez instytucje. Z jednej strony uzyskali oni wpływ na stanowienie prawa, a z drugiej – zdominowali kulturę, edukację, media, a więc te segmenty życia społecznego, za których pośrednictwem oddziałuje się na świadomość mas. Nowa lewica ogłosiła, że w społeczeństwach Zachodu występują grupy, które wyróżniają się swoją odmiennością i tym samym wymykają się obowiązującym normom moralnym i społecznym, a w konsekwencji są represjonowane przez panujący porządek. Jedną z takich grup są mniejszości seksualne. Dlatego w imię równości, sprawiedliwości, inkluzywności należy im nadać te same „prawa”, którymi cieszy się „heteronormatywna” większość.

Co ciekawe, ten przekaz trafił do przekonania osób, które bynajmniej nie mają jakichś radykalnych poglądów. Dyskurs emancypacyjny w wersji nowej lewicy zadomowił się bowiem w głównym nurcie debaty publicznej Zachodu i urósł do rozmiaru modnej bzdury. W opowieść o „prawach LGBTQ” uwierzyli idący na pasku opinii publicznej poczciwi mieszczanie. Zostali oni urobieni przez wylansowane w mediach autorytety (filozofów, socjologów, psychologów, lekarzy, pedagogów, artystów), uciekające się do prostego szantażu emocjonalnego oraz moralnego. Można go zwerbalizować następująco: jeśli człowiek cierpi z powodu nietolerancji otoczenia oraz niesprawiedliwego prawa, to jak mu w tej sytuacji nie pomóc i nie wyjść naprzeciw artykułowanym przez niego potrzebom?

Postrzeganie homoseksualizmu jako psychoseksualnej anomalii sprowadzono do poziomu patologii, będącej skutkiem utrwalanych wielowiekowo „homofobicznych” uprzedzeń. Oczywiście przyczyniły się do tego decyzje gremiów lekarskich. A gremia te przecież również można zaliczyć do owych instytucji, do których docierają idee nowej lewicy. Przykładem może być wykreślenie w roku 1973 przez Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne współżycia seksualnego osób tej samej płci z klasyfikacji zaburzeń psychicznych (DSM). Do dziś trwa dyskusja, czy decyzję tę podjęto w wyniku debaty naukowej czy pod wpływem politycznych nacisków ze strony zorganizowanych środowisk osób homoseksualnych. Ciemna strona homoseksualizmu – czyli choćby cierpienie spowodowane nie dezaprobatą społeczeństwa, lecz własną psychoseksualną kondycją – stała się tematem tabu, czyli – by odwołać się do terminologii George’a Orwella z powieści „Rok 1984” – „myślozbrodnią”. W części państw Zachodu publiczne poruszanie tego zagadnienia naraża na to, że się będzie ściganym przez wymiar sprawiedliwości za dawanie upustu „mowie nienawiści”.

Homoseksualizm to zjawisko znane od starożytności, ale instytucja „małżeństwa” jednopłciowego – nie. Jest ona prawnym konstruktem wpisującym się w dyskurs emancypacyjny nowej lewicy

ZACHOWAĆ SUWERENNOŚĆ PRAWNĄ

W Polsce obecna koalicja rządowa raz – wiosną roku 2025 – próbowała przeforsować takie cenzorskie rozwiązanie. Bezskutecznie. Chodziło o rozszerzenie w polskim Kodeksie karnym katalogu przestępstw z nienawiści o nowe przesłanki, m.in. o orientację seksualną. Urzędujący wówczas prezydent Andrzej Duda w trybie kontroli prewencyjnej skierował tę zmianę do Trybunału Konstytucyjnego, a ten orzekł, że za daleko ona ingeruje w wolność słowa, i uznał ją za niezgodną z polską ustawą zasadniczą. Można jednak sobie wyobrazić, co by było, gdyby głową państwa polskiego został Rafał Trzaskowski, który ubiegając się w roku 2025 o prezydenturę Polski, zapowiadał, że przychyli się do inicjatywy koalicji rządowej. Nie dziwi zatem zadowolenie ministra Żurka z ogłoszonego 20 marca br. wyroku przez NSA.

W Polsce w kręgach osób dalekich od lewicowego radykalizmu można nieraz usłyszeć, że jeśli chodzi o „małżeństwa” jednopłciowe (a już tym bardziej „związki partnerskie”), to nie ma o co kruszyć kopii, bo są w życiu publicznym sprawy ważniejsze. Efekt takiego podejścia widoczny jest w USA. Przywództwo Partii Republikańskiej znalazło się na równi pochyłej: właściwie pogodziło się z tym, że w Stanach Zjednoczonych jest możliwość zawierania „małżeństw” jednopłciowych, więc stawia czoła już kolejnemu etapowi rewolucji kulturowo-obyczajowej – normalizacji transseksualizmu (co będzie następne?). Na przeciwległym biegunie względem amerykańskich konserwatystów są słowaccy „populiści” (koalicja socjalistów i nacjonalistów). Rządzą oni Słowacją od jesieni roku 2023. We wrześniu 2025 r. znowelizowano Konstytucję Republiki Słowackiej. W akcie tym znalazły się zapisy mające na celu zapobieżenie staczaniu się Słowacji po równi pochyłej: są tylko dwie płcie (żeńska i męska), adopcja dzieci przez pary jednopłciowe jest zakazana, państwo słowackie zachowuje suwerenność w kwestiach kulturowo-etycznych.

Słowacja nie zgłasza zamiaru wystąpienia z Unii Europejskiej. A jednak sprawujący w niej władzę politycy dowodzą tego, że będąc w UE, można powstrzymywać tęczowy walec. Przynajmniej tak jest na razie. Jak będzie potem – zobaczymy. To wskazówka również dla tych polskich polityków, którzy są świadomi negatywnych dla Polski konsekwencji, które niesie wyrok NSA z 20 marca br.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cf50c2f600

Pokłon feretronów jest charakterystycznym regionalnym elementem procesji katolickich na Kaszubach FOT. ADAM WARŻAWA/PAP

Ostatnia Mohikanka

Kazimierz Nowosielski

Kaszubskość dla Kaszubów miała znaczenie wtedy, kiedy była wpisana w coś większego niż ona sama: w wielki projekt budowania czy też choćby ocalania cywilizacji łacińskiej. Poza nim ona, jak i wszystko inne, karłowacieje; staje się obiektem ideologicznych manipulacji, ekonomicznego wyzysku czy finansowego oraz świadomościowego przekupstwa

Bosymi Antkami Kaszubi nazywali przybyszów spoza swojego regionu, obcoplemieńców, ludzi mających inny niż oni rodowód. Zwykli ich byli traktować jako swego rodzaju intruzów albo tych, którzy to długo i cierpliwie będą musieli się starać o przyjęcie do kaszubskiej wspólnoty. Poniekąd jestem jednym z owych Antków.

W połowie lat 60. ubiegłego wieku przyszło mi zamieszkać w Gdańsku, który przez niektórych dziejopisów bywa uznawany za pierwszą stolicę Kaszub. Dzisiaj o to zaszczytne miano walczą ze sobą m.in. Kartuzy i Kościerzyna. Muszę przyznać, że w mieście nad Motławą nader rzadko dane mi było usłyszeć kaszubską mowę. Nie słyszało się jej w tramwaju ani w municypalnych urzędach, a jedynie czasem w zatłoczonym barze lub na podmiejskim targowisku. Nie posługiwali się nią również moje koleżanki i koledzy, którzy z pomorskich miast i wiosek, tak jak ja z Kujaw, przybyli na studia w gdańskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Podobno niektórzy działali w utworzonym przy Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim Studenckim Klubie Pomorania, ale raczej niewielu z nas kojarzyło ich z owym środowiskiem. Poświęcony nade wszystko regionalnej problematyce miesięcznik „Pomerania" w przeważającej większości drukował teksty w literackiej polszczyźnie, a na wykładach z dialektologii, które prowadził znakomity językoznawca dr Hubert Górnowicz, dowiadywaliśmy się o dialekcie kaszubskim, a nie o jakimś odrębnym języku. Pamiętam też dość ostry spór, który publicznie, bo m.in. w uczelnianej auli, toczyli ze sobą autor „Regionalizmu kaszubskiego" prof. Andrzej Bukowski i Lech Bądkowski – literat. Ten ostatni przetłumaczył na literacką polszczyznę „Żëcé i przigodë Remusa" Aleksandra Majkowskiego, co byłemu rektorowi mojej uczelni oraz partyjnemu aktywiście dość niedwuznacz-

eprasa.pl cf50c2f600

nie kojarzyło się z separatystycznymi hasłami pewnego odłamu przedwojennej kaszubskiej inteligencji. Ale jakoś świat się od tej dyskusji nie zawalił.

Jednakże (o paradoksie!) wspomniana kwestia powróciła w pokomunistycznej Polsce, kiedy to za sprawą przystąpienia naszego kraju do Unii Europejskiej poczęto lansować projekt, aby zamiast związku państw narodowych zbudować nowoczesną, albo raczej ponowoczesną, Europę regionów. Miał to być jeden z etapów (Solve et coagula!) tworzenia nowego porządku świata, gdzie różnorodne mniejszości – pod nadzorem globalnego rządu – miałyby zażywać wolnościowych dostatków. To, co – jak dotąd uważano – było oparte na naturze, a co też na różne sposoby potwierdzała wysoka kultura i utwierdzał codzienny obyczaj (dwie płcie, rodzina, naród, umiłowanie ojcowizny…), zostało potraktowane jako swego rodzaju przeszkoda, której znaczenie najpierw należałoby zdeprecjonować, a w ostateczności unicestwić, wyeliminować. Zatem i „polskość jako nienormalność" – jak ogłaszał pewien zwolennik owego cywilizacyjnego oraz politycznego konceptu – nie powinna się wymknąć owym dziejowym oraz cywilizacyjnym koniecznościom.

Rychło, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jęły powstawać organizacje oraz instytucje zajmujące się wdrażaniem tego wiekopomnego projektu. Pojawiły się rozliczne, pozornie bezideowe (a finansowo dość dobrze zabezpieczane!) oferty „patronowania" rozmaitym oddolnym czy – jak to się czasem mówi – „obywatelskim" inicjatywom budowania „dynamicznego, wielobarwnego, otwartego społeczeństwa". Tak zwane opiniotwórcze gremia nie szczędziły im poklasku. Na chętnych czekały awanse, granty, stypendia… To na tej fali czy raczej w obrębie owych sugestii oraz oczekiwań w niewielkiej grupie regionalnych aktywistów narodziła się myśl o powołaniu społecznego ruchu, którego zadaniem miało być propagowanie, możliwie jak najdalej idącej, autonomii Kaszub. Nadzwyczaj znaczącym świadectwem praktycznej realizacji owego zamysłu było utworzenie w 2011 r. organizacji pod nazwą Kaszëbskô Jednota. Jednym z jej najważniejszych celów, jak czytamy w założycielskiej deklaracji, było skupienie oraz aktywizowanie ludzi opowiadających się za uznaniem Kaszubów za osobny, usytuowany poza polską wspólnotą, posługujący się własnym językiem, naród. Tak czy inaczej dla rozmaitych działaczy reprezentujących interesy owej „etnicznej mniejszości" nastały dobre czasy; tworzono instytucje promujące kulturową odrębność wspomnianej grupy, w szkołach poczęto nauczać kaszubskiego języka, na Uniwersytecie Gdańskim powstała kaszubistyka jako usytuowany poza filologią polską kierunek. To nic, że – jak pamiętam – bywały lata, kiedy na jednym roku studiowało… trzech studentów. Wszak projekt musiał być realizowany.

DUCHOWE UPOSAŻENIE

Te oraz inne wspomnienia i refleksje naszły mnie po lekturze książki Stasi Budzisz „Welewetka. Jak znikają Kaszuby". Dzieło ukazało się w „Serii Reporterskiej" Wydawnictwa Poznańskiego w 2023 r. Z rozmaitych względów jest to co najmniej ciekawa publikacja. Jej autorce udało się nie tylko opowiedzieć, lecz także na swój dziennikarski sposób udokumentować, że kaszubskość to nade wszystko sprawa… serca oraz ideologii – i że w praktyce jest niezwykle trudno oddzielić jedno od drugiego. Budziszówna zajęła się tym splotem. Ukazała, jak to, co osobiste i gromadne, indywidualny duch i społeczna materia, natura i kultura częstokroć dramatycznie wiążą się ze sobą i jak zarazem kształtują tak los kaszubskiej wspólnoty, jak poszczególnych osób. Znamienne, że w „Welewetce" pisarka rozpoczęła swoją narrację od przywołania postaci ukochanej babci, aby poniekąd za sprawą swojej miłości do niej przystąpić do odtwarzania dziejów nie tylko swoich krewniaków i powinowatych. Pisze o jasnych i ciemnych stronach plemiennej historii: o „dziadkach w Wehrmachcie", o politycznych kolaborantach i oporze, który niektórzy Kaszubi stawiali okupantom, o obyczajach i specyficznej wierze ludu oraz inteligenckich pomysłach na jego „oświecenie"…

W zaprezentowanych przez nią relacjach przeszłość i dzień dzisiejszy nie tylko sąsiadują ze sobą, lecz także częstokroć dogłębnie przenikają. Wielowarstwowa i stosunkowo niejednorodna pod względem gatunkowym jest też cała książka. Dzieło Stasi Budzisz to nie tylko dziennikarski reportaż, lecz także swoisty traktat o stanie kultury i zarazem swego rodzaju osobiste wyznanie. Całość otwiera dość skrupulatnie opracowana genealogia rodu Dominików i Budziszów z Chałup na Półwyspie Helskim, po której następuje znakomita opowieść o umieraniu babci Rozalii, a zamyka oryginalny, kaszubski tekst tytułowej „Welewetki", czyli popularnej na Kaszubach piosenki, której początki giną w mroku regionalnych dziejów. Na zakończenie mamy rejestr prac naukowych oraz rozmaitych publicystycznych przyczynków, z których autorka skorzystała w trakcie pracy nad podtytułowym zagadnieniem: „Jak znikają Kaszuby".

A one znikają i nie znikają… Ich geograficzne usytuowanie, co widać na rozmaitych mapach, od paruset lat raczej pozostaje niezmienne. Jednakże, jak ukazują nie tylko regionalni pisarze, lecz także badacze społecznych fenomenów i etnografowie, ekonomicznie oraz mentalnościowo z ludem owe ziemie zamieszkującym różnie bywało. Wszak władzę nad nim usiłowały sprawować rozmaite nacje, religie i ideologie, a on mimo wszystko jakoś potrafił się obronić i… wytrwał – aż do obecnych czasów. Do dziś Kaszubi, mimo różnorodnych społecznych i świadomościowych przemian, w mniej lub bardziej czytelny sposób jakoś tam identyfikują się tak ze swoim miejscem, jak i ze swego rodzaju duchowym uposażeniem; w niektórych enklawach jeszcze posługują się gwarą, chodzą na coniedzielne Msze Święte, w maju gromadzą przy kapliczkach z Matką Boską, a czasem – gdy stamtąd wracają – wywiadują się u starszych, jak odczyniać rzucone na nich uroki… Bywa, że „kaszubią" na pokaz i zarazem w skrytości ducha śmieją się z „bosych Antków", którzy – wykorzystując różnorodne okazje – sprytnie badają, gdzie i za ile jeszcze można nabyć jakąś atrakcyjną działkę nad miejscowym jeziorem.

POSŁUSZEŃSTWO KOŚCIOŁOWI

Prawdziwi Kaszubi, jak pisze Budziszówna, nadal są dość skryci i raczej niechętnie się przed obcymi odsłaniają. Tego ich nauczyła historia, trudne warunki, w których przez wieki bytowali, jak też uważna obserwacja tych, którzy

eprasa.pl cf50c2f600

z rozmaitych powodów próbowali ich sobie podporządkować. A czynili to zarówno Niemcy, jak i Polacy, tak protestanci, jak katolicy, tak nacjonaliści, jak komuniści… Podziały z tym związane szły przez rodziny, przez gromadzkie wspólnoty, wszerz i w poprzek… Autorka „Welewetki", częstokroć na przykładzie osób sobie najbliższych, ukazuje, jak to się działo i jakie skutki w sferze tożsamościowej, duchowej czy materialnej ze sobą przynosiło. Na dowód przytoczmy choćby mały fragment charakterystyki jej ukochanej babci: „Óma Rosalie nigdy nie odzywała się do mnie po polsku. Mówiła tylko po kaszubsku, ale kiedy liczyła albo załatwiała jakieś formalne sprawy, płynnie przechodziła na niemiecki. Po niemiecku też pisała i śpiewała. Oprócz tych dwóch języków używała jeszcze jednego, katolickiego – ale ten był tylko na specjalne okazje".

Rozmaici propagatorzy oraz organizatorzy „nowego porządku świata" próbują Kaszubów przeciągnąć na swoją stronę, uwieść ich obietnicą ponowoczesnego raju. Na tym interesie (granty, dotacje…) można się nawet nieźle obłowić

I kto wie, zauważmy, czy właśnie owe „specjalne okazje" nie okazały się najbardziej znaczące nie tylko dla babci Rosalie, lecz także dla całej kaszubskiej wspólnoty… Wszak to przede wszystkim w oparciu o posłuszeństwo Panu Jezusowi i Jego kapłanom („Ksiądz to na Kaszubach świętość" – powiada jeden z bohaterów reportażu) Kaszubi w znacznym stopniu kształtowali swoją wyjątkowość: charakter, duszę, obyczaj... A działo się tak zarówno w latach spokoju, jak i pod obcą władzą. Ich legendarny kaznodzieja i społeczny autorytet ks. Józef Wrycza w napisanej wspólnie z por. Józefem Dambkiem w 1939 r. „Deklaracji Ideowej Tajnej Organizacji Wojskowej Gryf Pomorski" stwierdzał: „Głównym celem Tajnej Organizacji Wojskowej »Gryf Pomorski« jest wyzwolenie Ojczyzny i Kościoła Katolickiego z niemieckiego brunatnego faszyzmu i sowieckiej czerwonej zarazy. Uświadomienie narodowe członków i szerokich mas przez wskazywanie drogi wiodącej do Wielkiej Sprawiedliwej Polski". Wielka szkoda, że dziś już prawie nikt się na tę „Deklarację" nie powołuje. Ukrywano ją za komuny, ale i dziś jest dla wielu nader niewygodna.

POSĄGI POGAŃSKICH BOŻKÓW BĘDĄ LEPSZE?

Autorka „Welewetki" pisze o jakoby bezpowrotnym znikaniu Kaszub i kaszubskości. Może i tak jest, ale Kaszuby jako nader ważny, zwłaszcza pod względem turystycznym niezwykle atrakcyjny region, pozostaną. Pozostanie też pewien świadomościowy kapitał, czyli wiedza o tym, co się w tym procesie zyskuje, a co traci. I to dla nas, którzy nie jesteśmy Kaszubami, jest też dziś niezmiernie istotne. Rozmaite, często pochodzące z zewnątrz kaszubskiej wspólnoty, próby ideologicznej i obyczajowo-językowej rewitalizacji kaszubskości wydają się skazane na porażkę. Budziszówna dostrzega fasadowość wielu dzisiejszych przedsięwzięć, ale ostatecznie dość niedwuznacznie opowiada się po stronie ponowoczesnych, globalistyczno-liberalnych praktyk. Między innymi deklaruje swą przynależność do „narodu kaszubskiego", dla którego tak czy inaczej lepsze będą wznoszone we wsiach i miasteczkach posągi pogańskich bożków niż przydrożne „męki Pańskie" i kapliczki z figurkami Matki Boskiej. „Kaszuby – powiada – są stare, zhierarchizowane, rozmodlone, bardziej polskie niż Polska. Roztopiliśmy się w polskości". Zatem – chyba nieco przekornie deklaruje pisarka – to, co najważniejsze dla Kaszubów, realizuje się (i w przyszłości ma się spełniać!) nie w obrębie polskości, ale w opozycji do niej. Zwłaszcza pod koniec lektury tej, powtarzam, bardzo interesującej książki coraz częściej odnosiłem wrażenie, że autorka „Welewetki", „przechrzciwszy się" – jeśli tak można powiedzieć – na „poganizm", nieco przekornie (?) stylizuje się na ostatniego Mohikanina kaszubszczyzny. Czyni tak, przyznając jednocześnie, iż: „[…] wydaje mi się, że moim pierwszym językiem był kaszubski, ale dziś nie umiem w nim ani pisać, ani myśleć, ani śnić. Męką jest dla mnie czytanie, a w głowie czuję blokadę, by swobodnie się porozumiewać, mimo że większość rozumiem".

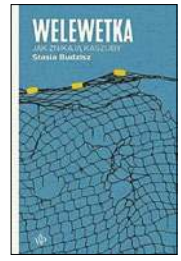

STASIA BUDZISZ „WELEWETKA. JAK ZNIKAJĄ KASZUBY" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE 2023

Uważam, że kaszubskość dla Kaszubów (i dla nas wszystkich!) znaczyła nade wszystko wtedy, kiedy była wpisana w coś większego niż ona sama: w wielki projekt budowania czy też, jak to się obecnie dzieje, choćby ocalania cywilizacji łacińskiej – tego wiekopomnego dzieła wznoszonego na greckiej koncepcji prawdy, rzymskim szacunku dla prawa i chrześcijańskim personalizmie. Poza nim ona, jak i wszystko inne, karłowacieje, staje się obiektem ideologicznych manipulacji, ekonomicznego wyzysku czy finansowego oraz świadomościowego przekupstwa. I dziś także rozmaici propagatorzy oraz organizatorzy „nowego porządku świata" próbują Kaszubów przeciągnąć na swoją stronę, uwieść ich obietnicą ponowoczesnego raju. Na tym interesie (granty, dotacje…) można się nawet nieźle obłowić. A zwykłym Kaszubom co pozostaje? Chyba mozolna, uczciwa praca w duchu, w sumieniu, w rodzinie, na polu…

Na koniec jeszcze jedna dygresja – z jak najbardziej mojego życiowego pobliża. Otóż pani Maria, gospodyni spod kaszubskiego Kielna, która raz na dwa tygodnie przywozi nam do Oliwy wiejskie jaja, kartofle i śmietanę, na moje pytanie, czy jest Kaszubką, odpowiada jak najbardziej twierdząco. Ale – zaraz dodaje – „po kaszubsku to nawet u niej w domu dzisiaj już nikt nie gada". Nie komentuję tego, bo nie wiem, czy to źle czy dobrze. Po prostu jest tak, jak jest. Ale co do jednego nie mam żadnych wątpliwości: dostarczane przez nią produkty są pierwszej klasy. Zwłaszcza śmietana – palce lizać!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest profesorem nauk humanistycznych, historykiem literatury, poetą, eseistą, krytykiem sztuki, związanym z Uniwersytetem Gdańskim. Był pierwszym prezesem Gdańskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. W okresie stanu wojennego działał na rzecz kultury niezależnej, redagując m.in. podziemne czasopismo „Podpunkt". W tym też czasie zorganizował wiele przedsięwzięć naukowych, literackich i plastycznych w działającym przy Kościele św. Mikołaja w Gdańsku Duszpasterstwie Środowisk Twórczych. Jest uhonorowany m.in. Złotym Laurem Akademii Mistrzów Mowy Polskiej oraz srebrnym medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis".

eprasa.pl cf50c2f600

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Lech Karol Neyman

Należy do najciekawszych postaci polskiej konspiracji niepodległościowej podczas wojny i okupacji, ale został prawie całkowicie wyparty z naszej pamięci. Przez całe dorosłe życie był zaangażowany w sprawy polskie – w II RP politycznie, w latach 1939–1947 politycznie i wojskowo. W konspiracji musiał działać już od 1934 r., po delegalizacji Obozu Narodowo-Radykalnego przez sanację. Wybitny prawnik, oficer rezerwy WP (porucznik), a także sportowiec (tenisista) i polityk.

Był uczestnikiem wojny obronnej 1939 r., walczył m.in. nad Bzurą. Nie szczędził ofiary krwi, służbę dla Polski uważał za wyjątkowy zaszczyt, niezależnie od tego, kto nią aktualnie rządził. Walczył pod Warszawą, był wielokrotnie ranny, w tym ciężko. Otrzymał łącznie 26 ran i odłamków. Jako inwalida został zwolniony z niewoli niemieckiej. Został poddany wielu operacjom, ratującym mu życie.

W konspiracji był jednym z założycieli Grupy „Szańca" – środowiska ONR. Jako Poznaniak był głęboko przejęty sprawą ziem zachodnich, które Niemcy zamierzali zgermanizować w pierwszej kolejności. Poświęcił się geopolityce, czyli roli stosunków polsko-niemieckich w dziejach. Należał do współzałożycieli Narodowych Sił Zbrojnych i Służby Cywilnej Narodu (1942), obejmując kierownictwo Wydziału Zachodniego. Sprawom tym poświęcił znaczną część swego konspiracyjnego piśmiennictwa w licznych broszurach i artykułach programowych, m.in. „Polska po wojnie", „Szaniec Bolesławów" oraz „Likwidacja niemczyzny na ziemiach zachodnich". Ten doniosły dorobek nie miał odpowiednika w strukturach konspiracyjnych innych organizacji, które były nastawione bardziej na działalność bieżącą. W „Szańcu Bolesławów" przewidywał: „[...] musimy także przygotować się do odebrania Szczecina i Wrocławia, Rugii i Głogowa [...] w imię elementarnej samoobrony". Zajmując się przewidywaniem, jaka powinna być Polska po wojnie, pisał wprost: „Jeśli świat liberalny i socjalistyczny wysuwał prawo strajków, anarchii, wyżycia się i życia ułatwionego, to nie będzie demagogią, jeśli ruch narodowy [...] wysunie prawo do pracy jako podstawowe prawo człowieka".

Był redaktorem miesięcznika „Naród i Wojsko", organu Dowództwa NSZ. Współorganizował pion sądowniczy tej organizacji. Pełnił również funkcje wojskowe jako komendant Okręgu Krakowskiego, później Pomorskiego. Aresztowany przez UB 15 lutego 1947 r. został poddany ciężkiemu śledztwu, mimo ośmiu niewyjętych odłamków. Komuniści skazali go na karę śmierci jako szpiega i zdrajcę. Zamordowali go 12 maja 1948 r. Jego szczątki zostały odnalezione na tzw. Łączce dopiero w 2012 r. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pocałunek przyjaźni

Realizacja kultowego w okresie PRL serialu „Czterej pancerni i pies" (premiera telewizyjna 8 kwietnia 1970 r.) trwała pięć lat, nic zatem dziwnego, że aktorzy bardzo zżyli się ze sobą.

Jako pierwsi zaprzyjaźnili się Janusz Gajos (Janek) i Włodzimierz Press (Grigorij). Byli rówieśnikami, obaj dopiero startowali do kariery aktorskiej. Poznali się na castingu, mieli do zagrania scenę bójki ze scenariusza I odcinka. Wypadli na tyle dobrze, że dostali angaż. Jednak gdy przyszło do filmowania tej sceny na planie, nie było już tak łatwo. Scenę nagrywano na autentycznym śniegu i Press pamięta, że obaj wyjątkowo zmarzli.

Aktorzy dopiero uczyli się grać w czołgu, z czym najwięcej problemów miał Roman Wilhelmi (Olgierd Jarosz). W ogóle nie słuchał rad konsultantów i już po kilku dniach był solidnie poobijany, a zdesperowany reżyser (Konrad Nałęcki) twierdził nawet, że jedynym profesjonalistą okazał się Szarik.

Serialowy pies zagrał jednocześnie epizod w kręconej po sąsiedzku „Stawce większej niż życie". Planowano bowiem połączyć kilka scen z obu seriali (Kloss miał ocalić wziętych do niewoli czołgistów), ale ostatecznie Stanisław Mikulski nie wyraził zgody na korekty w scenariuszu. Skończyło się zatem na niewielkiej rólce dla psa.

Włodzimierz Press tak bardzo przejął się rolą kierowcy czołgu, że osobiście chciał prowadzić maszynę. Z reguły robił to za niego doświadczony, zawodowy czołgista, ale w ujęciach, gdy przez otwarty właz widać było sylwetkę aktora, rzeczywiście Grigorij prowadził czołg. Po latach stwierdził, że realizatorzy okazali się jednak bardzo odważnymi ludźmi, gdyż nie miał on wtedy jeszcze prawa jazdy, a do tego nosił okulary, których nie mógł zakładać na planie. A szkieł kontaktowych jeszcze nie było.

Serialowa Marusia (Pola Raksa) i Janek Kos stanowili tak ładną parę, że wzbudzili zastrzeżenia decydentów filmowych. Podczas kolaudacji pierwszej serii jeden z działaczy partyjnych zgłosił zastrzeżenie, że ich ekranowy pocałunek trwa zbyt długo, co może wzbudzić podejrzenia co do intencji aktorów. Uspokoił się dopiero, gdy wyjaśniono mu z całą powagą, że przecież… jest to pocałunek przyjaźni polsko-sowieckiej.

Niektórych aktorów serial zaszufladkował na bardzo długi czas, chociaż z reguły wyrażali zadowolenie, że brali udział w produkcji. Wyjątkiem była Małgorzata Niemirska (Lidka), która przyznała, że dla niej serial był pewnego rodzaju traumą, gdy jako młoda dziewczyna musiała przez pięć lat biegać po poligonach w tych samych „butach, furażerce i mundurze". I trudno się jej dziwić. ©℗

eprasa.pl cf50c2f600

Łukasz Czarnecki

Z buddyjskiego klasztoru do międzywojennej Warszawy

Jak powszechnie wiadomo, podróże kształcą, zwłaszcza te do krajów dalekich i egzotycznych. Z tego założenia wyszedł zapewne opat tokijskiej świątyni buddyzmu zen Shussanji Nandokurin, gdy w roku 1922 organizował w japońskim MSZ stypendium na zagraniczne studia w Europie dla niedawno wyświęconego młodego mnicha Umedy Ryōchū. Gdyby świątobliwy przeor wiedział, że jego protegowany miast do będącego punktem docelowym Berlina trafi do Warszawy i jak hulaszcze życie będzie w niej prowadził, możliwe, że jeszcze trochę pomedytowałby nad tym pomysłem...

Na Powązkach Wojskowych, tysiące kilometrów od ojczystych stron, spoczywają zamknięte w urnie skremowane szczątki byłego japońskiego zakonnika ze szkoły zen. Zmarły w 1961 r. Umeda, dokonawszy krótko przed śmiercią konwersji na katolicyzm, w testamencie zażyczył sobie, by jego prochy pochowano w Warszawie, mieście, w którym spędził najlepsze 17 lat życia. A był to okres złotej młodości „jurnej i durnej", o której sam zainteresowany opowiadał później z pewnym zażenowaniem, wyrażając żal, że więcej czasu poświęcał na imprezowanie w gronie bohemy niż studiom filozoficznym, na które wyekspediował go opat macierzystego klasztoru.

Początkowo nic nie zapowiadało, że życie urodzonego w 1899 r. Umedy Ryōchū (było to imię zakonne nadane przez opata, w dzieciństwie zwano go Yoshiho) potoczy się niezwykłymi torami. Pochodził z zamożnej rodziny, a jego ojciec piastował dochodową funkcję prawnika koncernu Mitsui. Kiedy jednak

eprasa.pl cf50c2f600

Umeda Ryōchū na fotografii z lat. 20. lub 30. XX w. FOT. NAC

chłopiec skończył dziewięć lat, w firmie doszło do skandalu i defraudacji pieniędzy. Umeda senior, choć niewinny, wziął odpowiedzialność za przestępstwo na siebie, by pozwolić zwierzchnikom uniknąć kompromitacji. W efekcie mężczyzna trafił do więzienia, a choć ostatecznie wyszedł na wolność i uzyskał spore odszkodowanie, to wszystkie te cierpienia przypłacił utratą zdrowia i przedwczesną śmiercią. Jego pierworodny syn, dla którego również planowano karierę prawniczą, mógł pożegnać się z myślą o niej – rodzinę okryła niesława, a co gorsza, popadła ona w poważne kłopoty finansowe. W tej sytuacji matka chłopca, chcąc zapewnić mu godną przyszłość i wykształcenie, oddała go do nowicjatu w klasztorze Shussanji w Tokio. Młodzieniec dorastał tu pod surowym okiem opata Nandokurina, który dostrzegłszy bystry umysł podopiecznego, finansował jego edukację aż do poziomu studiów uniwersyteckich. Otrzymawszy dyplom, przyjął święcenia kapłańskie, a w klasztorze szeptano już, iż przeor widzi w nim potencjalnego następcę. I właśnie chcąc przygotować Ryōchū do tej roli, czcigodny opat zorganizował dlań stypendium rządowe, mające umożliwić mu studia doktoranckie z zakresu filozofii na Uniwersytecie Berlińskim.

W roku 1922 Umeda wyruszył w rejs ku Europie. Na statku, którym płynął, los zetknął go z dwoma Polakami: doświadczonym globtroterem i działaczem niepodległościowym Wacławem Piotrowskim oraz młodziutkim Stanisławem Michowskim, pochodzącym z polskiej rodziny osiadłej na Syberii. Obaj dżentelmeni wracali właśnie z Dalekiego Wschodu do odrodzonej Polski… choć właściwie czasownik ten pasuje tylko do sytuacji starszego z nich – Piotrowskiego. Michowski kraju nad Wisłą nie widział nigdy na oczy, ale wychowany na opowieściach o utraconej ojczyźnie ruszył ku niej wabiony syrenim śpiewem odziedziczonej w genach tęsknoty. Cała trójka szybko się zaprzyjaźniła, zwłaszcza że nowi kompani mówili po japońsku. Wacławowi szło z mową samurajów nieco gorzej, więc zaangażował młodego mnicha zen w prace nad przekładem japońskich podań, których zbiór zamierzał wydać po polsku. Wesołe towarzystwo razem dotarło do Europy i rozstało się w Marsylii. Polacy podążyli nad Wisłę, a Ryōchū – do Berlina.

NIESPODZIEWANY GOŚĆ

Kilka tygodni później, na początku września, rozległo się pukanie do drzwi mieszkania niedawno przybyłej do Warszawy z synem (również Stanisławem) z rosyjskiego Dalekiego Wschodu pani Julii Salińskiej. Gdy kobieta otworzyła, na swoim progu zobaczyła… naszego adepta zen. Niemcy pustoszone przez hiperinflację i przemoc polityczną Japończykowi niezbyt przypadły do gustu. Za to z opowieści jego polskich przyjaciół wynikało, że nad Wisłą znajduje się prawdziwy raj na ziemi, a Michowski, rozstając się z japońskim druhem, zostawił mu adres, pod którym miał zatrzymać się w Warszawie – u znanego ze szkolnej ławy z Irkucka i Harbina kumpla oraz imiennika Stacha Salińskiego. I rzeczywiście, gdy Ryōchū pojawił się w drzwiach wskazanego mieszkania, został serdecznie powitany przez pomieszkującego tu Michowskiego, a pani Julia chętnie pozwoliła egzotycznemu gościowi zostać na dłużej.

Krótko po przyjeździe do polskiej stolicy Umeda wysłał list do krewnych, w którym opisywał swoje wrażenia z nowego miejsca zamieszkania. Pismo szczęśliwie dotrwało do naszych czasów (jego polski przekład znaleźć można w książce „Wolny agent Umeda i druga Japonia"). Ze słów młodego buddysty bił entuzjazm, niekiedy prowadzący do nadmiernego ubarwiania rzeczywistości, bo o mającym bardzo świeżą metrykę Uniwersytecie Warszawskim pisał jako jednej z najstarszych uczelni Europy i zachwycał rzekomą starożytnością miasta, którego rozkład przypominał mu… rodzinne Tokio. Jednakże najbardziej przybysza z Japonii uderzyła pobożność ludności. Spory akapit poświęcił polskiemu zwyczajowi zdejmowania czapek przed świątyniami, który uznał za unikalny (bo nie uświadczył go w Berlinie) i bardzo piękny.

Ryōchū rozpoczął wkrótce studia doktoranckie na wydziale filologii klasycznej UW, gdzie zgłębiał filozofię grecką pod okiem prof. Tadeusza Zielińskiego, bodajże najwybitniejszego intelektualisty polskiego pierwszej połowy XX w. Oczywiście spory problem stanowiła bariera językowa. Młody Japończyk pilnie uczył

eprasa.pl cf50c2f600

się polskiego, w czym pomagali mu obaj Stachowie, którzy zostali jego najlepszymi przyjaciółmi. Aby przyśpieszyć edukację mnicha, zmusili go do… nauczenia się na pamięć „Janka Muzykanta"! Prawdziwą szkołą językową była zaś Kawiarnia Kresy, gdzie trzech młodzieńców przesiadywało całymi popołudniami, wcinając ciastka i snując plany na przyszłość. Umeda szybko przyswajał sobie mowę Mickiewicza, a promotor zapewne dawał egzotycznemu doktorantowi taryfę ulgową z racji tego, że… sam miał problemy z mówieniem po polsku, gdyż przez większość życia porozumiewał się z otoczeniem po niemiecku i rosyjsku (gdy dostał posadę na UW, urządził sobie kurs błyskawiczny języka ojczystego, używając „Trylogii" i „Pana Tadeusza" w charakterze podręczników).

Ryōchū był człowiekiem mało wymagającym i niezbyt kłopotliwym, wychowany w klasztorze buddyjskim nie przywykł do luksusów i też ich nie żądał. Choć niekiedy zachowywał się cokolwiek problematycznie. Przejawiał awersję do spania w łóżku, za to nadzwyczaj lubił ciastka. Wkrótce polubił też i polską wódkę, którą popijał w towarzystwie artystycznych niebieskich ptaków i wiecznych studentów. Co ciekawe, jednym z jego najczęstszych kompanów od kieliszka był… młodziutki Konstanty Ildefons Gałczyński.

Jednak prawdziwego kłopotu narobił gospodarzom wkrótce po przyjeździe, gdy któregoś jesiennego dnia wyszedł na przechadzkę i nie wrócił na noc. Obaj Staszkowie i pani Salińska szukali go po całym mieście, postawiono na nogi policję, zawiadomiono poselstwo japońskie… i nic! Był mnich zen i nie ma mnicha. Tymczasem rankiem młody Japończyk wrócił na stancję jakby nigdy nic, bardzo zdziwiony całym zamieszaniem. Cóż się stało? Otóż spacerował po Łazienkach do tak późnych godzin, że park w końcu zamknięto z nieuważnym turystą w środku. Gdy Umeda odkrył, że jest uwięziony, wzruszył ramionami, usiadł nad stawem pod drzewem i zajął się medytacją. Do rana zdążył nawet napisać wiersz o odczuciach estetycznych dostarczonych przez nocną obserwację łabędzi. Jak wiadomo, Japończycy są narodem rozmiłowanym w poezji, a nasz bohater jeszcze w Tokio działał w szeregach grupy skupiającej młodych poetów, więc poemat zapewne był wysokiej próby, ale nawet piękno jego wersów nie złagodziło gniewu posła japońskiego, ten urządził rodakowi z powodu incydentu straszną awanturę.

Nie było to zresztą jedyne nagłe zniknięcie Ryōchū. Gdy w kolejnych latach odwiedzał zaprzyjaźnioną rodzinę ziemiańską na Wołyniu, również tam zdarzało mu się wyparować gospodarzom i być poszukiwanym po całej okolicy. Pewnego razu znaleziono go… w chłopskiej chacie, gdzie wygłaszał po japońsku wykład wieśniakom, tłumnie zebranym, by ujrzeć takie dziwowisko.

PCHŁY I PROPAGANDA

Tymczasem 1 września 1923 r. japoński region Kantō nawiedziło straszliwe trzęsienie ziemi, które przyniosło śmierć ponad 100 tys. ludzi. W obliczu katastrofy naturalnej Tokio zawiesiło wypłatę stypendiów studiującym za granicą Japończykom. Umedzie poselstwo Japonii zaoferowało sfinansowanie biletu powrotnego do ojczyzny, on jednak chciał dokończyć studia. Dlatego razem ze Stanisławem Michowskim przenieśli się do taniego pokoju przy ulicy Towarowej i zaczęli „zaciskanie pasa". Ich nowe lokum szybko stało się centrum młodej bohemy i tu właśnie los zetknął mnicha z Gałczyńskim, mieszkającym w tej samej kamienicy. Wesoła kompania piła ostro i zajadała się wątpliwej jakości jedzeniem, oddając się najdzikszym swawolom.

Mimo mocno imprezowego trybu życia nasz bohater studia dokończył, choć w archiwach uniwersyteckich do dziś nie udało się znaleźć śladów po jego dyplomie doktorskim. Możliwe, że dokument ten spłonął w powstaniu warszawskim. O zyskaniu stopnia naukowego świadczy jednak to, że po drugiej wojnie światowej, wróciwszy do Japonii, Ryōchū zrobił habilitację, zyskał profesurę i zasłynął jako wybitny historyk. Ku tej ostatniej dziedzinie zwrócił swe zainteresowania w latach 30., zwłaszcza pociągały go początki państwa polskiego.

W roku 1924 mnich, w którym nikt postronny nie poznałby już zakonnika z ascetycznej szkoły zen, został zatrudniony przez hrabiego Antoniego Branickiego do nadzorowania… hodowli dobermanów. Psiarnia umiejscowiona była w pochodzącym z XIX w. budynku zwanym dziś Żółtą Karczmą. Miano to zyskała poniekąd dzięki nowemu lokatorowi (Japończyk dostał służbowe lokum w wieży budowli), a dokładniej wymyślił ją wpadający raz za razem (z reguły w środku nocy) w towarzystwie rozchichotanych dziewcząt i figlarnej młodzieży Gałczyński. Goście imprezowali u Umedy, co przypłacali pogryzieniem przez pchły, ponieważ nieprzyjemne owady korzystały z okazji, by przenieść się z dotychczasowych psich żywicieli na nowych – ludzkich. Wszyscy zgodnie marudzili zarówno na kąsające pasożyty, jak i przeciąg oraz panujący wewnątrz Żółtej Karczmy chłód. Tylko nasz bohater zachowywał stoicki, buddyjski spokój i pokornie pozwalał pchłom sączyć swą krew na wypadek, gdyby w ich postaci odrodziły się dusze jakichś grzeszników.

Na szczęście kariera dozorcy psiarni nie trwała długo i wkrótce Ryōchū mógł pozwolić sobie na przeprowadzkę do porządnego mieszkania (ku smutkowi Gałczyńskiego tęskniącego za popijawami w wieży). Poselstwo ojczystego kraju zlecało mu coraz częściej tłumaczenia tekstów, a w roku 1925 został zatrudniony przez UW jako lektor japonistyki. Rok później objął to samo stanowisko w Instytucie Wschodnim, instytucji mającej kształcić specjalistów od kwestii azjatyckich i sowietologicznych pomyślanej jako kuźnia kadr do walki z wpływami ZSRS. Studiowały tam jednak też osoby niezwiązanie z Wielką Grą toczoną przez Warszawę przeciw Moskwie. Uczniami Umedy byli choćby późniejszy nestor polskiej filologii japońskiej i tłumacz klasycznej literatury Kraju Kwitnącej Wiśni Wiesław Kotański, a także grupa franciszkanów szykujących się do wyjazdu na misję do Nagasaki. Na czele braci stał późniejszy męczennik Maksymilian Kolbe. Gdy tych dwóch mnichów – katolicki i buddyjski – spotkało się po raz pierwszy, wybuchli śmiechem, stwierdziwszy, że są do siebie podobni, obaj nosili okulary.

Tymczasem nastała jesień 1931 r. i japońska agresja na Mandżurię. Japończycy błyskawicznie opanowali tę chińską prowincję, powołując w niej marionetkowe państwo Mandżukuo. Wydarzenia wzburzyły społeczność międzynarodową

eprasa.pl cf50c2f600

i zmusiły do interwencji Ligę Narodów. Japonia szukała wsparcia dla swych roszczeń i rozpoczęła akcję propagandową, która nie ominęła też naszego kraju. Warszawa tradycyjnie była przyjazna Tokio, jednak sanacyjny rząd obstawał przy absolutnej nienaruszalności status quo za pomocą siły zbrojnej, obawiając się, że tego, co dokonali Japończycy względem Chin, spróbować mogą Niemcy w stosunku do Polski. W tej sytuacji poselstwo japońskie zleciło Umedzie napisanie artykułu w języku polskim, w którym przedstawione zostałby racje Tokio i argumenty usprawiedliwiające napaść na Republikę Chińską.

Choć nasz bohater zapisał się w ludzkiej pamięci jako przesympatyczny człowiek, to postawione przed nim, niegodziwe skądinąd, zadanie wypełnił i wkrótce zamówiony tekst ukazał się na łamach czasopisma „Wschód-Orient". Egzemplarze magazynu dotrwały do naszych czasów, więc współczesny czytelnik, o ile tylko ma żyłkę antykwaryczną lub archiwistyczną, może do nich dotrzeć. I z przykrością należy stwierdzić, że skreślony piękną polszczyzną artykuł stanowi popis propagandy dowodzącej, że napadnięta przez silniejszego agresora ofiara sama sobie jest winna. W dodatku autor posługiwał się kłamstwami, pisząc choćby o rzekomo dokonanej przez Chińczyków masakrze Japończyków z Mukdenu – wydarzeniu niemającym miejsca. Otwarte pozostaje pytanie, czy Ryōchū nieprawdę poświadczał świadomie nieprawdę, kierowany źle pojętym patriotyzmem, czy też wierzył w to, co pisał, opierając się na fałszywych danych dostarczonych przez dyplomację.

SYNU, ZOSTAŃ POLAKIEM

W latach 30. nasz bohater nie był już ubogim studentem, powodziło mu się całkiem dobrze. Szaloną młodość zostawił za sobą, lecz wciąż nie zamierzał wracać do Japonii, nad Wisłą czuł się najszczęśliwszy. Tym większy szok stanowiła dlań niemiecka napaść na Polskę. Mimo dramatycznych wieści z frontu nie chciał uciekać i do zorganizowanej przez korpus dyplomatyczny Japonii ewakuacji poddanych cesarza de facto został zmuszony przez swojego przyjaciela Stanisława Michowskiego, teraz już wysokiego rangą oficera, który 11 września siłą wepchnął Umedę do wysłanego po niego przez ambasadę samochodu. Tydzień później Ryōchū był w Rumunii, skąd pojechał do bułgarskiej Sofii, gdzie spędził resztę wojny. Do Polski nigdy już nie wrócił, ale w ojczystej Japonii, zrzuciwszy buddyjską suknię (w przenośni, bo w sensie dosłownym nie nosił habitu od opuszczenia ojczyzny), został wybitnym akademikiem i popularyzatorem kultury naszego kraju. Ożeniwszy się, doczekał dwóch synów, na łożu śmierci nakazując, by jeden z nich poleciał do kraju jego młodości i… został Polakiem. Życzenie zostało spełnione, nastoletni Umeda Yoshiho wyruszył do PRL, gdzie pod opiekę wziął go korespondencyjny przyjaciel ojca, archeolog prof. Konrad Jażdżewski.

Dla syna dawnego mnicha zen Polska miała stać się nową ojczyzną. I niczym samuraj gotów był walczyć o jej wolność. Gdy w latach 70. powstał Komitet Obrony Robotników, Umeda Yoshiho (szerzej napisałem o nim w tygodniku „Do Rzeczy" nr 29/2018) włączył się w jego prace, sprowadzając z Japonii sprzęt potrzebny do powielania podziemnych wydawnictw. Później działał w Solidarności, m.in. zasiadając we władzach Regionu Mazowsze, pomagał zorganizować I Zjazd Solidarności w maju 1981 r., a także właśnie za jego sprawą doszła do skutku wizyta Lecha Wałęsy i towarzyszących mu delegatów w Japonii. W stanie wojennym Yoshiho wydalony z kraju przez juntę Jaruzelskiego aktywnie brał udział w organizacji emigracyjnych struktur Solidarności. Już w wolnej Polsce w roku 2006 za swe zasługi został odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Zmarł 4 maja 2012 r. Spoczywa na Powązkach Wojskowych u boku ojca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

SPROSTOWANIE

„W numerze 13 tygodnika „Do Rzeczy" ukazał się artykuł pod tytułem „Powrót antyklerykała", który zawiera nieprawdziwe informacje na temat Romana K., niegdyś redaktora naczelnego tygodnika „Fakty i Mity", a ostatnio autora książki „Byłem więźniem". Po pierwsze Roman K. urodził się i pochodzi z Kłodawy, a nie z Koła, jak napisał autor. Nieprawdą jest, jakoby Roman K. został kiedykolwiek pozyskany do współpracy agenturalnej z SB i otrzymał pseudonim Janusz.
Nieprawdą jest jakoby Roman K. „kilkukrotnie spotykał się ze swoim oficerem prowadzącym". W 1989 roku Romana K., wówczas kleryka seminarium duchownego, odwiedził oficer SB i odbył z nim jedną, kilkuminutową rozmowę. Takie rutynowe rozmowy przeprowadzali funkcjonariusze SB IV Wydziału z niemal wszystkimi klerykami w kraju przez cały okres PRL-u.
Podczas rozmowy Roman K. nie przekazał funkcjonariuszowi żadnych poufnych informacji. Kiedy Roman K. został posłem na Sejm VII kadencji w „Rzeczpospolitej"
ukazał się kłamliwy artykuł, który zarzucał nowemu posłowi współpracę z SB. W efekcie Roman K. zwrócił się do Instytutu Pamięci Narodowej o informację na swój temat. IPN wykluczył jakikolwiek rodzaj agentury. Roman K. otrzymał też oficjalny status: POSZKODOWANY.
Książki Romana K. pt. „Byłem księdzem" nie zawierały – jak twierdzi autor artykułu – „zmanipulowany obraz wewnętrznego funkcjonowania seminarium".
Grzegorz Piotrowski nigdy nie publikował jakichkolwiek artykułów w tygodniku „Fakty i Mity". Tygodnik Romana K. przeprowadził jedynie wywiad z zabójcą księdza Popiełuszki".

eprasa.pl cf50c2f600

Wojskowa junta nad Dnieprem?

Maciej Pieczyński

Ukraińcy mają dość skorumpowanych polityków i urzędników. Zmęczeni są również wojną, ale wciąż nienawidzą wroga i najbardziej ufają armii. To właśnie z szeregów sił zbrojnych będzie się rekrutować nowa elita polityczna Ukrainy

W sondażach wciąż liderują Wołodymyr Zełenski i jego partia Sługa Narodu. Trudno się dziwić. Po pierwsze, wciąż działa efekt flagi. W warunkach wojny Ukraińcy popierają nie tyle (albo nie tylko) konkretnego człowieka, ile instytucję władzy, kto by ją sprawował. Po drugie, w telewizji wciąż króluje wojenna, prorządowa propaganda. Po trzecie, Zełenski dobrze sobie radzi w polityce zagranicznej, grając asertywnie i agresywnie, co Ukraińcom wciąż się podoba. Po czwarte, nie ma z kim przegrać, jeśli chodzi o skorumpowanych urzędników i skompromitowanych polityków. Zagrozić mu mogą tylko i aż wojskowi. Gdyby w obecnej sytuacji odbyły się wybory prezydenckie, do drugiej tury trafiłby z gen. Wałerijem Załużnym i najpewniej by przegrał.

Były głównodowodzący Sił Zbrojnych Ukrainy nie jest jedynym mundurowym, który po wojnie może namieszać na ukraińskiej scenie politycznej. O głosy skutecznie mogą powalczyć również inni, wciąż czynni dowódcy wojskowi. Z jednej strony rośnie niezadowolenie społeczne z przymusowej mobilizacji. Z drugiej strony niechęć do Terenowych Centrów Rekrutacji (TCK) odbija się bardziej na klasie urzędniczo-politycznej niż na samej armii. Ukraińcy mają pretensje bardziej do władz, że chcą ich wysyłać na front, niż do zawodowych żołnierzy, którzy już na tym froncie walczą i mimo wszystko bronią kraju przed agresorem.

ZAUFANIE DO MUNDURU

W tym kontekście wielce symptomatyczne są wyniki sondażu pt. „Nastroje

Szansę na zbudowanie silnego ugrupowania o profilu nacjonalistycznym ma niewątpliwie gen. Andrij Biłecki (na zdjęciu), założyciel i pierwszy dowódca batalionu ochotniczego „Azow" FOT. JBUCKET/WIKIMEDIA COMMONS CC BY-SA 4.0

eprasa.pl cf50c2f600

społeczno-polityczne Ukraińców", przeprowadzonego w marcu przez New Image Marketing Group we współpracy z tygodnikiem „Diłowa stołycja" na próbie 800 badanych. Respondenci zostali poproszeni o wskazanie dwóch problemów, które najbardziej ich martwią. Działalność TCK wskazało 24 proc., ostrzały, strach o swoje życie, zdrowie i majątek – 31 proc., sytuację na froncie – 32 proc. Na pierwszym miejscu znalazła się korupcja z wynikiem 33 proc. To nie pierwszy sondaż, który pokazuje, że Ukraińcy bardziej boją się łapówkarstwa i demoralizacji urzędników niż fizycznego zagrożenia związanego bezpośrednio z wojną. Oburzenie na skorumpowanych polityków jest nieznacznie, ale jednak silniejsze niż strach przed Rosją. Ten strach jest jednak na tyle duży, żeby Ukraińcy wciąż widzieli w żołnierzach swoich obrońców.

Jeszcze bardziej znamienne są wyniki sondażu, w którym pod koniec 2025 r. Kijowski Międzynarodowy Instytut Socjologii zbadał poziom zaufania do instytucji publicznych. Oczywiście na badania opinii publicznej w czasie wojny trzeba patrzeć z dystansem, niemniej pokazują one pewne tendencje. Poza tym akurat te konkretne wyniki zadają kłam sugestiom, jakoby na Ukrainie sondaże były fałszowane przez władzę. Politycy i urzędnicy zostali bowiem zmiażdżeni przez mundurowych. Aż 56 proc. badanych zadeklarowało brak zaufania do rządu (3 proc. więcej niż rok wcześniej), a tylko 23 proc. (3 proc. mniej) wyraziło swoje zaufanie. Radzie Najwyższej nie ufa aż 70 proc. respondentów – o 2 proc. więcej niż w grudniu 2024 r. Wśród instytucji władzy najlepiej wypada prezydent. Jako jedyny zyskał w porównaniu z poprzednim rokiem. W grudniu 2024 r. ufało mu 45 proc., nie ufało – 31 proc. Rok później odsetek nieufających wzrósł do 33 proc., ale za to zaufanie wzrosło aż do 57 proc. Na podobnym poziomie plasuje się stosunek do SBU (54 proc. ufających w 2024, 51 proc. – w 2025). Co ciekawe, Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy, cieszące się zasłużoną opinią instytucji niezależnej, zostało obdarzone zaufaniem jedynie 50 proc. badanych. Prokuratura i sądy szorują po dnie (ponad 60 proc. nieufających). Natomiast Siły Zbrojne Ukrainy triumfują. W grudniu 2024 r. armii ufało 92 proc. badanych, rok później – już 94 proc. Ukraińcy bardzo ufają też wolontariuszom (79 proc. w grudniu 2025 r.), ale SZU są w wyścigu o sympatię społeczeństwa niekwestionowanym liderem. To więc naturalne, że właśnie z szeregów wojska po wojnie może wyłonić się nowa elita polityczna kraju.

NIE TYLKO ZAŁUŻNY

Szansę na zbudowanie silnego ugrupowania o profilu nacjonalistycznym ma niewątpliwie gen. Andrij Biłecki. Założyciel i pierwszy dowódca batalionu ochotniczego „Azow", walczącego w 2014 r. z separatystami. Pochodzi z rosyjskojęzycznego Charkowa. Tam jeszcze przed Euromajdanem działał w nacjonalistycznych bojówkach. „Azow" powstał na bazie organizacji Patriota Ukrainy, powiązanego ze Zrzeszeniem Narodowo-Socjalistycznym.

Ukraińcy bardziej boją się łapówkarstwa i demoralizacji urzędników niż fizycznego zagrożenia związanego bezpośrednio z wojną. Oburzenie na skorumpowanych polityków jest nieznacznie, ale jednak silniejsze niż strach przed Rosją

To był inny rodzaj nacjonalizmu niż ten z zachodu kraju, oparty na tradycji OUN-UPA. Wielu azowców mówiło po rosyjsku. Byli zwolennikami supremacji białej rasy, przeciwnikami imigracji z obcych kulturowo regionów, zachodniego liberalizmu i rosyjskiego imperializmu. Różnice rasowe były ważniejsze niż językowe. Nie odrzucali kultu Bandery i Szuchewycza (sam Biłecki, jako historyk z wykształcenia, pisał magisterkę o UPA), akcentowali jednak sympatię dla Rusi Kijowskiej. Szczególnie tej przedchrześcijańskiej, która skutecznie walczyła z Chazarami (jedyne nieżydowskie państwo, które oficjalnie przyjęło judaizm). Niechęć do Żydów łączyli z neopogaństwem – wyrazem tego ostatniego było ustanowienie Pomnika Peruna w garnizonie „Azowa" w Mariupolu.

Na bazie środowiska powstała niszowa partia polityczna Korpus Narodowy, postulująca m.in. powstanie Sojuszu Bałtycko-Czarnomorskiego na czele z Ukrainą i Polską. KN jako ugrupowanie wielkiej kariery nie zrobił. Sam Biłecki w latach 2014–2019 był niezależnym deputowanym do Rady Najwyższej. Polityka najwyraźniej nie była wówczas jego największa pasją, „wyróżniał się" bowiem fatalnie niską frekwencją podczas prac parlamentu. Po inwazji rosyjskiej zainicjował sformowanie broniących Kijowa oddziałów obrony terytorialnej pod szyldem „Azowa". Trzonem kadr byli niegdyś podlegli rozkazom Biłeckiego weterani walk na Donbasie oraz działacze Korpusu Narodowego.

Nie należy jednak mylić tej formacji z „Azowem", który zasłynął obroną Mariupola. Tu potrzebne jest wyjaśnienie. Biłecki założył „Azow" na bazie bojówek nacjonalistycznych i stał na jego czele na początku szlaku bojowego. Tego rodzaju bataliony ochotnicze uratowały Ukrainę, ale ich niezależność oraz szemrany charakter budziły obawy. Władze w Kijowie stopniowo więc „cywilizowały" te oddziały i podporządkowywały je swoim rozkazom. Stary, mariupolski „Azow" w momencie wybuchu wojny był już profesjonalną jednostką Gwardii Narodowej, rekrutującą żołnierzy niezależnie od ich poglądów, niewiele mającą wspólnego z własną nacjonalistyczną przeszłością. Biłecki próbował też pomóc swoim dawnym towarzyszom broni z Mariupola. We współpracy z HUR organizował desant lotniczy. Jego ludzie helikopterami dostarczali obrońcom oblężonego miasta pomoc i ewakuowali rannych.

Następnie nowy „Azow" wyzwolił Nowodariwkę i Wysznewe na Zaporożu. Batalion obrony terytorialnej rozrósł się do poziomu 3. Brygady Szturmowej, która brała udział w chersońskiej kontrofensywie, bitwach za Bachmut czy Awdijiwkę. W marcu 2025 r. na jej bazie powstał 3. Korpus Armijny. Generał Biłecki stworzył jeden z najbardziej znanych i najbardziej zasłużonych oddziałów Sił Zbrojnych Ukrainy. W 2024 r. został laureatem nagrody „Obrońcy", ufundowanej przez

eprasa.pl cf50c2f600

„Ukraińską Prawdę". Kilka tygodni temu SBU poinformowała, że Rosjanie szykowali zamach na Biłeckiego, co tylko umocniło autorytet generała jako jednego z największych bohaterów obecnej wojny.

Jednym z najpopularniejszych dowódców wojskowych jest inny „azowiec" – gen. Denys Prokopenko. Rocznik 1991, 12 lat młodszy od Biłeckiego. Kijowianin, ultras piłkarskiego klubu Dynamo Kijów. Do batalionu „Azow" zaciągnął się w 2014 r. Brał udział w walkach z separatystami. Trzy lata później stanął na czele tego oddziału, stając się najmłodszym dowódcą w historii Gwardii Narodowej i Sił Zbrojnych Ukrainy. Dowodził obroną Mariupola. Po kapitulacji dostał się do rosyjskiej niewoli, którą opuścił w ramach wymiany jeńców. Według ustaleń miał być internowany w Turcji do końca wojny, jednak już latem 2023 r. wrócił na Ukrainę i ponownie stanął na czele „Azowa", który stał się 12. Brygadą, a następnie 1. Korpusem w składzie Gwardii Narodowej. Korpus wsławił się m.in. zatrzymaniem rosyjskiej ofensywy na kierunku dobropolskim, gdzie w ciągu roku udało się zlikwidować wyrwę we froncie, głęboką na 20 km i szeroką na 15 km.

Inną zasłużoną jednostką jest 2. Korpus Gwardii Narodowej „Chartija", dowodzony przez płk. Ihora Obolenskiego. Podobnie jak „Azow" powstał na bazie brygady o tej samej nazwie. Niedawno przeprowadził skuteczne kontruderzenie, pozwalające ograniczyć zagrożenie dla Kupiańska, bardzo ważnego strategicznie miasta w obwodzie charkowskim. Obolenski, tak jak Prokopenko i Biłecki, walczył na froncie już w 2014 r. W 2019 r. odszedł z wojska i zajął się biznesem w branży rolniczej. Po inwazji rosyjskiej wrócił do armii. Nie wiadomo nic o jego poglądach politycznych.

Obok Załużnego najbardziej rozpoznawalnymi mundurowymi są Kyryło Budanow i Wasyl Maluk. Przy czym Budanow kilka miesięcy temu zamienił mundur dowódcy HUR na garnitur szefa Biura Prezydenta. Maluk wciąż stoi na czele SBU. Obaj cieszą się sławą skutecznych szefów służb specjalnych. Na polu dywersji Kijów jest jeszcze bardziej efektywny niż na polu bitwy, o czym świadczą spektakularne akcje, przeprowadzane daleko na tyłach wroga.

12–18 marca firma SOCIS przeprowadziła sondaż dotyczący ewentualnych wyborów prezydenckich i parlamentarnych. W wyścigu o fotel głowy państwa Zełenski (29,3 proc.) nieznacznie wygrywa z Załużnym (25 proc.), podium zaś zamyka Budanow (10,5 proc.). Biłecki zdobyłby 3,1 proc. głosów. W ewentualnej walce o mandaty deputowanych do Rady Najwyższej dwa pierwsze miejsca zajęłyby nieistniejące partie Załużnego (14,5 proc.) oraz Budanowa (10,6 proc.). W rankingu znalazło się też miejsce dla dwóch ugrupowań, złożonych z żołnierzy. Hipotetyczna partia „Azow" mogłaby liczyć na wynik 4,1 proc., a hipotetyczna partia „3. Szturmowa" – 3,4 proc.

PARTIA WOJNY

Trzeba być bardzo ostrożnym, prognozując polityczną przyszłość Ukrainy. Można jednak postawić kilka tez, z których wynika, że Kijów czekają radykalne zmiany. Po pierwsze, we wszelkich rankingach popularności armia miażdżąco wygrywa z innymi instytucjami państwa. Ukraińcy niemal bezgranicznie ufają żołnierzom. Po drugie, to jednak raczej nie oznacza, że przejmą władzę siłą. Jedynym popularnym dowódcą wojskowym, który w pewnym momencie zaczął nieśmiało krytykować rządzących, był Załużny. Ale i on w tej krytyce nigdy nie posunął się do sugerowania, że jego dawni towarzysze broni powinni siłą sięgnąć po władzę.

Na Ukrainie powszechne jest przekonanie, że wojna nie jest dobrym czasem na twarde polityczne rozliczenia

Na Ukrainie powszechne jest przekonanie, że wojna nie jest dobrym czasem na twarde polityczne rozliczenia. Ten czas może jednak nadejść nazajutrz po tym, jak ucichną działa. Wtedy ruszy ostra walka o głosy. Walka, ale nie przewrót zbrojny. Armia jest na tyle popularna, że nie musi sięgać po ten ostateczny argument. Właśnie odpowiedzialność za państwo wydaje się jedną z tych cech, które Ukraińcy w szeregach sił zbrojnych doceniają najbardziej. Żołnierze, w odróżnieniu od polityków, po prostu wykonują swoją robotę. Andrij Biłecki stwierdził niedawno, że gdyby Ukraina przez 10 lat przygotowywała się do pełnoskalowej wojny, to dziś linia frontu przebiegałaby na granicy z Rosją. To jedna z nielicznych wypowiedzi popularnego dowódcy wojskowego, którą można zinterpretować jako krytykę władz. Zresztą słowa te nie są zarzutem pod adresem Zełenskiego (który rządził jedynie przez część tego okresu), ale pod adresem całej klasy politycznej.

Po trzecie, powstanie potencjalnej partii wojskowych po wojnie jest niemal pewne. Grzechem byłoby zmarnowanie tak wielkiego potencjału zaufania społecznego. Po czwarte, jeśli na czele takiego ugrupowania stanie Biłecki, to łatwo przewidzieć, że pójdzie ono w kierunku skrajnie nacjonalistycznym, choć przy tym antyrosyjskim i raczej prozachodnim. Po piąte, nie wiadomo, czy sprawni dowódcy wojskowi będą równie sprawnymi politykami. W związku z tym, po szóste, wojskowa junta nie jest wcale wykluczona. W ewentualnych wyborach wojskowi mogą zdobyć władzę w sposób demokratyczny, ale widząc poziom korupcji i degeneracji klasy urzędniczo-politycznej, mogą zechcieć rozprawić się z patologiami (a także z rywalami) twardą ręką. I rządy takiej właśnie twardej ręki zaprowadzić. Po szóste, nie jest powiedziane, że powstanie jedna partia mundurowych. Może ich powstać kilka. Łatwo sobie wyobrazić, że Biłecki czy Prokopenko w przyszłości stworzą ze swoich podkomendnych nie tyle nawet partie, ile prywatne armie. A wtedy polityczna rywalizacja między nimi może stać się rywalizacją paramilitarną. Po siódme jednak, dopóki trwa wojna z Rosją, dopóty właśnie na niej skupiają się wojskowi dowódcy. Nie ma wiarygodnych danych, można jednak zakładać, że ukraińscy żołnierze i ich dowódcy, jakkolwiek zmęczeni wojną, nie chcą zrezygnować z tego, o co walczą od ponad czterech lat, i nie wyobrażają sobie zakończenia konfliktu zgniłym kompromisem. To właśnie wojna daje im poparcie społeczeństwa. Partia wojskowych nie będzie więc partią pokoju, tylko partią wojny właśnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cf50c2f600

FOT. PETA DEUTSCHLAND/FACEBOOK

W OBRONIE ZWIERZĄT

Organizacja PETA (Ludzie na rzecz Etycznego Traktowania Zwierząt) zaapelowała do kleru katolickiego, żeby w Wielką Sobotę zaprzestał święcenia jaj i święcił wyłącznie produkty roślinne. Wysunięty został argument, że produkcja jaj wiąże się z cierpieniem zwierząt i stoi w sprzeczności z chrześcijańskim przykazaniem miłowania bliźniego. PETA zaproponowała zastąpić jaja m.in. wypiekami wegańskimi.

PALIWO W REKLAMÓWKACH

Kryzys paliwowy prowadzi do aktów desperacji. Na jednej z brytyjskich stacji paliw nagrano kobietę, która nalewała z dystrybutora płyn napędowy do plastikowych reklamówek. Następnie torby pakowała do bagażnika samochodu, nic sobie nie robiąc z niebezpieczeństwa wycieku i łatwopalności substancji. Wideo trafiło do Internetu i przekroczyło 10 mln wyświetleń. Internauci nie kryją konsternacji.

CIOS MASZYNY

Podczas pokazu tańczących maszyn humanoidalnych w prowincji Shaanxi w Chinach robot uderzył w twarz chłopca. Zanim do tego doszło, maszyna już raz wykonała niebezpieczny ruch – obracając się, niemal trafiła dziecko metalowymi kończynami, ale wówczas zdążyło się ono odsunąć. Za drugim razem jednak nastąpił celny cios. Na szczęście obyło się bez poważnych obrażeń. Niemniej organizatorzy pokazu nie zadbali o zachowanie odpowiednio bezpiecznej odległości między widzami a robotami.

PRECEDENS

Sąd w Los Angeles orzekł, że 20-latce należy się odszkodowanie od Mety i Google w wysokości 6 mln dol. tytułem negatywnego wpływu mediów społecznościowych na jej zdrowie. Sędziowie uznali, że firmy te celowo projektowały platformy, które wywołały u niej depresję i inne dolegliwości. Wyrok uchodzi za precedens i otwiera drogę do wielu podobnych spraw w USA. Meta i Google zapowiedziały wniesienie apelacji.

Z DZIECKIEM NA KOLANACH

We Freital (Saksonia) policja zatrzymała furgonetkę, której kierowca jechał z dziewięciomiesięcznym dzieckiem na kolanach. W samochodzie nie było fotelika dziecięcego. Ponadto w przestrzeni na nogi pasażera stróże znaleźli psa, a więc zwierzę było przewożone bez jakichkolwiek zabezpieczeń. Wreszcie kierowca nie posiadał ważnego prawa jazdy. Grozi mu kilka postępowań o wykroczenia administracyjne. © ®

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Robotaksówki coraz bliżej

Pod koniec marca w stolicy Arabii Saudyjskiej oficjalnie otwarto nowy szlak dla samochodów autonomicznych (robotaksówki będą wozić pasażerów na trasie między Riyadh Gallery a Hayat Mall). Saudowie konsekwentnie inwestują w autonomiczne technologie, dążąc do realizacji ambitnej „Wizji 2030", w ramach której do 2030 r. co najmniej 15 proc. transportu publicznego będzie działać autonomicznie.

Uruchomienie nowej trasy zostało poprzedzone testami, w ramach których autonomiczne samochody wykonały 1,7 tys. kursów, pokonały ok. 30 tys. km i przewiozły ponad 3 tys. pasażerów.

W Rijadzie od miesięcy trwają zaawansowane testy nie tylko robotaksówek, lecz także autonomicznych minibusów czy robosweeperów (czyli pojazdów sprzątających ulice, które działają przez całą dobę bez udziału człowieka, korzystając z zaawansowanych technologii AI). Autonomiczne taksówki są też coraz popularniejszym widokiem w Zjednoczonych Emiratach Arabskich (w Dubaju jeździ już mniej więcej setka pojazdów bez kierowców, do których można wsiąść po podaniu jednorazowego hasła).

Robotaksówki – które w Chinach czy USA powoli powszednieją – mają wkrótce wjechać na Stary Kontynent. Projekt stworzenia „pierwszej autonomicznej taksówki" w Europie ogłosiły w ubiegłym tygodniu trzy spółki: Uber, Verne oraz Pony AI. Autonomiczne auta mają w najbliższych miesiącach zadebiutować w stolicy Chorwacji. Pony.ai zapewni autonomiczne auta, Verne będzie właścicielem floty, a Uber zintegruje usługę z własną globalną siecią przewozową. Testy w Zagrzebiu już ruszyły. A kiedy robotaksówki pojawią się w Polsce?

eprasa.pl cf50c2f600

Ludzkość wraca na Księżyc

Jacek Przybylski

Ponad pół wieku po ostatniej misji księżycowej w ramach programu Apollo NASA ludzie znów wyruszyli w stronę Księżyca. Największe mocarstwa wznowiły bowiem nie tylko wyścig zbrojeń, lecz także rywalizację o kosmiczne wpływy, surowce i gigantyczne pieniądze

W środę 1 kwietnia (w Europie był już wówczas 2 kwietnia) oczy całego świata znów zwrócone były w stronę nieba, a dokładniej w stronę kompleksu startowego 39B w Centrum Kosmicznym NASA. Wprawdzie w ramach misji Artemis II statek kosmiczny nie wyląduje na Księżycu, ale pierwsza załogowa wyprawa w kierunku Srebrnego Globu i tak bez wątpienia jest historycznym wydarzeniem. Od czasu słynnej misji Apollo 17 z 1972 r. człowiek nie opuszczał bowiem niskiej orbity okołoziemskiej. Celem 10-dniowej podróży kosmicznej jest okrążenie Księżyca w statku przypominającym wielkością minibusa oraz bezpieczny powrót na Ziemię (czyli jest to de facto odpowiednik misji Apollo 8, w ramach której trzyosobowa załoga w grudniu 1968 r. 10-krotnie okrążyła Srebrny Glob).

Misja Artemis II ma pozwolić na bliższe zbadanie procesów, które ukształtowały nasz układ planetarny (m.in. poprzez zebranie szczegółowych danych dotyczących księżycowej geologii). Tym razem astronauci będą bowiem przelatywać znacznie wyżej nad powierzchnią Księżyca niż uczestnicy misji Apollo – mogą zatem obserwować znacznie większe obszary Srebrnego Globu po niewidocznej z Ziemi stronie. Przede wszystkim misja Artemis II ma jednak umożliwić ponowne lądowanie człowieka na Księżycu poprzez przetestowanie najnowszych technologii kapsuły Orion w warunkach głębokiego Kosmosu, w tym sprawdzenie zaawansowanych systemów podtrzymywania życia, nawigacji, sterowania oraz komunikacji dalekosiężnej.

HISTORYCZNY LOT, HISTORYCZNA OFERTA PUBLICZNA

W misji Artemis II bierze udział czteroosobowa załoga, która składa się z dowódcy Reida Wisemana, pilota Victora Glovera, specjalistki misji Christiny Koch oraz drugiego specjalisty misji, Jeremy'ego Hansena z Kanadyjskiej Agencji Kosmicznej.

Marzenia o powrocie człowieka na Księżyc nie byłyby tym razem możliwe,

eprasa.pl cf50c2f600

Koszty prowadzonego od 2012 r. programu Artemis liczone są już w dziesiątkach miliardów dolarów
FOT. BILL INGALLS/NASA

gdyby nie udana współpraca publiczno-prywatna. Boeing, Northrop Grumman, Lockheed Martin, SpaceX czy Blue Origin – to tylko niektóre przedsiębiorstwa, z którymi NASA zawarła kontrakty na opracowanie najbardziej nowoczesnych technologii. Lądownik księżycowy Starship HLS, na którego pokładzie astronauci podczas misji Artemis IV zejdą na powierzchnię Srebrnego Globu, jest opracowywany przez firmę SpaceX. Modele księżycowych lądowników Blue Moon (bezzałogowy Mk1 oraz załogowy Mk2) rozwija również spółka Jeffa Bezosa. W misje kosmiczne zaangażowane są też spółki z różnych części świata. Od Japonii (Mitsubishi Heavy Industries rozwija rakietę H3, czyli główny japoński pojazd nośny do dostarczania ładunków dla przyszłych misji księżycowych) po kraje takie jak Polska (polskie firmy, takie jak Creotech Instruments, Vigo Photonics, Scanway, Eycore, Liftero czy SpaceForest, pracują m.in. nad detektorami podczerwieni, kamerami i systemami monitorowania do statków kosmicznych, systemami napędowymi, technologiami radarowymi, dostarczają również niezbędnych w Kosmosie specjalistycznych kamer czy teleskopów, a także tworzą w pełni odzyskiwalne rakiety, które służyć mają do obniżenia kosztu wynoszenia ładunków na granicę Kosmosu).

O wielkich interesach na Księżycu od lat otwarcie marzy najbogatszy człowiek w historii ludzkości: Elon Musk. Agencja Reuters oraz dziennik „The Financial Times" poinformowały w ubiegłym tygodniu, że kierowana przez Muska spółka SpaceX przygotowuje się do potencjalnie rekordowo dużego debiutu giełdowego (IPO). SpaceX nie tylko pracuje już bowiem nad rakietami wielokrotnego użytku (Falcon 9 i Falcon Heavy), lecz także planuje w niedalekiej przyszłości wystrzelić na niską orbitę okołoziemską milion satelitów, które pracowałyby jako orbitalne centra danych i zaspokajałyby rosnące zapotrzebowanie na moc obliczeniową niezbędną do rozwoju sztucznej inteligencji. I chociaż na razie brakuje oficjalnie potwierdzonych szczegółów dotyczących tej oferty – media spekulują, że SpaceX chce pozyskać w ramach oferty publicznej od 50 mld do 75 mld dol. – to w ubiegłym tygodniu na północ ruszyły już kursy innych spółek kosmicznych notowanych na giełdzie w USA, np. Intuitive Machines czy Planet Labs.

W czasach, gdy prywatni przedsiębiorcy dostarczają kluczowych rozwiązań, głównym płatnikiem pozostają rządy największych mocarstw. Koszty prowadzonego od 2012 r. programu Artemis liczone są już w dziesiątkach miliardów dolarów. Rakieta Space Launch System (SLS), najmocniejsza rakieta nośna, jaką kiedykolwiek zbudowano, kosztowała amerykańskich podatników co najmniej 30 mld dol. NASA mocno dba zatem o public relations. Końcowe przygotowania do startu załogowej misji można było śledzić na żywo nie tylko w telewizji, lecz także na internetowych kanałach streamingowych oraz w mediach społecznościowych NASA. Filmowego „zwiastunu" kosmicznej podróży nie powstydziłoby się wielu reżyserów z Hollywood. „Cudowna akcja. Przygoda. Artemis II ma wszystko. Nie przegap tej chwili" – kusiła amerykańska agencja kosmiczna, zachęcając internautów do obserwowania historycznych chwil na żywo na kanałach NASA. I kusiła skutecznie, bo tylko na kanale YouTube obserwujących start było ok. miliona.

GLOBALNY WYŚCIG

Kosmiczne loty w mediach przedstawiane są często w charakterze ciekawostki rodem z science fiction, ale Kosmos od kilkunastu lat znów staje się jednym z najważniejszych obszarów strategicznej rywalizacji największych mocarstw.

Plan powrotu na Księżyc w ramach programu Vision for Space Exploration ogłosił jeszcze w roku 2004 prezydent George W. Bush. W 2017 r. Donald Trump podpisał zaś Space Policy Directive-1 – dokument, który oficjalnie nakazywał NASA skoncentrować działania na eksploracji załogowej i bezzałogowej, której celem miało być lądowanie na Księżycu „w najbliższych latach".

W ramach misji Artemis I w 2022 r. ogromna rakieta księżycowa NASA wyniosła kapsułę Orion w 25-dniową misję wokół Księżyca. Misja zakończyła się sukcesem, ale ujawniła poważne niedociągnięcia w budowie osłony termicznej kapsuły Orion. Niestety, administracja Joe Bidena nie stawiała kosmicznych misji wysoko na liście priorytetów.

Dla Donalda Trumpa – zwłaszcza podczas jego drugiej kadencji – powrót na Księżyc należy do najważniejszych zadań, które stawiają przed sobą Stany Zjednoczone. Chce on bowiem zapisać się na kartach historii jako prezydent, za którego kadencji Amerykanie powrócili na Księżyc.

Jeśli misja Artemis II zakończy się sukcesem, to już w połowie przyszłego roku ma wystartować Artemis III. Historyczny powrót człowieka na Księżyc, wraz z ponownym lądowaniem na Srebrnym Globie, ma się odbyć w ramach misji Artemis IV. Jej start przewidziany jest już na początek 2028 r. A już od 2029 r. Amerykanie planują rozpoczęcie fazy budowy

eprasa.pl cf50c2f600

podstaw stałej bazy, wyposażonej we własne systemy zasilania, łączności etc. Termin rozpoczęcia długotrwałych misji załogowych na Księżycu to rok 2036. Koszt dostarczenia stałej bazy, w tym dostarczenia modułów mieszkalnych, szacowany jest na 20–30 mld dol.

Aby ten ambitny harmonogram rzeczywiście został zrealizowany, potrzebnych będzie wiele cudów. Tymczasem czasu na ewentualne opóźnienia Amerykanie nie mają zbyt wiele. Do roku 2030 pierwszych astronautów na Księżyc chcą bowiem wysłać Chiny, które rozwijają już rakiety Long March, a także budują stację kosmiczną Tiangong. Chińczykom udało się już prześcignąć Amerykanów, gdy jako pierwsi w historii wylądowali po niewidocznej z Ziemi stronie Srebrnego Globu, umieszczając na powierzchni Księżyca lądownik wraz z małym łazikiem Yutu-2 w ramach misji Chang'e 4. Potem zrobili to jeszcze raz, gdy w ramach misji Chang'e 6 pobrali próbki z niewidocznej strony Księżyca. Latem obecnego roku planowany jest start kolejnej chińskiej księżycowej misji: Chang'e 7. Chińska Narodowa Agencja Kosmiczna (CNSA) wspólnie m.in. z rosyjskim Roskosmosem, a także przedstawicielami takich krajów jak Azerbejdżan, Białoruś, Serbia, Egipt czy Pakistan pracują również nad budową Międzynarodowej Stacji Badań Księżyca (ILRS), która ma powstać na powierzchni Srebrnego Globu do roku 2035. W kosmicznym wyścigu udział biorą również Indie, które pierwszą misję załogową na Księżyc planują na rok 2040.

MILIARDY NA SREBRNYM GLOBIE

– Wracamy na Księżyc, bo to krok w naszej podróży na Marsa – mówi wprost jeden z astronautów na zwiastunie wyprodukowanym przez NASA. Christina Koch, jedyna kobieta wśród załogi, podkreślała zaś podczas jednego z niedawnych wystąpień, że Księżyc stanowi swoiste archiwum początków Układu Słonecznego. Właśnie tam możemy szukać odpowiedzi na pytanie o istnienie życia poza Ziemią – podkreśliła. Jednocześnie dane zgromadzone dzięki eksploracji Srebrnego Globu mogą służyć za punkt wyjścia do planowania załogowej misji na Marsa.

Według prognoz PwC przychody z gospodarki księżycowej do 2050 r. mogą wynieść nawet 127 mld dol.

Zanim człowiek wyruszy na podbój Czerwonej Planety, to na Księżycu ludzkość przetestować musi nowoczesne systemy długotrwałego podtrzymywania życia. Na Srebrnym Globie trzeba również nauczyć się jak najlepszego wykorzystania lokalnych zasobów. Właśnie dlatego zarówno Amerykanie, jak i Chińczycy z Rosjanami chcą budować bazy na biegunie południowym, gdzie w kraterach znajduje się lód. Z lodu można zaś uzyskać nie tylko wodę pitną, lecz także tlen do oddychania oraz paliwo rakietowe. Stała obecność ludzi na Księżycu ma służyć nie tylko podbojowi Marsa czy realizacji geopolitycznych celów, lecz także dać Ziemianom zarobić ogromne pieniądze.

Według prognoz firmy konsultingowej PwC potencjalne przychody z gospodarki księżycowej do roku 2050 mogą wynieść od 93,9 mld dol. do 127 mld dol. To więcej, niż wynosi wartość rocznego PKB wielu krajów na Ziemi. Zakładana skala inwestycji waha się w tym samym okresie od 72 mld do 88 mld dol. „Księżyc – jak czytamy w raporcie – szybko staje się potencjalnym centralnym punktem przyszłej globalnej aktywności gospodarczej w Kosmosie".

Eksperci z NASA i różnych prywatnych firm konsultingowych badając kluczowe źródła przyszłych kosmicznych przychodów, wskazują m.in. na turystykę księżycową oraz wydobycie surowców. Na Księżycu występują m.in. bardzo cenne pierwiastki i minerały. Jednym z nich jest ilmenit, który jest mieszaniną trzech pierwiastków (żelaza, tytanu i tlenu) przydatnych np. do budowy stałych załogowych baz księżycowych. A także księżycowych fabryk. Srebrny Glob jest również bogaty w kluczowe dla produkcji współczesnej elektroniki metale ziem rzadkich, a także w glin, tytan i żelazo. Księżyc to również źródło wartościowego helu-3, który może stać się paliwem używanym w reaktorach elektrowni termojądrowych. Ten wartościowy pierwiastek jest obecnie ekstremalnie drogi, ponieważ na Ziemi występuje w ilościach śladowych. Tymczasem na Księżycu jest on stosunkowo powszechny.

W raporcie zaprezentowanym przez World Economic Forum oraz McKinsey & Company w 2024 r. prognozowano, że niższe koszty i lepszy dostęp do technologii kosmicznych, takich jak komunikacja, nawigacja etc., mogą zwiększyć wartość kosmicznej gospodarki do 1,8 bln (!) dol. do 2035 r.

Na Księżycu powstać mogą również nowoczesne fabryki, bazujące na technologii druku 3D z użyciem lokalnego regolitu, wykorzystujące takie zalety Srebrnego Globu jak mikrograwitacja czy brak zanieczyszczeń w atmosferze. Dzięki optymalnym warunkom panującym na Księżycu można zatem wyhodować np. idealnie czyste kryształy do półprzewodników (jak zauważa NASA, w warunkach mikrograwitacji kryształy wykazują też tendencję do zwiększania swoich rozmiarów). Rozwojowi księżycowego przemysłu ma służyć to, że podróż w jedną stronę zajmuje ok. trzech dni, a dzięki wykorzystaniu rakiet wielokrotnego użytku koszty transportu diametralnie spadają.

Elon Musk, który chciałby produkować na Księżycu m.in. satelity AI, ogłosił w lutym 2026 r., że SpaceX zamiast na planach kolonizacji Marsa skupi się teraz na budowie samodzielnego miasta na Srebrnym Globie. Ten ambitny cel – według najbogatszego człowieka na Ziemi – ma być możliwy do zrealizowania już w ciągu najbliższej dekady. „Najważniejszym priorytetem jest zabezpieczenie przyszłości cywilizacji, a na Księżycu da się to zrobić szybciej" – napisał na X Musk. Stałe bazy mogłyby budować roboty wykorzystujące zaawansowane algorytmy AI. Według innego miliardera Jeffa Bezosa miliony Ziemian mają zamieszkać w gigantycznych osiedlach orbitalnych już w ciągu najbliższych 20 lat. I chociaż do prognoz bogaczy nie zawsze należy się przywiązywać, to również zdaniem ekspertów można już sobie wyobrażać, że w dającej się przewidzieć przyszłości na Księżycu mieszkać i pracować będą tysiące, a być może nawet miliony Ziemian. Wyścig o Księżyc i jego bogactwa już teraz wchodzi zaś w decydującą fazę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cf50c2f600

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Bruksela zadłuża Polskę

Jak ktoś niedawno zauważył, w sporze o SAFE niewiele mniej (a może nawet dużo bardziej) ważne od tego, w jaki sposób finansować będziemy polskie zbrojenia, jest to, kto i w jaki sposób ma dziś prawo zadłużać Polskę; i to zadłużać na setki miliardów złotych i na całe dekady.

Jak się bowiem okazuje – polska konstytucja już w Polsce w tym zakresie (ale czy tylko w tym?) nie obowiązuje, a jeśli nawet jeszcze „trochę" obowiązuje, to już tylko jako akt podrzędny, bo nadrzędnymi są unijne traktaty, którymi z wielką dezynwolturą wywijają nad naszymi głowami „wspólnie i w porozumieniu" unijni urzędnicy i ich pomocnicy w (tym i poprzednim) polskim rządzie – zmuszając nas do zaciągania (i spłacania) jednego kredytu po drugim. Poręcznym wytrychem – pozwalającym włamywać się do skarbców państw UE, w tym Polski – stał się w ich rękach art. 122 Traktatu o funkcjonowaniu UE, który na potęgę jest używany do obchodzenia konstytucji państw UE.

No i, jak przekonują ludzie Tuska, dziś wystarczy zgoda rządu Tuska, by Polska mogła zostać zadłużona na, bagatela, niemal 200 mld zł w ramach unijnego długu SAFE, i żadnej ustawy ratyfikacyjnej, zaakceptowanej przez Sejm i Senat oraz prezydenta RP, do jego przyjęcia nie potrzeba – mimo że art. 89 Konstytucji RP jasno stanowi, iż „ratyfikacja przez Rzeczpospolitą Polską umowy międzynarodowej i jej wypowiedzenie wymaga uprzedniej zgody wyrażonej w ustawie, jeżeli umowa dotyczy […] znacznego obciążenia państwa pod względem finansowym". A z kolei art. 216 Konstytucji RP stanowczo stanowi, że państwowy dług publiczny nie może przekroczyć 60 proc. PKB, który to próg właśnie został, albo wkrótce zostanie, przekroczony.

Ale co tam premier Tusk (i cała jego Platforma/Koalicja) będzie się przejmował jakąś Konstytucją RP, skoro w jej łamaniu może liczyć na wsparcie PiS? Albowiem to przecież właśnie europosłowie PiS, i to nie dalej jak w lutym 2026 r., ręka w rękę z europosłami Platformy/Koalicji, zagłosowali w PE – także wbrew powyższym zapisom konstytucji – za narzuceniem Polsce (czyli polskim podatnikom) obowiązku spłacenia zaciągniętej przez UE dla Ukrainy pożyczki w wysokości 90 mld euro; do dziś nie wiadomo, ile z tych miliardów euro przypadnie do spłacenia Polakom.

A do tego nie zapominajmy, że tę furtkę do obecnego, już stałego zadłużania państw UE – w tym Polski – przez Komisję Europejską (i warunkowości w wypłacaniu transz z tych kredytów) pomógł wyłamać Brukseli (czyli Berlinowi) – w 2020 r. nie kto inny, jak premier Morawiecki z PiS, radośnie akceptując tzw. Krajowy Plan Odbudowy (KPO) – „odbudowy" gospodarki po „pandemii" COVID-19… ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Idzie dobrze

W czasach już trochę odległych, gdy Polska wychodziła z komuny i otwierało się wiele możliwości, lecz nie wszystkim udawało się z nich skorzystać, funkcjonowali w mediach (nie było jeszcze Internetu, więc mowa o gazetach i telewizji) doradcy od osiągania celów. Jedną z udzielanych przez nich nagminnie rad było, aby głośno powtarzać sobie np. „będę bogaty", a wtedy na pewno za jakiś czas ten plan się zrealizuje. Nigdy nie widziałem zestawienia pokazującego, jaka część powtarzających sobie co dzień „będę bogaty" faktycznie dorobiła się bogactwa, coś mi jednak mówi, że nie był to odsetek znaczący.

Samozadowolenie Donalda Trumpa jakoś rynków nie przekonało. Kurs ropy Brent skoczył ze 100 na ponad 107 dol.

Te ciekawe praktyki raczkującego doradztwa personalnego przypomniały mi się w kontekście mocno oczekiwanego wystąpienia Donalda Trumpa, które miało miejsce w nocy ze środy na czwartek polskiego czasu w ubiegłym tygodniu. Spodziewano się konkretów w sprawie zakończenia wojny, w kwestii odblokowania cieśniny Ormuz, a także sytuacji NATO, które nie spełniło oczekiwań Waszyngtonu i nie stawiło się tłumnie w celu pomocy w ogarnięciu bałaganu na Bliskim Wschodzie. Nic takiego jednak w przemówieniu się nie pojawiło.

Za to amerykański prezydent sprawiał wrażenie, jakby nasłuchał się porad wspomnianych konsultantów. Dowiedzieliśmy się więc, że wojna idzie wspaniale, że właściwie jest na ukończeniu, a jeśli Irańczycy się nie podporządkują – choć właściwie nie bardzo wiadomo, co miałoby to konkretnie oznaczać – to USA tak walną w Iran, że im perskie laczki pospadają. Bo, jak wiadomo, na razie Ameryka miarkowała uderzenia.

Samozadowolenie Donalda Trumpa jakoś rynków nie przekonało. Wkrótce po przemówieniu kurs ropy Brent skoczył ze 100 na ponad 107 dol.

Ciekawe, na jakie nowe poziomy skoczy kurs polskiej partii dozgonnych wielbicieli Donalda Trumpa. Jeden z jej przedstawicieli, Mariusz Błaszczak, przekonywał niedawno w jednej ze stacji radiowych, że „Izrael stoi po jasnej stronie mocy". Zakładam, że sukces sondażowy „polskiego MAGA" będzie równie imponujący, co sukces republikanów w jesiennych wyborach połówkowych. ©℗

eprasa.pl cf50c2f600

Freudowska pomyłka Białego Domu

Andrzej Solecki

Amerykańskie zainteresowanie eksploatacją zasobów Antarktydy może spotkać się z reakcją Rosji, która podobnie jak USA dotychczas nie zgłosiła roszczeń, ale swoje ewentualne roszczenia może opierać na fakcie, że kontynent ten został odkryty 27 stycznia 1820 r. przez ekspedycję rosyjskiego żeglarza Fabiana Bellingshausena, wysłanego przez cara Aleksandra

23 stycznia 2026 r. ukazała się na koncie Białego Domu w mediach społecznościowych grafika przedstawiająca pingwina prowadzącego Donalda Trumpa w stronę gór ozdobionych grenlandzką flagą. Wywołała ona serię kpiących komentarzy zarzucających prezydentowi USA nieznajomość faktu, że pingwiny nie występują w Arktyce, lecz na półkuli południowej, głównie w Antarktyce. Można jednak podejrzewać, że była to freudowska pomyłka związana z planami ekspansji USA na półkulę południową.

Podejrzenie to wynika z faktu, że kilka dni później, na Ziemi Ognistej, w portowym mieście Ushuaia wylądował samolot Sił Powietrznych USA, na którego pokładzie znajdowała się dwupartyjna delegacja amerykańskich parlamentarzystów, powiązanych z Komisją Energii i Handlu. Wizyta obejmowała działania związane ze środowiskiem naturalnym i surowcami krytycznymi. Lądowanie to wzbudziło kontrowersje w politycznych sferach argentyńskiej prowincji Ziemi Ognistej, Antarktydy i Wysp Południowego Atlantyku. Wprawdzie rzeczywisty zasięg prowincji obejmuje tylko wschodnią część Ziemi Ognistej i wyspę Estados oraz niewielkie przyległe wyspy, to jej nazwa podkreśla roszczenia Argentyny do brytyjskich terytoriów zamorskich: Malwinów/Falklandów, Georgii Południowej i Sandwich Południowego oraz do fragmentu Antarktydy, który pokrywa się z roszczeniami brytyjskimi i chilijskimi.

Niespełna dwa tygodnie później, 4 lutego 2026 r., Argentyna i USA podpisały The Framework Instrument for Securing Supply in the Mining and Processing of Critical Minerals – umowę wartości 130 mld dol. w sprawie minerałów krytycznych. Umowa ta zapewnia Argentynie dostęp do amerykańskich technologii, kapitału i rynku i uniezależnia ten kraj od chińskiego nabywcy. USA zyskują cennego partnera dostawcę w konkurencji z Chinami o zasoby surowcowe.

WALKA O ZASOBY DNA OCEANICZNEGO

Należy pamiętać, że w 1982 r. Argentyna bezskutecznie próbowała realizować swoje roszczenia terytorialne na Falklandach, skolonizowanych uprzednio przez Brytyjczyków. Po stronie argentyńskiej zginęło 649 żołnierzy, po stronie brytyjskiej – 255. Wbrew oczekiwaniom wielu Argentyńczyków USA, oficjalnie neutralne, potajemnie udzieliły wtedy wsparcia logistycznego Wielkiej Brytanii. Ewentualne amerykańskie wsparcie dla argentyńskich roszczeń mogłoby się spotkać z przychylnością krajów Ameryki Południowej i zostać odczytane jako powrót do XIX-wiecznej tradycji wspierania ruchów wyzwoleńczych w koloniach, wynikającej z pierwotnej wersji doktryny Monroego. Była ona początkowo odbierana pozytywnie przez kraje Ameryki Południowej. Od roku 1904 zaczęła być postrzegana jako narzędzie amerykańskiej hegemonii i ekspansjonizmu. Wynikało to z wprowadzenia przez prezydenta Theodore'a Roosevelta do tej doktryny stwierdzenia, że chroniczne wykroczenia lub bezsilność, skutkujące ogólnym rozluźnieniem więzów cywilizowanego społeczeństwa, mogą zmusić Stany Zjednoczone do skorzystania z międzynarodowej władzy policyjnej.

Konflikt o Falklandy podsycany jest walką o zasoby dna oceanicznego wokół tych wysp. Od 2010 r. nastąpiło pogorszenie relacji brytyjsko-argentyńskich z powodu prowadzenia przez brytyjską firmę Desire Petroleum poszukiwań ropy na szelfie Falklandów, ok. 100 km na północ od wysp. W lutym 2010 r. rząd Argentyny ogłosił, że statki pływające przy Falklandach, Georgii Południowej i Sandwich Południowym będą musiały ubiegać się o zezwolenie argentyńskie. Desire Petroleum razem z Rockhopper Exploration oraz Falkland Oil and Gas Limited

eprasa.pl cf50c2f600

FOT. ADOBE STOCK

kontynuowały jednak poszukiwania. Ostatnia z tych firm 30 kwietnia 2014 r. w swoim rocznym raporcie stwierdziła, że ustawa o węglowodorach uchwalona przez rząd Argentyny nie ma zastosowania do Falklandów ani otaczających je wód, a zatem jest niezgodna z prawem. Wszelkie egzekwowanie argentyńskiego ustawodawstwa krajowego w odniesieniu do szelfu kontynentalnego Falklandów stanowi bezprawne powoływanie się na jurysdykcję eksterytorialną. Działania Argentyny są sprzeczne z Konwencją Narodów Zjednoczonych o prawie morza. Stanowią one również bezprawną ingerencję w prawo mieszkańców Falklandów do samostanowienia, zagospodarowania zasobów węglowodorów oraz pokojowego rozwoju gospodarki, wynikające z Karty Narodów Zjednoczonych.

18 kwietnia 2016 r. Falkland Oil and Gas Limited połączyła się z firmą Rockhopper Exploration, która pod koniec 2025 r. rozpoczęła wspólnie z izraelską firmą Navitas Petroleum przygotowania do uruchomienia pola Sea Lion, ocenianego na 800 mln baryłek. Argentyna natychmiast odrzuciła te plany, a argentyńskie MSZ stwierdziło, że Argentyna pogłębi swój plan działania, aby zgodnie z prawem międzynarodowym zastosować środki, które uzna za konieczne do ochrony swoich suwerennych praw i interesów.

POLSKA MA PRAWO GŁOSU

Tegoroczna styczniowa wizyta amerykańskich parlamentarzystów w Ushuaia rozpaliła kontrowersje polityczne pomiędzy rządem federalnym prezydenta Javiera Mileia a rządem prowincji Ziemi Ognistej i zwróciła uwagę na strategiczną rolę portu Ushuaia na południowym Atlantyku i Antarktydzie.

Prezydent Milei ostatnio przedstawił projekt przejęcia przez rząd federalny rozbudowy bazy marynarki wojennej w Ushuaia, niezwykle istotnej w kontekście rywalizacji z Chinami o wpływy w Ameryce Południowej jako centrum logistycznego związanego z Dowództwem Południowym USA. Pretekstem stały się zarzuty Narodowej Agencji Portów i Żeglugi obejmujące niedociągnięcia w infrastrukturze i niewłaściwe zarządzania funduszami portu. Ponad 30 proc. dochodów portu miało być wykorzystane na pokrycie „deficytów i wydatków" prowincji pomimo przepisów, które wymagają reinwestowania tych pieniędzy w sam port, będący logistycznymi wrotami do Antarktyki.

Od 2010 r. nastąpiło pogorszenie relacji brytyjsko-argentyńskich z powodu prowadzenia przez brytyjską firmę Desire Petroleum poszukiwań ropy na szelfie Falklandów

Amerykańskie zainteresowanie eksploatacją zasobów Antarktydy może spotkać się z reakcją Rosji, która podobnie jak USA dotychczas nie zgłosiła roszczeń, ale swoje ewentualne roszczenia może opierać na fakcie, że kontynent ten został odkryty 27 stycznia 1820 r. przez ekspedycję rosyjskiego żeglarza Fabiana Bellingshausena, wysłanego przez cara Aleksandra I. Traktat antarktyczny z 1959 r., obejmujący wszystkie obszary lądowe i morskie na południe od 60. stopnia szerokości geograficznej południowej, i późniejszy Protokół madrycki z 1998 r. zezwalają jedynie na badania naukowe i zamrażają roszczenia terytorialne. Protokół madrycki może zostać zmieniony po roku 2048 przez trzy czwarte głosów spośród 29 państw/stron konsultacyjnych mających prawo głosu. Do tego czasu wszelkie zmiany wymagają jednomyślności. Polska jest jednym z tych państw, a najbliższe spotkanie konsultacyjne planowane jest już w tym roku w Japonii. Pozycja Polski jako strony konsultacyjnej wynika z faktu prowadzenia przez nasz kraj wymaganych badań w Antarktyce. Warto jednak podkreślić, że Polska ma również poważne tradycje historyczne. Car Aleksander I, który wysłał ekspedycję Bellingshausena, był wówczas nie tylko carem Rosji, lecz także królem pokongresowego Królestwa Polskiego. W pierwszej międzynarodowej wyprawie, zimującej u brzegów Antarktydy (na przełomie lat 1897 i 1898) brali udział dwaj Polacy: geolog Henryk Arctowski i meteorolog Antoni Dobrowolski. Arctowski był kierownikiem naukowym tej wyprawy, w której trakcie Roald Amundsen, późniejszy zdobywca Bieguna Południowego, zdobywał pierwsze doświadczenia polarne.

Doktryna Donroe (trumpowska aktualizacja doktryny Monroego) zakłada dominację USA na półkuli zachodniej, na której znajdują się zarówno Falklandy, jak i najłatwiej dostępna część Antarktydy (Półwysep Antarktyczny). Półwysep ten, objęty roszczeniami argentyńskimi, brytyjskimi oraz chilijskimi, jest przedłużeniem Andów i posiada znaczący potencjał surowcowy. Autor niniejszego tekstu miał przyjemność prowadzić badania geochemiczne na jednym z wystąpień mineralizacji miedziowej w tym rejonie. To, czy Polska zaprezentuje stanowisko probrytyjskie czy proamerykańskie na planowanym w dniach 11–21 maja br. spotkaniu konsultacyjnym w Hiroszimie, a zwłaszcza na spotkaniach po roku 2048, może okazać się istotne dla interesów amerykańskich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest geologiem, profesorem nauk o Ziemi, wykładowcą Uniwersytetu Wrocławskiego

W czyich rękach Traktat antarktyczny

29 państw mających prawo głosu w sprawach Traktatu antarktycznego to: Argentyna, Australia, Belgia, Brazylia, Bułgaria, Chile, Chiny, Czechy, Ekwador, Finlandia, Francja, Hiszpania, Holandia, Indie, Japonia, Korea Płd., Niemcy, Norwegia, Nowa Zelandia, Peru, Polska, Rosja, RPA, Stany Zjednoczone, Szwecja, Ukraina, Urugwaj, Wielka Brytania, Włochy.

eprasa.pl cf50c2f600

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Ja gorę!

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Podróżując przez dawną Polskę, łatwo napotkać można było pozostałości po żywiole, którego panicznie bali się ówcześni mieszkańcy jej miast i wsi. Pogorzeliska po pożarach. Miasta bowiem i zamki płonęły jak zapałki. Przyczynam były drewniana zabudowa, często ściśnięta w krętych uliczkach, powszechne używanie otwartego ognia i lekceważenie przepisów przeciwpożarowych. Niemal każde miasto polskie płonęło kilkakrotnie w czasach Rzeczypospolitej i mówiąc brutalnie – czasem pożar sprawiał, że odbudowywano je o wiele piękniejsze; w kształcie, który zachował się do dzisiejszych czasów.

Opisanie wszystkich wielkich pożarów przekracza ramy felietonu, opowiedzmy zatem o dwóch, których efekty widoczne są dzisiaj. Pierwszym była katastrofa ogniowa w Jarosławiu w nocy z 24 na 25 sierpnia 1625 r. Wówczas to trwał ogromny jarmark, na który ściągało do 20–30 tys. kupców z całej Europy, a na kilka tygodni miasto zamieniało się w jeden wielki bazar, sklepy zaś, czyli piwnice, składy i ulice, zapełnione były towarami. Były wśród nich tkaniny, korzenie, wina, skóry, kobierce, kosztowności, pszenica, sól i wyroby z metalu, począwszy od zegarów, a skończywszy na broni. Pożar wybuchł w nocy z 24 na 25 sierpnia tuż po północy, ponoć jednocześnie w czterech stronach miasta, co sprawiało, że podejrzewano podpalenie. Rynek wokół ratusza zabudowany był drewnianymi domami, więc ogień przenosił się błyskawicznie i zagroził budynkom murowanym. Spłonęło kolegium jezuickie, uszkodzony został Kościół św. Jana oraz Kościół Kolegiacki Wszystkich Świętych, ratusz, potem ogień przeniósł się na przedmieścia. Jak pisał Joachim Possel, lekarz nadworny króla Zygmunta III: „Nie ocalały nawet parkany dylowe i słupy dębowe od bramy zamkowej aż od bramy zamkowej, do kolegium Jezuitów, stamtąd zaś dalej do bramy pełkińskiej". W żywiole straciło życie ok. 300 ludzi, co gorsza, w mieście pojawili się rabusie, którzy korzystając z okazji, zaczęli łupić kamienice i składy kupieckie. W pożarze stracono ponoć towary o łącznej wartości ok. 10 mln zł, co odpowiadało prawie kilkuletniemu budżetowi Rzeczypospolitej, do której skarbu wpłynęło np. od 1649 do 1652 r. 12 mln zł. Tragedia była tak wielka, że Wawrzyniec Chlebowski napisał poemat „Lament żałosny na straszliwy pożar sławnego miasta Jarosławia", poświęcony pamięci przyjaciela, kupca Maurycego, który zginął w ogniu.

Odbudowa miasta rozpoczęła się szybko i zmieniła oblicze Jarosławia. Przede wszystkim zbudowano lub przebudowano wiele murowanych kamienic. Przykładem jest powstała w XVI w., ale odrestaurowana po pożarze kamienica Wilhelma Orsettiego, którą podziwiać można na rynku. Właścicielka miasta, księżna Anna Ostrogska, wprowadziła wiele zarządzeń przeciwpożarowych. Odtąd kamienice wznoszone miały być tak, aby stykać się ścianami, co poprawiło przepustowość ulic. Księżna oddała do dyspozycji mieszczan własną cegielnię i lasy.

Dawny Lublin płonął regularnie co kilka–kilkanaście lat. Pożary wybuchały w latach 1602, 1606, 1607, 1655, 1719 i 1768. Niezwykle groźny miał miejsce 2 czerwca 1719 r., kiedy w jeden z budynków dzielnicy żydowskiej przy ulicy Kowalskiej uderzył piorun. Druga wersja podaje, że doszło do zaprószenia ognia, być może od szabasowej świecy, gdyż był piątek. Płomienie przeniosły się do środka miasta, zapaliły się ulice: Grodzka, Złota, Rybna i całe podzamcze. Pożar strawił większość Lublina, zniszczeniu uległy stare, gotyckie kamienice. Od całkowitej zagłady uratowała miasto procesja urządzona przez oo. dominikanów, którzy nieśli relikwię Drzewa Krzyża Świętego. Ogień po prosu się zatrzymał, być może nagle spadł deszcz. Był to ogromny pożar – dość wspomnieć, że dotarł w okolice dzisiejszego Placu Litewskiego, gdzie znajdował się wówczas Kościół oo. Bonifratrów.

Jak gaszono pożary? To temat na osobny felieton. Dość wspomnieć, że władze miejskie wydawały odpowiednie rozporządzenia – wilkierze i porządki ogniowe, niestety, ten sporządzony przez księżnę Ostrogską w 1621 r. nie uratował Jarosławia. Zakazywały one budowy domów zbyt blisko zamku, nakazywały wszczynać alarm po zobaczeniu ognia, przyznawały odszkodowania za budynki wyburzone w celu powstrzymania płomieni. Do gaszenia używano wiader, beczek z wodą, bosaków i siekier do wyburzania zagrożonych przez ogień konstrukcji oraz namoczonych wodą płacht skórzanych do ochrony dachów. W XVI w. znano już pierwsze sikawki opisane przez matematyka i wynalazcę Jacques'a Bessona. W XVIII w. stosowane były ręczne jednotłokowe pompy. W Wilnie, po pożarze w 1542 r., zamówiono takich 100, w Warszawie wspominała o nich już uchwała rady miejskiej z 1548 r. ©℗

eprasa.pl cf50c2f600

JAECOO 7 SUPER HYBRID

FOT. JAP

Ten hybrydowy rodzinny SUV to starszy brat Omody 7 Super Hybrid, która niedawno miała swoją premierę nad Wisłą. Dlaczego warto rozważyć zakup Jaecoo 7 Super Hybrid? Jego największymi zaletami są zasięg (1200 km na pełnym baku i pełnej baterii), niskie zużycie paliwa (mimo potężnej bryły to auto spala średnio ok. 6 l/100 km), niezłe przyspieszenie (8,5 s od zera do 100 km/h), nowoczesny design (z charakterystycznym masywnym grillem), komfortowe wnętrze, świetne wyciszenie kabiny oraz atrakcyjna cena.

Chińska superhybryda to wymarzone auto dla ekstrawertyków, bo chociaż testowany model od kilkunastu miesięcy należy do czołówki najlepiej sprzedających się w Polsce SUV-ów typu Plug-In, to na parkingach wciąż czasem podchodzą ludzie, aby dopytać, jak się tym „dżejku" jeździ. W wersji Super Hybrid jest to zaś model dla osób, które nie chcą jeszcze odchodzić od klasycznego silnika benzynowego (lub diesla), ale chciałyby niższego spalania i cichego elektrycznego napędu. Pod maską Jaecoo 7 Super Hybrid pracuje silnik benzynowy 1.5 T-GDI o mocy 143 KM z maksymalnym momentem obrotowym wynoszącym 215 Nm. Jednostka ta wspierana jest przez dwa silniki elektryczne, które wytworzoną przez siebie energię przekazują do akumulatora o pojemności 18,3 kWh. Prędkość maksymalna jest ograniczona do 180 km/h.

W przestronnej kabinie miejsca jest mnóstwo. Wnętrze wykończono materiałami dobrej jakości. Wzrok przyciąga też gigantyczny ekran systemu multimedialnego (o przekątnej aż 14,8 cala). Wygodne fotele są elektrycznie regulowane. Są też wyposażone w opcję podgrzewania lub wentylowania. Wersja Exclusive ma na pokładzie dodatkowo dach panoramiczny, przyciemniane tylne szyby oraz elektrycznie otwieraną i zamykaną pokrywę bagażnika.

Sztywne zawieszenie sprawia wprawdzie, że auto nie przechyla się zbytnio podczas dynamicznej jazdy po serpentynach, ale jest też dość twarde podczas pokonywania przeszkód. W samochodzie mierzącym 450 cm długości i 186,5 cm szerokości większy mógłby być również bagażnik (500 l pojemności oznacza, że można do niego zapakować mniej więcej cztery walizki). Najbardziej irytuje jednak to, że większością ustawień – łącznie z ustawieniem bocznych lusterek – steruje się z poziomu systemu infotainment.

Jaecoo 7 Super Hybrid w standardowej wersji wyposażenia w ramach wyprzedaży rocznika 2025 można kupić za 150,9 tys. zł. Wariant Exclusive w tej samej promocji kosztuje 160,9 tys. zł. W obu przypadkach SUV ma napęd tylko na przednią oś (napęd 4 x 4 występuje jedynie w tradycyjnej wersji spalinowej). Gwarancja wynosi 7 lat/150 tys. km. Najważniejsze z punktu widzenia potencjalnego nabywcy wydaje się to, że marka konsekwentnie zwiększa w Polsce liczbę autoryzowanych punktów dilerskich i planuje nowe inwestycje. To zaś zwiększa szanse na sprawną obsługę posprzedażową.

KINGSTON IRONKEY VAULT PRIVACY 50C

Zaawansowane funkcje szyfrowania AES 256-bit, certyfikat FIPS 197, wytrzymała konstrukcja oraz łatwość obsługi – to największe zalety szyfrowanego pendrive'a renomowanej amerykańskiej firmy Kingston.

Żyjemy w niebezpiecznych czasach. Ataki hakerskie zdarzają się coraz częściej, a sztuczna inteligencja mocno ułatwia włamania i grozi utratą osobistych danych czy zdjęć (przekonał się o tym niedawno dyrektor FBI – hakerzy udostępnili m.in. jego prywatne zdjęcia). Szyfrowane pamięci (pendrive'y czy dyski zewnętrzne) chronią dane osobowe, tajemnice handlowe, projekty prototypów etc. przed nieautoryzowanym dostępem. Sprawdzą się podczas wyjazdu służbowego – gdy nie chcemy logować się do firmowej chmury, korzystając z wi-fi kawiarni czy hotelu. A także w sytuacji, gdy pliki z nową strategią firmy lub prywatnymi plikami zagubimy w metrze, taksówce czy w pociągu.

Do korporacyjnych potrzeb najlepiej dostosowane są pamięci z szyfrowaniem sprzętowym, gdzie klucz szyfrujący przechowywany jest na pendrivie. Na przykład testowany Ironkey Vault Privacy 50C. To pendrive w wodoodpornej obudowie (klasa szczelności IPX8), który zapewnia bezpieczeństwo klasy korporacyjnej dzięki 256-bitowemu szyfrowaniu sprzętowemu AES w trybie XTS (czytaj: z dodatkową warstwą zabezpieczeń przed hakerami). Pendrive jest zabezpieczony przed atakami typu BadUSB i brute force (czyli zautomatyzowanym sprawdzaniu wszystkich możliwych kombinacji znaków, haseł lub kluczy szyfrujących). Po 10 nieudanych próbach wpisania hasła administratora pendrive dokonuje kryptograficznego czyszczenia dysku. Co ważne, testowany model daje możliwość wprowadzenia wielu haseł złożonych (np. fragmentów tekstów ulubionych piosenek), co znacząco zwiększa szanse na odzyskanie dostępu do danych przez uprawnionego użytkownika, gdy zapomni akurat tego jednego, trudnego do odgadnięcia hasła. Plusem są też całkiem niezłe prędkości transferu danych (według producenta: odczyt 230 MB/s, zapis 150 MB/s, w naszych testach prędkości te były nawet o ok. 50 MB/s wyższe).

Minusy: Przydałaby się fabrycznie dołączana linka do pendrive'a (aby utrudnić jego utratę), a już na pewno jakaś forma przymocowania nakładki (bardzo łatwo jest ją zgubić).

Kingston Ironkey Vault Privacy 50C o pojemności 16 GB kosztuje 459 zł. Na 128 GB trzeba wydać 559 zł, a wariant o pojemności 256 GB kosztuje 850 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl cf50c2f600

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Dobry drób

Gdy mówimy drób – najczęściej myślimy: kurczak. Potem pojawia się nam w myślach kaczka, indyk, w końcu gęś.

Zubożała nam drobiowa kuchnia w XX w. bardzo.

W „Encyklopedii staropolskiej", na którą się powołujemy za Ryszardem Janem Czarnowskim i jego książką „Kuchnia polskich Kresów", napisano, że z ptactwa oprócz drobiu pojawiały się na polskim stole m.in. gęsi dzikie, dropie, cietrzewie, pardwy „na Rusi wielkości gołębia, kształtu zaś kuropatwy", kaczki dzikie, jarząbki, przepiórki, słonki, bekasy. Przyrządzano np. budyń z kury, kurę duszoną po ormiańsku z orzechami włoskimi, bażanta po staropolsku, gołębie w jabłkach, cietrzewie w winie oraz przepiórki pieczone.

Ślady hodowli kur i kaczek znaleziono nad Zbruczem na Podolu, a pochodzą one sprzed 1500 lat. Drób, szczególnie domowy, bardzo ceniono, bo był smaczny, łatwy w przygotowaniu i dostępny. Sprzyjano też jego naturalnemu rozmnażaniu, chroniąc jaja – swego czasu uważano zjedzenie jajka za marnotrawstwo, bo przecież mógłby z niego wykluć się kurczak. Dlatego też jaja wybierano z gniazd tylko do niezbędnych wypieków. Coś za coś – jajek mamy dziś pod dostatkiem, za to zniknęły z polskich stołów wyżej wymienione specjały z dzikiego ptactwa. Doceniając jednak delikatny smak, walory odżywcze i pewną oryginalność, chcemy zaproponować dzisiaj pieczone perliczki. Na okres poświąteczny będą idealne.

Perliczka pieczona to mięso o delikatnym posmaku dziczyzny. Jest doskonała po upieczeniu w piekarniku w temperaturze 180 st. C z dodatkiem ziołowego masła i aromatycznych przypraw. Należy uważać, aby nie przytłumić smaku delikatnego mięsa perliczki. Generalnie trzeba obchodzić się z nią delikatnie, warto nasmarować ją oliwą i nafaszerować kwaśnymi jabłkami, kawałkami cytryn lub pomarańczy.

FOT. ADOBE STOCK

Perliczka pieczona

• perliczka umyta i osuszona • 3 łyżki oliwy z oliwek • 1 łyżeczka soli i pieprzu • 1 łyżeczka papryki słodkiej • 1 łyżeczka majeranku i oregano • 1 duża łyżka miodu • 1 łyżka sosu sojowego • 1 pomarańcza • 1 cytryna • 4 łyżki masła

Umytą i osuszoną perliczkę natrzeć oliwą oraz przyprawami. Odstawić na minimum 1 godz. Piekarnik nagrzać na 180 st. C, do środka perliczki włożyć połówkę pomarańczy i połówkę cytryny. Piec ok. 50 min, następnie na ostatnie 10 min przygotować glazurę z sosu sojowego, miodu i soku z drugiej połowy owoców. Polać perliczkę i piec kolejne 10–15 min. Upieczoną perliczkę możemy podać z purée z ziemniaków i ze świeżą sałatą. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Sprzątanie odwołane

W naszej kulturze sprzątanie nigdy nie występowało w roli bohatera. Są jednak momenty, w których ten nielubiany przez ogół obrzęd ma swoje pięć minut. Piszę to jeszcze przed świętami – w czasie, gdy wokół słychać trzepanie dywanów, a w oknach widać sylwetki pań domu zapatrzonych w kryształ szyb.

Pomyślałam o tym, gdyż wpadła mi w ręce książeczka Marii Kondo „List z Japonii" („Lettre du Japon"). Świeżo wydana we Francji, zapewne w celu ożywienia już trochę zapomnianego poradnika tej autorki sprzed kilku lat. Była to „Magia sprzątania. Japońska sztuka porządkowania i organizacji", światowy bestseller, który jeszcze zanim został wydany w Polsce, przeleciał łamy czasopism poradniczych. Program „Sprzątanie z Marią Kondo" na Netflixie miał również solidne słupki oglądalności, szczególnie w godzinach porannych.

„Zostawiaj tylko rzeczy, które dają radość – taka była ówczesna dewiza Marii Kondo. Remanent, jak zapewniała wtedy, pozwala osiągnąć stan trwałego ładu, sukcesy zawodowe, nabrać pewności siebie, zyskać motywację i zapał do życia. Japońska ikona porządku i wytrawny psycholog przekonywała, że idealnie posprzątany dom pozwoli zakończyć toksyczny związek, schudnąć, wypięknieć i uwolnić się od lęku przed nieznanym.

Minęło parę lat. Japonka pisząca pierwszą książkę jako singielka ma dziś troje dzieci i jej stosunek do sprzątania się zmienił. I zmienił diametralnie.

Obecnie masowemu pozbywaniu się rzeczy, wyrzucaniu i dążeniu do minimalizmu pani Kondo mówi „nie". Przez te lata doszła do wniosku, że minimalizm nie jest tym, co zapewnia szczęście. „Chciałabym odwołać ideę minimalizmu" – mówi teraz. „Mój przekaz jest teraz inny: stwórz przestrzeń, w której będziesz odczuwać radość. Dla każdego będzie to co innego, ale nawet jeśli w domu jest dużo rzeczy, ale dają one radość, to jest dobrze".

Co za ulga! Mogę zatrzymać brzydki wazonik, który przypomina dawne czasy...

Rozumiem, że dyscyplina naukowa sprzątaniologii rozwija się dynamicznie. Ale żeby aż tak drastycznie zmienić zdanie? Można to wytłumaczyć tylko faktem, że sytuacja osobista autorki się zmieniła. „Czasami wolisz spędzać czas z bliskimi, niż sprzątać. Nauczyłam się tej umiejętności dzięki macierzyństwu. Długo mieszkałam sama i kontrolowałam wszystko wokół. Ale wraz z narodzinami każdego z moich trojga dzieci rzeczy, nad którymi nie mogłam zapanować, mnożyły się".

A więc jednak! Zwycięstwo materii nad duchem daje mi otuchę. ©℗

eprasa.pl cf50c2f600

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Cena wolności

W Trescore Balneario w Lombardii 13-letni uczeń w szkole tuż przed rozpoczęciem lekcji, na korytarzu, zaatakował nożem swoją nauczycielkę francuskiego. Uderzył ją w szyję. Drobną kobietę (57 lat) w ciężkim stanie przewieziono natychmiast helikopterem do szpitala. Tylko dlatego przeżyła.

Naturalnie wiadomość o ataku zszokowała cały kraj. Trafiła na pierwsze strony gazet i stała się głównym tematem dyskusji w wieczornych programach publicystycznych we wszystkich włoskich telewizjach. Naturalnie wypowiadały się wszystkie autorytety, minister edukacji, a nawet premier Giorgia Meloni.

Tę próbę zabójstwa, bo przecież o nic innego chodzić nie mogło, uczeń zaplanował w najdrobniejszych szczegółach. Co porażające, informował o swoich planach grupę rówieśników na Telegramie. Przed zamachem zamieścił na komunikatorze zdjęcie koszulki z napisem „Zemsta", którą miał na sobie podczas ataku, a także noża à la Rambo, który sobie sprawił, by zamordować nauczycielkę. Co więcej, opublikował swój „manifest", a także opisał swe zamiary: „Zabiję profesorkę od francuskiego. Wybór nie jest przypadkowy. Chciała mnie ośmieszyć w obecności całej klasy". Jak wynika z ponurych wynurzeń, chłopak całkowicie zdawał sobie sprawę, że jako 13-latek nie będzie za zbrodnię karany, a nawet chełpił się tym. Naturalnie podczas ataku powiesił sobie na szyi jako kamerę telefon komórkowy, dzięki któremu każdy członek grupy na Telegramie mógł śledzić na żywo przebieg dramatycznych wydarzeń.

Inne wpisy młodzieńca też jeżą włos na głowie: „Jedyne, co się liczy, to ja. Nikt inny się nie liczy. Żadne życie się nie liczy poza moim. Życie nie ma sensu, jeśli chcesz je przeżyć jak szczur lub niewolnik", „Chcę łamać zasady etyczne, moralne i prawne. One mnie ograniczają, a jeśli coś lub ktoś ogranicza moją wolność, to odczuwam to jako atak na moją autonomię. Gdy ktoś mi mówi, że mam czegoś nie robić, tym bardziej mam na to ochotę".

Gdy piszę te słowa, w telewizji leci reklama eleganckiego auta, a roznegliżowana dama nęci: „Poczuj smak nieograniczonej wolności!". Jest to przekaz, który w tej czy innej formie pojawia się w co drugiej włoskiej reklamie, jeśli nie częściej.

Profesor socjologii Mario Pollo na rzymskim uniwersytecie LUMSA skomentował: „Zniszczyliśmy dzieciństwo. Przez telewizje i media społecznościowe dzieci wchodzą w tej chwili bez przeszkód w język i informacje dla dorosłych. Nie mają czasu być dziećmi. Od razu stają się jak dorośli: nie mają wstydu, nie respektują nikogo i niczego". ©℗

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Kukułcze jajo kibiców

Z nieukrywaną satysfakcją media sprzyjające rządowi odnotowały, że na meczach, na których pojawia się prezydent Nawrocki, od pewnego czasu pojawiają się nieprzyjazne mu transparenty kibiców, a nawet gwizdy. Co takiego się dzieje? Czyżby prezydent, tak wspierany, ba – jak głosi wieść głównonurtowa – pochodzący ze środowisk kibicowskich, zraził nawet je do siebie?

Jest to numer znany, ćwiczony od dawna w Unii Europejskiej, importowany coraz częściej przez stronę liberalno-lewicową w Polsce. Mówiąc w skrócie, jest to połączenie kukułczego jaja z wylaniem dziecka z kąpielą. Kukułcze jajo polega na tym, że do w miarę potrzebnych i słusznych przepisów w danej regulacji dodaje się rzeczy stricte polityczne, ukrycie represyjne, realizujące agendę często nawet spoza przesłania danej ustawy. Za przykład (niejedyny) niech posłuży tu podobny proceder z zeszłego roku, w którym rząd do lobbystycznie wątpliwej ustawy mającej regulować kwestie odległości wiatraków od zabudowań włożył wyczekiwane regulacje mające zapewnić osłonę obywateli przed wzrostem cen energii.

Miało to postawić – i postawiło – prezydenta w sytuacji szantażu, że jak się nie zgodzi na podpisanie ustawy ewidentnie lobbowanej w Sejmie, to pozbawi Polaków osłony przed podwyżkami. Gdyby to prezydent podpisał, to wylałby dziecko z kąpielą, bo poszłaby w świat ustawa z kukułczym jajem „wiatrakowym".

Tu mamy podobne kukułcze jajo, tyle że z pewną subtelną różnicą. Rzeczone weto prezydenta dotyczyło nowelizacji Kodeksu postępowania karnego, w którym znalazło się kilka takich kukułczych jaj. Z tych najbardziej kontrowersyjnych, będących powodem kibicowskich protestów, była kwestia tymczasowego aresztowania. To, na mocy nowelizacji, miałoby być trudniejsze do zastosowania, co mogło spodobać się kibicom, środowisku prześladowanym wieloletnimi aresztami wydobywczymi. Nawrocki zawetował jednak to ograniczenie, argumentując, że obniżenie kryteriów kwalifikujących do tymczasowego aresztowania dałoby wolną drogę do bezkarności np. pedofilom czy szpiegom.

Procederu stosowania aresztów wydobywczych nie da się wyplenić kodeksowo, tylko praktycznie. Łatwość, z jaką sędziowie do aresztu wsadzają, a zwłaszcza taki areszt w nieskończoność przedłużają, to nie kwestia kodeksowa, ale efekt fenomenu politycznej podległości aparatu sprawiedliwości. I to trzeba wyplenić. Mamy więc tu do czynienia nie z kwestią ustawową, ale ustrojową. Wspomniana nowelizacja zaś jest de facto… ustawką mającą poróżnić prezydenta z popierającym go środowiskiem. ©℗

eprasa.pl cf50c2f600

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Hrabia Tołstoj (2.0)

Bardzo intrygującymi refleksjami podzielił się w swoim felietonie opublikowanym na portalu Teologia Polityczna jego publicysta Jan Rokita. Tekst zatytułowany „Popiersie Mitchella" poświęcony jest „aferze Epsteina".

Za punkt wyjścia swoich rozważań autor obrał los amerykańskiego polityka, 92-letniego dziś senatora George'a Mitchella. W roku 1989, jak zaświadcza Rokita, senator Mitchell pojawił się w Warszawie, gdzie „wyraził podziw dla polskiej pokojowej rewolucji, która inspiruje świat". Za prezydentury Billa Clintona Amerykanin zasłużyć się miał wielce w dziele rozwiązania konfliktu w Irlandii. Senatora Mitchella spotykają dziś grube nieprzyjemności (jego nazwisko wyświetla się w aktach Epsteina 310 razy). Pozbawiono go honorowego obywatelstwa Belfastu, na miejscowym uniwersytecie obalono jego popiersie. Rokita widzi w takiej reakcji przejaw „cancel culture". Zarzuty wobec towarzyszy rozrywek Epsteina trywializuje, dostrzegając w nich objawy zepsucia rządzących – zjawiska starego jak świat. „Jedyna wina, jaką im bez wątpliwości udowodniono, to właśnie fakt znajomości ze słynnym stręczycielem; cała reszta, w tym zwłaszcza korzystanie przez nich z prostytutek Epsteina, jest tylko domysłem, choć domysłem ze wszech miar rozsądnym". Wina senatora Mitchella polegać miała na tym, że „tak samo jak oni podróżował samolotem Epsteina, nazywanym teraz »Lolita Express«, bywał na przyjęciach i wycieczkach, wymieniał z nim maile i zapewne również (choć do tego się nie przyznaje) korzystał z eleganckich prostytutek, jakimi dysponował Epstein. Ot, zwykłe życie liberalnej elity w czasach dekadencji, urozmaicane robieniem dużych interesów finansowych".

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Samego Epsteina nazywa Rokita „słynnym stręczycielem" lub „właścicielem luksusowego, mobilnego burdelu". Czy standardem wśród takich burdeli są profesjonalne systemy ukrytych kamer i serwerów archiwizujących, czyniące z rezydencji Epsteina studia nagraniowe wysokiej klasy? Jan Rokita „studyjnej" funkcji wzmiankowanych burdeli zdaje się nie dostrzegać, pomija także milczeniem zażyłe więzi łączące „słynnego stręczyciela" z nie mniej słynnym premierem Ehudem Barakiem, niegdysiejszym szefem agencji izraelskiego wywiadu wojskowego Aman.

Osoby, z którymi Epstein poznawał „członków liberalnej elity", określane są w tekście terminem „eleganckich prostytutek", „luksusowych prostytutek" lub po prostu „prostytutek Epsteina". W niedługim felietonie słowo „prostytutki" powtarza się kilkanaście razy. Ani razu nie pojawia się natomiast słowo „ofiara", o wiele bardziej stosowne, kiedy mówimy o kilkunastoletnich często dziewczynkach, wykorzystywanych przez zorganizowaną siatkę handlarzy ludźmi. Jan Rokita proponuje w swoim przewrotnym felietonie, by „zaprosić z Ameryki wszystkie prostytutki Epsteina" i usadzić je „na honorowych ławach senatu akademickiego" podczas uroczystego ustawiania w miejscu dawnego pomnika Mitchella „figury prostytutki, która ponoć miała z nim seks".

Jak zeznawała Virginia Giuffre, w wieku 17 lat „wypożyczana" przez Epsteina wpływowym mężczyznom: „Czułam się jak kawałek mięsa. Musiałam robić rzeczy, które sprawiały, że chciałam umrzeć. Byłam dzieckiem, które nie miało dokąd uciec, uwięzionym w systemie stworzonym przez potężnych dorosłych". Inna ofiara, gwałcona przez Epsteina i jego gości w wieku 14 lat, za jedyną „zapłatę" otrzymywała groźby i obietnicę pomocy w nauce. Najmłodsze zidentyfikowane ofiary miały 12 lat. „Fundusz Kompensacyjny", powołany po śmierci Epsteina, uznał za zasadne roszczenia 135 kobiet. Większość z nich w momencie zetknięcia ze „zwykłym życiem liberalnej elity" była dziećmi.

W amerykańskim systemie prawnym publiczne stygmatyzowanie nieletnich ofiar handlu ludźmi mianem „prostytutek" to gotowy materiał dla procesu o zniesławienie. Gdyby Jan Rokita opublikował swoje odrażające wywody w USA, wyrok sądu pozbawiłby go zapewne nie tylko znacznej części majątku, lecz także szans na jakiekolwiek honorowe popiersia. ©℗

eprasa.pl cf50c2f600

KRYSTIAN KRATIUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

System error?

Opinią publiczną wstrząsnęła sprawa pedofilii z Kłodzka, której szczegóły są tak wstrząsające, że lepiej ich tu nie powielać. Dowody w sprawie są niezbite, to setki filmów i zdjęć, a bestialski zwyrodnialec został skazany na 25 lat więzienia, a więc prawie najwyższy możliwy wymiar kary. Szybko zaczęto jednak zadawać pytania: Czy ćwierć wieku za kratami na koszt podatnika to aby nie zbyt mały wymiar kary? Czy facet nie powinien wisieć? Czy kara śmierci nie została wykreślona z Kodeksu karnego zbyt pochopnie?

W tych samych dniach, w których część polskiego komentariatu rozważała, czy nie należałoby przywrócić kary śmierci w kontekście dramatu z Kłodzka, w Hiszpanii „lekarze" podali 25-letniej dziewczynie śmiertelną truciznę

Takie dyskusje będą wracać co jakiś czas, zawsze gdy dojdzie do tak dramatycznych przypadków. To dobrze – debata nad tą kwestią nigdy nie powinna się skończyć, a emocje i motywacje wszystkich domagających się stryczka dla ludzi z premedytacją popełniających okropne zbrodnie są zrozumiałe. Ale godne szacunku są również powszechnie znane argumenty ludzi przekonujących, że kara śmierci nigdy nie powinna być stosowana.

Jednocześnie niestety w pełni zgodne z prawem odbieranie życia pozostaje w Unii Europejskiej na porządku dziennym. W tych samych dniach, w których część polskiego komentariatu rozważała, czy nie należałoby przywrócić kary śmierci w kontekście dramatu z Kłodzka, na drugim końcu Europy, w Hiszpanii, „lekarze" podali 25-letniej dziewczynie śmiertelną truciznę.

Sprawa Noelii Castillo Ramos szokuje. Oto 13-letnią dziewczynę państwo siłą odebrało rodzicom, gdy ci się rozeszli. Trafiła do ośrodka dla nieletnich, gdzie – według niepotwierdzonych oficjalnie informacji – miała stać się ofiarą molestowania przez nieco starszych od niej potomków imigrantów. Gdy miała już 18 lat, opuściła ośrodek, związała się z mężczyzną, który – tuż po rozstaniu – dopuścił się na niej przemocy seksualnej, a potem padła ofiarą takiej przemocy jeszcze dwukrotnie. Pogrążona w rozpaczy spróbowała popełnić samobójstwo, skacząc z piątego piętra, ale nie zginęła. Nabawiła się jednak paraplegii (paraliżu kończyn dolnych spowodowanego uszkodzeniem rdzenia kręgowego) i przewlekłego bólu. Wszystko to działo się cztery lata temu. Dwa lata po wypadku złożyła wniosek o eutanazję.

Została dokładnie przebadana przez lekarzy, jej wniosek został zaakceptowany na podstawie ciężkiego, nieodwracalnego stanu fizycznego, przewlekłego bólu, dużej niesamodzielności i trwałego cierpienia. Była mocno zdeterminowana, by umrzeć – jej ojciec próbował bowiem zablokować zgodne z hiszpańskim prawem zabicie dziewczyny, ale po kolejnych dwóch latach przegrał batalię sądową. Córka oraz jej prawnicy nie ustępowali mimo stwierdzenia u Noelii zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych oraz zaburzenia osobowości typu borderline. Lekarze i sądy uznali jednak, że była świadoma i rozumiała swoją decyzję.

Oto jak wygląda Europa XXI w. Z jednej strony zwyrodnialec, który katował i wykorzystywał własne dzieci, zmuszając je do obcowania nawet z psem, zje jeszcze ponad 9 tys. obiadów za nasze pieniądze (25 lat i 365 obiadów rocznie). Z drugiej strony dziewczyna, ofiara przemocy seksualnej, która niczego już nie zje, niczego nie doświadczy, gdyż „w zgodzie z prawem" medycy odebrali jej życie.

Noelia padła jednak ofiarą znacznie głębszych błędów systemu niż tylko wpisanie do niego prawa do eutanazji. Jakich? Po pierwsze, rozwód rodziców – te bowiem bywają dla dzieci bardziej traumatyczne niż śmierć jednego z nich. Drugi błąd systemu uwypuklony w tej straszliwej historii to odebranie dziecka rodzicom, ze względu na „zaniedbania" – doprawdy, władza rodzicielska nigdy jeszcze nie była tak zdeprecjonowana jak w naszych czasach. Wypadałoby napisać i o kolejnym błędzie dotyczącym obsesyjnego sprowadzania migrantów, ale ten wątek pozostaje niejasny – gdyby się jednak potwierdził, byłby najbardziej jaskrawy.

I w końcu finał – eutanazja – który nie okazał się jednak finałem. Oto matka dziewczyny poinformowała, że lekarze zachęcali ją do tego, by nie zwlekała, spieszyli się z uśmierceniem Noelii, gdyż jej organy były już „zarezerwowane" do transplantacji… ©℗

eprasa.pl cf50c2f600

Hm...

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Hm… Coś mi tu nie pasuje. Nie wiem, co dokładnie, ale coś mi tu wygląda podejrzanie… Czasami odnosimy takie wrażenie w różnych sprawach, prawda? Człowiek ma w sobie instynkt wyczuwania prawdy i fałszu. No i są takie sytuacje, gdy nie potrafisz udowodnić, co konkretnie, ale jednocześnie jesteś na sto procent przekonany, że COŚ jest nie tak. Albo że chyba jednak jest inaczej, niż nam się wcześniej wydawało, lub inaczej, niż się wydaje wszystkim dookoła.

Dziś będzie o tym – o takich rzeczach, które nie pasują do tego, co nam się mówi lub co sami myślimy w danej sprawie. Przykład (już trochę nudny, ale dobry): z jednej strony wojna na Ukrainie i ogólnie ple, ple – wszystko wiemy, a z drugiej strony czytamy na temat biznesów, które Ukraina robi z Rosją. Nadal istnieją firmy ukraińsko-rosyjskie, które pracują normalnie, dokonują transakcji… Już sam fakt, że jeszcze istnieją, że nie zaprzestały działalności, że się nie rozpadły lub dobrowolnie nie podzieliły na dwie części, jest dziwny. Hm…

Ropa z Rosji płynie do krajów UE rurociągiem przez Ukrainę. Ruscy sprzedają ropę, a Ukraińcy kasują Ruskich za tranzyt. I w tym samym czasie ci partnerzy gospodarczy są w stanie wojny na śmierć i życie? No przecież to nie ma sensu – COŚ jest nie tak. Czy Zełenski z Putinem są pokumani na wyższym poziomie? Grają ludźmi w wojnę, a równolegle kręcą biznesy po staremu?

***

Albo takie cuś: To że Putin lata sobie z wizytami po całym świecie, rozumiem, ale jak to możliwe, że Zełenski też lata i Putin go nigdy nie zestrzelił? Przecież to nie są loty tajne – wiadomo który to samolot, czyli, gdyby Putin chciał, to by mógł ten samolot rozwalić. Czemu nie rozwala? A gdy samolot startuje z Rzeszowa i Zełenski dojeżdża do Polski pociągiem, to można walnąć w pociąg. Czemu Putin tego nie robi? Zabicie przywódcy państwa, z którym toczy się wojnę, to bardzo racjonalny cel, prawda?

Iran postawił sobie za cel zabicie Beniamina Netanjahu – to zachowanie racjonalne w sytuacji wojennej. Amerykanie rozwalili irańskiego ajatollaha oraz wpisali na listę do rozwalenia jego następcę oraz wszystkich kolejnych następców. Rozwalili też prawie cały zarząd Iranu. Wcześniej usunęli z gry dyktatora Wenezueli. To wszystko działania, które mają sens strategiczny lub taktyczny. A czemu Putin nie rozwala Zełenskiego, chociaż może to zrobić?

***

Po 30 dniach wojny z Iranem media, którym ufam w USA, oraz media, którym nie ufam, wszystkie zgodnym chórem zawiadamiały, że ta wojna idzie źle i skończy się katastrofą Trumpa. Mam podobne obawy – grozi mu katastrofa. Zacząłem więc patrzeć Trumpowi w oczy, aby zobaczyć oznaki katastrofy. Człowiek, a w tym przypadku wódz naczelny potężnej armii, gdy mu wojna idzie źle, robi się inny, nerwowy, spięty. Nawet Hitler, choć był obłąkany, a do tego żył w szczelnie zamkniętym kręgu klakierów, zaczął wykazywać oznaki paniki w drugiej połowie wojny. Widać tę zmianę na filmach.

Zaglądam w oczy Trumpowi, patrzę, co robi, czym się zajmuje, czy nadal gra w golfa tyle co zawsze, jakich udziela wywiadów, czy jest spięty. I widzę, że nie jest. Zero zdenerwowania, nadal ten sam błyskotliwy dowcip, lekkość przechodzenia z tematu w temat. Nadal ma czas na wszystko – wojna go nie pochłonęła, a gdyby szła naprawdę źle, byłoby po nim widać. Trump jest zawsze jak otwarta księga – gdy się złości, widać, bo on tego nie ukrywa, nie udaje. Gdy się cieszy czy niepokoi, zawsze widać. I o to mieli do niego pretensje doradcy – że nie ukrywa emocji, że gdy go ktoś zezłości, to on tę złość okazuje publicznie i potrafi się zrobić niegrzeczny. No to czemu teraz, gdy wszyscy oceniają, że wojna z Iranem idzie w stronę katastrofy, Trump jest zrelaksowany i wesoły? Hm…

***

Media informują o skutecznej strategii Iranu polegającej na zamknięciu cieśniny Ormuz – Ameryka zostanie pokonana poprzez kryzys paliwowy. Hm… Coś tu nie pasuje.

Stany Zjednoczone nie potrzebują cieśniny Ormuz. Dzięki polityce Trumpa „drill, baby, drill" USA jest obecnie eksporterem paliw. Amerykanie produkują więcej ropy niż Arabia Saudyjska i Rosja razem wzięte. Siedemdziesiąt procent ropy, która przechodzi przez Ormuz, trafia do Azji – do Chin, Indii, Japonii i Korei Południowej – a większość reszty trafia do Europy.

Ameryka nie kupuje ropy ani gazu. Ameryka ropę i gaz eksportuje. Ponadto poprzez wpływ na produkcję w Kanadzie, Gujanie i Wenezueli Waszyngton kontroluje obecnie jedną piątą produkcji globalnej. Każdego dnia, gdy cieśnina pozostaje zamknięta, amerykańscy producenci paliw zacierają ręce – sektor energetyczny zarabia fortunę, a płacą za to Europejczycy i Azjaci. Amerykanie przejmują kolejne rynki zbytu.

Europejskie ceny gazu wzrosły o 75 proc. od początku konfliktu. Tymczasem ceny gazu w USA wzrosły minimalnie. Na stacjach benzynowych Amerykanie płacą ok. 3,50 dol. za galon i złoszczą się że to drogo, tymczasem Niemcy płacą 7,85 dol. za galon. To ma być kryzys paliwowy, który powali Amerykę? To nie jest kryzys. To doskonała pozycja negocjacyjna.

Każdy europejski kontrakt na gaz z USA podpisany w czasie wojny z Iranem to kontrakt, który nie wróci do Kataru po ponownym otwarciu cieśniny Ormuz. Każda azjatycka rafineria (w tym rafinerie chińskie), która przestawi się na amerykańską ropę, to klient, który nie wróci po dostawy z Zatoki Perskiej. Wojna kiedyś się skończy, ale nowe kontrakty energetyczne pozostaną. Trump właśnie odbiera rynki zbytu producentom z Bliskiego Wschodu i przekazuje je w ręce producentów z Ameryki.

***

Dominacja energetyczna USA została wpisana do „Strategii Obrony Narodowej" ogłoszonej w styczniu. Ropa i gaz to broń, tak samo jak pociski rakietowe. Nagła wojna w Iranie wydawała się od początku dziwna, nieuzasadniona. Coś z nią było nie tak. Teraz widać, że chodziło o przejęcie klientów na ropę i gaz. A Iran, blokując Ormuz i rozwalając instalacje u swoich sąsiadów, pomaga USA, choć sam tego chyba nie wie. ©℗

eprasa.pl cf50c2f600

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

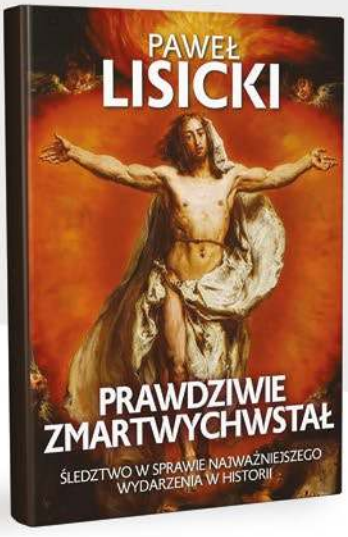

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

PAWEŁ LISICKI: „PRAWDZIWIE ZMARTWYCHWSTAŁ"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1291~~ ZŁ

545,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 746 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl cf50c2f600

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HORROR RABACJI GALICYJSKIEJ

Szał Szeli – w trakcie rabacji galicyjskiej rozegrały się sceny, jakich na ziemiach polskich nie widziano od czasów powstania Chmielnickiego i koliszczyzny. Szlachtę mordowano z wyjątkowym bestialstwem.

Stalowy filantrop – Andrew Carnegie był najbardziej wpływowym filantropem w dziejach. Amerykański bogacz odegrał też pewną rolę w promowaniu sprawy polskiej.

Kozielska wojna nerwów – film „Pojedynek" pokazuje, jak Sowieci starali się pozyskać agenturę wśród polskich jeńców. Zważywszy na skalę podjętych działań, „urobek" enkawudzistów był dosyć mizerny.

Czmychający Bierut – namiestnik Stalina nie mógł darować młodzieży upokorzenia, które przeżył w Szczecinie podczas uroczystości państwowych.

Kod Voynicha – konspirator, Sybirak i rzutki przedsiębiorca zasłynął jako posiadacz tajemniczego manuskryptu z późnego średniowiecza.

Burzliwa młodość geniusza – wydawać się mogło, że wielka kariera stoi otworem przed młodym da Vinci. Wtedy jednak doszło do wydarzenia, które omal nie zakończyło się dla niego tragicznie.

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl cf50c2f600